

KONTRAPUNKTY

ANNA

KAŃTOCH

CZARNE



powergraph

ANNA
KAŃTOCH
CZARNE

KONTRAPUNKTY



powergraph

Warszawa 2012

Copyright © 2012 by Anna Kańtoch
Copyright © 2012 by Powergraph
Copyright © 2012 for the cover by Rafat Kosik

Redaktor prowadząca serii:
Kasia Sienkiewicz-Kosik

Redakcja:
Kasia Sienkiewicz-Kosik

Korekta:
Joanna Mika-Orządała

Skład i łamanie:
Powergraph

Ilustracja na I okładce:
istockphoto

Projekt graficzny serii i opracowanie:
Rafał Kosik

ISBN 978-83-61187-53-0

skan i opracowanie elektroniczne
lesiojot

Wydawca:
Powergraph Sp. z o.o.
ul. Ceglowska 16/2, 01-803 Warszawa
tel/fax: 22 834 18 25, 22 834 18 26

I

1.

Czarne, istoty przywożone z morza

teraz

Zawsze wiedziałam, że pewnego dnia wrócę do Czarnego. Widzę tę chwilę, jakby to już się stało - oto stoję na wiejskiej drodze obok pomrukującego cicho samochodu, patrzę na skiby wilgotnej ziemi i biały domek pod ciemną linią drzew. Za drzewami tarcza słońca; światło ma przydymioną czerwoną barwę, powietrze stało się ostrzejsze i pachnie leżącym pod leśnymi kamieniami mrokiem, w bruzdach na polu zbierają się cienie. Wiatr szarpie długą prostą suknią, dłońmi przytrzymuję wielki kapelusz, którego rondo zdobią fantazyjna kokarda i kwiaty. Marznę, napawając się tą chwilą, tym wiatrem i zimnem, nim wejdę do przytulnego wnętrza Czarnego.

Jestem. Wróciłam.

Doktor Krępiński zaśmiał się, gdy mu o tym opowiedziałam, śmiał się tak bardzo, że trzęsła mu się broda, a on sam odchylił się na krześle do tyłu, pod słomianym parasolem. Jego pomarszczone czoło i obwisłe policzki całe były w słonecznych cętkach, w rękę podrygiwała szklanka z lemoniadą. Z rozpalonego nieba lał się żar, parasol nie dawał niemal żadnej ochrony - a mimo to biała koszula Krępińskiego wciąż była świeża, spodnie zaprasowane w kant dokładnie jak w chwili, gdy o ósmej rano zszedł na śniadanie.

Chwyciłam swoją szklankę i zaraz ją puściłam, bo lemoniada była już ciepła. Wilgotne palce zostawiły na szkle przykre, tłuste ślady.

– Ależ dlaczego miałabyś nosić taki straszny kapelusz? – zapytał Krępiński, a ja posłałam mu niepewny uśmiech, bo istotnie podobne nakrycia głowy wyszły z mody dawno temu, ostatni raz widziałam je... kiedy? Chyba gdy byłam nastolatką, tuż przed wybuchem wojny. Dziś, tego upalnego lata roku 1935, nosi się zupełnie inne kapelusze.

Odstawił swoją szklankę - na niej żadnych śladów nie było.

Jak oni to robią?

– Chciałabyś wrócić do Czarnego?

– Tak – odparłam. A potem dodałam – może. Nie. Nie wiem.

Zaśmiał się znowu, jakby moje wahanie było najlepszym na świecie żartem. Czytałam kiedyś, że lekarze powinni dodawać pacjentom otuchy, lecz wszyscy medycy, których w życiu spotkałam, sprawiali tylko, że czułam się jak niemądre dziecko.

Musiał wyczuć moją dezaprobatę, bo umilkł i spojrzął na mnie przepraszająco, a jednocześnie łobuzersko, jakby z góry wiedział, że dam się ułagodzić.

– Wybacz, moja droga, czasem tracę nad sobą panowanie. Kto mieszka w Czarnem? Może rzeczywiście niezłym pomysłem byłoby tam pojechać?

– Mój brat – odparłam. – Młodszy – dodałam niepotrzebnie, bo przecież Krępiński starszego znał. To właśnie Franciszek przywiózł mnie pewnego dnia do sanatorium, zostawił pod fachową opieką, a teraz odwiedzał od czasu do czasu. – Jest... inny.

– Inny jak ty?

Dwuznaczność pytania zawisła pomiędzy nami. A może nie było żadnej dwuznaczności, może tylko ją sobie wyobraziłam.

– Przejdziemy się? – zaproponował Krępiński.

Skinęłam głowę.

Szliśmy stałą trasą naszych spacerów, wzdłuż brzegu aż do latarni na cyplu. Wiatr niósł od morza orzeźwiający słony chłód, spieniona woda wypełniała pozostawione na piasku ślady stóp. Krępiński poruszał się

szybko i pewnie, elegancki nawet w mokrych butach. Roześmiał się, gdy mocniejsza fala sięgnęła nogawek; wilgoć zresztą błyskawicznie wyschła, jakby nawet ona musiała ustąpić przed wrodzoną nieskazitelnością tego człowieka. Staralam się dotrzymać mu kroku, z pantofelkami w ręku, bezustannie bojąc się, że nastąpię na ukryty w martwych wodorostach kawałek szkła czy ostrą muszlę. Czułam się niezgrabna, pot spływał mi spod włosów na kark. Od czasu do czasu mijaliśmy wyciągnięte na plażę drewniane krypy. Biła od nich woń stęchłej słonej wody i rozkładających się w słońcu ryb. Przy jednej łodzi kręcili się zapóźnieni rybacy, a na dnie, zaplątane w sieci, połyskiwały sprężyste srebrne ciała. Przypomniałam sobie opowieść Irenki, która twierdziła, że im dalej w morze poławiacze wypływają, tym dziwniejsze istoty przywożą. Blżej brzegu są zwyczajne śledzie, dorsze i flądry, a dalej przedziwne, fantasmagoryczne stwory, ani w pełni żywe, ani martwe, o rozumnych spojrzeniach i niespotykanych kształtach.

Śmiałam się wtedy, teraz jednak odwróciłam wzrok.

2.

Sanatorium, tańce, krew

teraz

Sanatorium dla nerwowo chorych doktora Kempera ma dobrą renomę, ponoć chwalą je nawet w zagranicznych magazynach. Personel dokłada tu wszelkich starań, byśmy o naturze zakładu zapomnieli: żyjemy jak w modnym uzdrowisku, mamy kort tenisowy i wieczorki brydżowe, gramofon i radio. Nasze posiłki, tak różne od szpitalnej, pozbawionej smaku papki, są obfite i podawane na delikatnej porcelanie, lekarze spacerują z nami, rozmawiając na temat kina i polityki. Incydenty, takie jak zamroczenia umysłu, napady wściekłości czy przemoczone łóżka, są dyskretnie tuszowane przez urocze pielęgniarki i unieważniane już pięć po minut po zajściu. Oczywiście nie ma tu żadnych „poważnych przypadków”, wszyscy jesteśmy zaledwie „trochę zmęczeni”, „nieco zagubieni”, potrzebujemy tylko wypoczynku, by dojść do siebie. Tak przy wspólnych posiłkach zapewnijają nas lekarze, choć u siebie, w gabinetach, trzymają grube pliki notatek, które opisują nasze anomalie za pomocą groźnie brzmiących łacińskich i niemieckich słów. Skuszone na pogawędkę pielęgniarki przekazują jeszcze inne wersje - w ich oczach jesteśmy zbiorowiskiem przypadłości romantycznych i niekonkretnych zarazem, ta cierpi z powodu zawiedzionej miłości, inna doprowadziła się do żałobnego obłędu, dochowując wierności zaginionemu na wojnie mężowi, jeszcze inna popadła w melancholię po śmierci ukochanego dziecka. Smakujemy te plotki, ubarwiamy je i puszczamy dalej w obieg, aż wracają do nas niepodobne zupełnie do swej pierwotnej postaci, aż nikt już nie wie, co jest prawdą. o mężczyznach niewiele mamy do

powiedzenia - mieszkają w drugim skrzydle, pociągający swą odrębnością i tajemnicą. Spotykamy się jedynie przy brydżu i podczas wieczorków tanecznych, kiedy doktor Krępiński nastawia na gramofonie płyty z amerykańskim jazzem. Tańczymy i flirtujemy, jakbyśmy byli zwyczajni, a przecież nie jesteśmy, nawet pośród najweselszej zabawy wyczuwa się w naszym zachowaniu fałszywą nutę. Czasem ktoś zamilknie niespodziewanie przy stoliku i będzie tak trwał, z otwartymi ustami i wzrokiem wbitym w przestrzeń, aż litościwy sąsiad lub czujna pielęgniarka obudzi go z drzemki na jawie; czasem ktoś wybuchnie śmiechem zbyt głośnym albo zbyt piskliwym. Kobiety gubią w tańcu szale, depczą je potem obcasami francuskich pantofli, mężczyźni siadają na własnych kapeluszach i patrzą na tarcze od dawna nienakręcanych zegarków. Jedzone przez nas ciastka nie zawsze trafiają do ust, zdarza się, iż skruszone w niespokojnych palcach całe lądują na dekoltach sukien czy gorsach jedwabnych koszul. Nasze rozmowy się rwą, tańczymy nie do rytmu, flirtujemy bez wdzięku. A przecież bawimy się z większym może nawet zapamiętaniem, niż czynią to ludzie zdrowi.

Piszę: my, nas, choć czuję się tak bardzo inna od moich towarzyszy niedoli. Przyzwyczaiałam się już; zarazem jestem i nie jestem częścią tego wszystkiego.

Tego wieczoru nie jestem. Dziękuję chłodno, gdy doktor Krępiński prosi mnie do tańca, *freak show* na parkiecie nie pociąga mnie zupełnie, spocone czerwone twarze napełniają niechęcią. Mam swoją dumę. Wszystko w moim życiu może być fałszywe, ale duma jest prawdziwa - postanawiam więc, że dzisiejszego wieczoru tańczyć nie będę. Chcę, żeby doktor Krępiński boleśnie odczuł moją odmowę, on jednak śmieje się po swojemu i potrząsa głową, jakby, rozbawiony, ustępował kapryśnemu dziecku. Odwracam się w stronę uchylonego okna, nareszcie jest wieczór, nareszcie odrobina chłodu. Moja duma mnie samej wydaje się teraz dziecinna i śmieszna, ale zacinam się w niej - nic innego nie mam.

- Zatańczysz? - pyta Irenka, podchodząc do mnie, bransolety podzwaniają w rytm jej kroków. Irenka nosi je, by przesłoniły blizny na

nadgarstkach, ale miedziane kółka niczego nie potrafią ukryć, blizn jest zbyt dużo.

– Zatańczysz? – pyta jeszcze raz. – Taka jestem dziś szczęśliwa!

Oddycha szybko, czarne oczy błyszczą od gorączki. Nauczyłam się już rozpoznawać te jej gwałtowne przypiły radości, po której następuje nagła rozpacz. Najdalej za kilka dni Irenka znów będzie się ciąc. Mówi, że z powodu zdrady przystojnego ułana, ale ja wiem, że to wcale nie tak, Irenka rozcina własne ciało, bo musi, zdrada nie ma z tym nic wspólnego. W opowieść o ułanie nie wierzy już nikt, może poza matką Irenki, która co pół roku wiezie córkę do innego sanatorium w nadziei na cudowne wyleczenie.

Chciałabym zatańczyć z Irenką. U nas nie obowiązują sztywne konwenanse, kobiety czasem tańczą z kobietami. Ale nie mogę - odmówiłam Krępińskiemu, powinnam odmówić i Irence.

Dziewczyna nie słucha niezręcznych wymówek, tylko ciągnie mnie na parkiet. Jej zwinne ciało już jest rozgrzane szybkim ruchem, mokry od potu tył sukni lepi się do pleców. Pozwalam się objąć i rozkołysać w rytm charlestona. Nie tak się go tańczy, ale to nie ma znaczenia, nikt tu nie umie tańczyć do tej dzikiej muzyki zza oceanu, tak różnej od melodii, do których przywykliśmy w dzieciństwie. Patrząc na Irenkę. Tylko jej jestem tu pewna, tylko ona jest taka jak ja. Wiem, bo byłam przy niej, kiedy ostatnim razem otworzyła sobie żyły. Cięła głęboko, aż w czerwieni rozplatanego mięsa błysnęła biel kości. Dlatego mam pewność.

Irenka lubi mnie, ponieważ uważa, iż jesteśmy bratnimi duszami - ja również noszę na ciele blizny po nożu. Ja wiem, że nasze braterstwo niczego wspólnego z nożem nie ma.

Muzyka milknie, gdy igła przeskakuje do następnego rowka. Wracając na swoje miejsce przy oknie, wzrokiem odruchowo szukam doktora Krępińskiego. Chcę wiedzieć, czy dobrze się bawi - albo raczej mam nadzieję, że bawi się źle. Krępiński rozmawia z jasnowłosą kobietą, w której rozpoznaję niedawno do nas przybyłą, jeszcze niezbyt dobrze poznaną i „nieoswojoną” pensjo- nariuszkę. Rozmawiają, nic więcej, a

jednak wyczuwam pomiędzy nimi napięcie, z którego chyba tylko ja zdaję sobie sprawę. Wrażenie tym bardziej irytujące, że nieokreślone, nie rejestruję go żadnym z pięciu zmysłów, po prostu wiem. Rozmawiają, a niewidzialne nici wzajemnego przyciągania splatają się wokół nich w sieć coraz gęstsza i tak rozłożysta, że wreszcie sięga i mnie, stojącej po drugiej stronie sali. Zaczynam się dusić, tylko wieczorny chłód pozwala mi odzyskać oddech.

W nocy długo nie mogłam zasnąć, a gdy rankiem zeszłam do jadalnej sali, okazało się, że byłam pierwsza - wszyscy jeszcze spali, tylko w kuchni, rozpalając w piecu, krzątała się stara Antosiowa.

Wyszłam na zewnątrz, w rześki chłód wstającego dnia. Rozcierając pokryte gęsią skórą ramiona, wdychałam zapach kwiatów na klombach i spacerowałam dla zabicia czasu. Znudzona i niespokojna, zapuściłam się w rejony, w których zazwyczaj nie bywam, krążyłam wokół pomieszczeń gospodarczych, przemknęłam nawet ze wstrzymanym oddechem obok śmietniska.

Tam ją dostrzegam kątem oka.

Pod pokrywą jednego z kubłów, spowity w słodki odór zgnilizny, tkwił liliowy kłęb materiału w kolorze identycznym jak suknia jasnowłosej towarzyszki doktora Krępińskiego. Ciekawość była zbyt silna, by się jej oprzeć - sięgnęłam po niego i szarpnęłam, jedwab rozwinął się gładko. Wewnątrz, na asymetrycznej spódnicy, na bolerku, wszędzie była krew, gęsta i nie całkiem jeszcze zakrzepła. Widziałam nawet strzępy tkanki, jakby Krępiński wraz z suknią zdarł z jasnowłosej kobiety skórę. Niemożliwość zamroczyła mi umysł i wcisnęła palce do gardła, było mi duszno, miałam wrażenie, że zaraz zwymiotuję. Z daleka, z innego świata docierał do mnie zapach porannej kawy.

Wepchnęłam suknię na jej dawne miejsce i uciekłam. W sali jadalnej dobrze znani mi ludzie pozdrawiali się sennie i siadali do śniadania, słychać było szuranie odsuwanych krzeseł, ziewnięcia, szcęk stawianych na stole dzbanków i talerzy. Przestałam wierzyć w to, co widziałam.

A jednak chwilę później powodowana przekorą, której sama nie rozumiałam, zagadnęłam doktora Krępińskiego o niemożliwość.

Oczywiście nie powiedziałam, jak dużo było krwi, ani nie wspomniałam o strzępach skóry - na to nie było miejsca w ciepłej, pachnącej kawą jadalni. Nadmieniłam tylko, że ta nowa, jasnowłosa pani musiała się wczoraj skaleczyć, bo wyrzuciła zakrwawioną suknię.

- To głupstwo - odparł doktor Krępiński. - Wystający gwóźdź, nic poważnego, drobna rana na rękę.

Popełnił błąd, bo kiedy jasnowłosa kobieta zeszła na śniadanie, wyraźnie zobaczyłam, że jej białe, odsłonięte ramiona nieskalane były najmniejszym draśnięciem.

3.

Plaża, Jadwiga Rathe

teraz

Dni w sanatorium wydają się tak podobne jeden do drugiego. Jemy posiłki, spacerujemy, zdyszani gramy w tenisa w skwarze, który warzy każdy humor, poza naszym. Miodowozłote, chłodne i kapryśne lata, jakie pamiętam z dzieciństwa, odeszły w przeszłość, teraz lipiec oślepia upałem, biały jak prześwietlona klisza fotograficzna. Jemy, spacerujemy, gramy w tenisa. Nic nie zdoła nas zniechęcić, jesteśmy przecież niemal zdrowi, lekko tylko zmęczeni, nieco zagubieni. Mamy prawo żyć. Za tym życiem, jak ukryta z tyłu sceny maszyneria teatru, istnieją kąpiele terapeutyczne, wstrząsy kardiazolowe i insulinowe śpiączki. Mnie już nie dotyczą, ja zostałam z zabiegów zwolniona, teraz więc popołudniami najczęściej wymykam się nad morze.

Liczyłam na chłód, lecz dziś wiatr przetaczał tylko po pustej plaży kłęby duszącego gorąca. Usiadłam w koszu, bose stopy zanurzyłam w piasku, na którym kładł się cień. Spienione fale biegły skosem, niebo było czyste i jasne jak umyty w strumieniu kamień. Nurkujące mewy przypominały wykrzykniki na tle przepalonego słońcem błękitu.

Przymknęłam oczy, wino wypite do obiadu szumiało mi w głowie, ciało ogarnęło przyjemne, ciężkie znużenie. Lubię ten stan, tę drętwość i bezmyślność zawieszenia pomiędzy snem a jawą. Niemożliwość stapia się wtedy z możliwością i czasem wierzę, że nie ma między nimi żadnego konfliktu, a ja mogę być szczęśliwa.

Z takiego stanu wyrwały mnie chrzęst piasku pod butami i ciche sapanie. Uniosłam powieki. Pomarszczona twarz wypełniła przestrzeń,

krótkie siwe włosy i kwadratowa szczęka obrysowane jasnością nieba. Krzyknęłam.

Nieznajoma cofnęła się odruchowo. Nosila męski strój, w którym najwyraźniej czuła się bardzo swobodnie, dłonie tkwiły w kieszeniach spodni.

– Przepraszam – powiedziała. – Wystraszyłam panią, prawda? Ale ze mnie niezdara. Bardzo mi przykro, nie chciałam być niegrzeczna. Myślałam, że pani śpi.

– Spałam. – Odchrząknęłam. Gardło miałam suche i nagle to ja poczułam się tu intruzem, kobieta z kwadratową szczęką, choć skruszona i zmaląła, wciąż nade mną górowała. – To teren prywatny.

– Wiem – odparła ze szczerością uczniaka. – Ale w płocie jest dziura, a ja chciałam sobie skrócić drogę. Tym bardziej mi przykro. Pani mi bardzo kogoś przypomina, dlatego się nad panią pochyliłam. Chciałam się przyjrzeć. Wybacz mi pani?

Skinęłam głową lekko, z niechęcią. Tego wymagało dobre wychowanie, nic innego nie mogłam zrobić. Nieznajoma roześmiała się gardłowo. Z kieszeni marynarki wyjęła papierośnicę i poczęstowała mnie. Odmówiłam.

– Nie jest pani jej córką, prawda? – zapytała, wydmuchując dym. – Mam na myśli Jadwigę Rathe, aktorkę.

– Nie.

– Oczywiście, jest pani za młoda. – Przyjrzała mi się, a ja uświadomiłam sobie, że kobieta jest stara, znacznie starsza, niż sądziłam i zdecydowanie zbyt wiekowa na to, by przechodzić przez dziury w płocie, a potem spacerować po plaży w męskim stroju. W jej oczach rzeczywiście musiałam być młoda. – Prawdopodobnie nie wie nawet pani, o kim mówię.

Milczałam. Obca staruszka wdzierała się w moje najintymniejsze sekrety, przywoływała wspomnienia, o których sądziłam, że już dawno są pogrzebane.

– Znałam Jadwigę – powiedziała. – Bardzo krótko i niezbyt dobrze, ale ją znałam. Wspaniała aktorka, choć bardzo nieszczęśliwa. Zginęła

tragicznie, wie pani?

– Wiem. – Pragnęłam zetrzeć ten nostalgiczny uśmiech z twarzy nieznajomej, mówiąc, że nie tylko wiem, ale także byłam przy tym, gdy z rzeki wyciągano ciało. Jednak to zabrzmiałoby jak kłamstwo, choć było prawdą.

Kiwała głową, jakbym udzieliła jedynej możliwej odpowiedzi.

– Straszna śmierć – dodała. – Pojechała do przyjaciół, do miejscowości, która miała taką zabawną nazwę, nie pamiętam...

– Czarne – podpowiedziałam, ciesząc się jak zawsze smakiem tego słowa. Czarne, moje dzieciństwo, moja pierwsza miłość, moje tajemnice. Trwało to krótko, pod płaskim niebem słowo samo stało się płaskie, kobieta patrzyła na mnie tak, jakby odnalazła od dawna poszukiwany, ale w gruncie rzeczy niepotrzebny już teraz przedmiot. Radość z chwilowej przewagi zmieniła się w przykrą gorycz zdrady.

– Tak, Czarne. – Zdumienie w jej głosie, obcas buta wgniata w piasek niedopałek, ręce wracają do kieszeni. – Pani wie? Ktoś musiał już pani wspomnieć o tym niezwykłym podobieństwie, prawda? Oczywiście ona była brunetką, a pani jest blondynką, ale poza tym...

– Tak – mówię, pragnąc nade wszystko, by już sobie poszła. – Wspominano mi o tym.

Chcę wrócić do sanatorium i obejrzeć w lustrze swoją twarz. Jej twarz.

4.

Franciszek, cud niezauważony

teraz

Potrzeba sprytu, by wymknąć się z sanatorium niepostrzeżenie. Rzecz jasna, mamy prawo wychodzić, kiedy chcemy, tak się jednak osobliwie składa, że za każdym razem, gdy jedno z nas wybiera się poza bramę, któryś z lekarzy zupełnym przypadkiem idzie w tę samą stronę i oferuje swoje towarzystwo. Nie sposób się od niego uwolnić, lekarze są ujmująco grzeczni, lecz nieustępliwi. Dlatego wybrałam inną drogę - przez dziurę w ogrodzeniu, tę samą, z której skorzystała napotkana na plaży stara kobieta. Opadłam na kolana, schyliłam głowę i przesłam na czworakach, jak pies albo dziecko ciągnące elegancką torebkę. Gorąco piasku pod cienkim materiałem pończoch i ten charakterystyczny, nie do pomylenia z niczym zapach upału: woń nagrzanego ciała i suchych, rozartych w dłoniach łądyg.

I już. Jestem po drugiej stronie. Wyprostowałam się i otrzepałam - jeśli mi się poszczęści, do mojego powrotu nikt dziury nie zauważy i będę mogła wrócić tą samą drogą. Pomiedzy źdźbłami wyrosłej na wydmach turzycy widziałam błękit morza. Odwróciłam się do niego plecami i ruszyłam w kierunku szosy. Obcasy płóciennych pantofli zagłębiały się w piasku, sukienka już była zmięta i nieświeża. To zwarzyło mi humor. Dotąd czułam się prawie jak dziecko, cała ta wyprawa miała posmak młodzieńczej przygody. Nie byłam jednak dziewczyną, lecz kobietą, niemłodą już i nieelegantką. Piętno sanatorium towarzyszyło mi niczym cień, który kulił się wokół nóg, drobny i krągły. Szłam poboczem, uskakując, gdy mijały mnie chłopskie furmanki i otwarte wozy. Ich

kierowcy nosili chroniące od pyłu gogle, a siedzące obok kobiety bezskutecznie próbowały osłaniać twarz niewielkimi rondami kapeluszy.

Miasteczko S., do którego zmierzałam, nie jest wielkie - ot, zwykła nadmorska miejscowość, latem powiększająca się o kilkuset wczasowiczów. Można ich bez trudu odróżnić od miejscowych - przyjezdne kobiety noszą modne stroje i są bardziej opalone, a mężczyźni mają tę pewność siebie, którą daje świadomość, że płacą, a więc mogą wymagać.

Przy rogatek schyliłam się, by strzepnąć piasek z pantofli. Gdy skończyłam, obok zahamował samochód, przed nim z chłopskiej furmanki sypała się kapusta. Kierowca zaklął i wcisnął klakson. Chłop zeskoczył z wozu i przepraszając, zaczął zbierać z drogi dorodne główki.

Za kierownicą błękitnego bentleya siedział mój brat, Franciszek. Widać było, że uczynił wszystko, co można, by zatrzymać upływ czasu, jego włosy lśniły kruczą czernią farby, w twarz niewątpliwie wtarto najdroższe kremy, sportowa marynarka w kratkę mogłaby należeć do młodzieńca. Nic jednak nie zdołało ukryć strasznej prawdy - był znacznie starszy ode mnie. Wstrzymałam oddech. To nie mógł być Franciszek, przecież ledwo przed trzema dniami widziałam mężczyznę w sile wieku. Nie mógł być, a jednocześnie był, poznawałam przecież nie tylko zoraną zmarszczkami twarz, ale i postawę, to charakterystyczne wojownicze wysunięcie głowy, ten grymas zaciśniętych ust, który świadczył o tym, iż brat mój lada moment wybuchnie gniewem. Palce lewej dłoni wystukiwały na kierownicy niespokojny rytm, a ja wiedziałam, że to fragment arii Stolnika z *Halki*. Jedna niemożliwość starła się z drugą niemożliwością, ja stałam pomiędzy nimi, zagubiona i bezradna, popychana, potrącana i przeklinana.

Chłop wrzucił na wóz ostatnią kapustę i furmanka ruszyła. Za nią Franciszek-nie-Franciszek. Wolno, bo po wąskich uliczkach S. nie sposób jechać szybko, tu wciąż panuje ruch przedwojenny, środkiem ulicy spacerują stadka gęsi i starsze kobiety w tradycyjnych, sięgających kostek spódnicach. Mój brat-nie-brat się irytował, dłoń coraz częściej naciskała klakson. Biegłam chodnikiem, nie tracąc bentleya z oczu,

wciąż z nadzieją, że dostrzegę ten jeden jedyny szczegół, który przeważy szalę: Franciszek czy nie-Franciszek?

Widzę jednak tylko, jak samochód ciągnie przyszłość, rozpostartą za nim na kształt pawiego ogona, nowoczesność wdziera się klinem w senne S. I tak po raz kolejny jestem świadkiem cudu przez nikogo niezauważonego, na moich oczach zmienia się fason kobiecych sukien i kapeluszy, nieliczne w miasteczku auta stają się lżejsze, ich kształty bardziej opływowe, prędkość większa, bo oto z ulic znikają stadka gęsi. Co przed bentleyem jest jeszcze stare, a co za nim już nowe, tak może wyglądać S. za trzy, cztery lata. Nagłówki gazet krzyczą o zagrożeniu ze strony nazistowskich Niemiec, kinowe afisze zapowiadają kolejny film z Gretą Garbo, budynkom rosną piętra, zapyziałe sklepiki nabierają wielkomijskiego sznytu.

Widziałam podobne przemiany już tyle razy, a wciąż jeszcze się nie przyzwyczałam.

Zatrzymałam się, zdyszana, bentley odjechał, uwożąc w dal mojego brata-nie-brata. Oparłam czoło o szybę najbliższej kawiarni, chłodną nawet w upale. Odrobina ulgi. Ciepły baryton spytał, czy mi nie słabo, czy potrzebuję może wody. Odwróciłam się. Nieznajomy patrzył na mnie oczami drapieżnika, z nadzieją. Przyciągnęło go moje piętno.

– Nie – odparłam najzimniej, jak tylko potrafiłam. – Już mi lepiej. Dziękuję.

Im mocniej nalegał, tym bardziej stawałam się wyniosła, nie chciałam jego zainteresowania ani fałszywej troski. To typ mężczyzny-węza; dotyk jego wypielęgnowanych dłoni byłby na moim ciele chłodny i śliski, gadzia skóra, oczy lśniące metalicznie w półmroku świtu, zanim wymknie się z pokoju i nigdy nie wróci. Znam ten typ, znam wiele typów, jeden podlejszy od drugiego.

Nieznajomy odszedł, a ja wreszcie mogłam wejść do kawiarni i napić się oranżady.

W międzyczasie, ponieważ mój brat-nie-brat zniknął, ulica zdążyła zmienić się z powrotem, stare wchłonęło nowe. Choć nie do końca, nie całkowicie, tu i ówdzie pozostały ślady delikatne jak muśnięcie pędzlem.

Szersza sklepowa witryna, na manekinie suknia o bardziej kobiecym fasonie, inny kształt samochodowej maski. Moda na czarne włosy z poprzedniej dekady minęła już nawet na prowincji, teraz w miasteczku S. będzie się nosić platynowe loki, a w kinach zamiast *Malowanej załosty* zagrają kolejny amerykański film z Marleną Dietrich.

Wypaliłam papierosa i wypiliśmy oranżadę. Ludzie w kawiarni patrzyli na mnie ze zgorzaniem - byłam samotna, bez męskiej opieki, a to jest małe miasteczko, tu nowe z wielkim trudem zwycięża stare.

Wstałam, rzucając na stolik kilka monet. Mój wzrok padł na piórówek.

Tak nazwę go później, teraz jest to po prostu osobliwy przedmiot, na pół pióro, a na pół ołówek. Leży na stoliku tuż przy łokciu wąsatego mężczyzny, który przez ostatni kwadrans udawał, że czyta dziennik, a tak naprawdę obserwował mnie dyskretnie. Teraz przestał, teraz odwraca się, udowadniając, że nic go nie obchodzi. To moja szansa.

Piórówek jest hybrydą powstałą w miejscu, gdzie spotkały się dwa czasy, błędem w precyzyjnym mechanizmie świadczącym o tym, iż cud, który widziałam, zdarzył się naprawdę.

Pragnę go mieć.

Schylałam się, udając że poprawiam pasek pantofelka potem prostuję się nagłym, szybkim ruchem, chwytam piórówek i wychodzę na ulicę. Mój pośpiech jest niepotrzebny, wąsaty mężczyzna chyba nawet nie zauważył, że coś mu zginęło, nikt mnie nie ściga.

Z ulgą wcisnęłam piórówek do torebki i weszłam do księgarni. To właśnie dla niej tu przyszłam, dla tego przestronnego, nowoczesnego jak na S. sklepu, gdzie znaleźć można sentymentalne romanse, poradniki rolnicze i trochę klasyki.

Ostatnim razem, gdy tu byłam, na półce widziałam *100 lat warszawskich teatrów*. Zapytałam o książkę jasnowłosą, bardzo uczynną panią; dziewczyna uśmiechnęła się i gorliwie skinęła głową. Jest, oczywiście, że jest, zamówili jeden egzemplarz, który wciąż nie zszedł, nie ma popytu na taką literaturę, teraz, latem, ludzie kupują lekkie powieści na plażę czy leniwe popołudnie w ogrodowym fotelu.

Nie słuchając jej paplaniny, sięgnęłam po portmonetkę. Pieniądze i

książka przeszły z rąk do rąk. Potem, zamiast podziękować i wyjść, pod wpływem impulsu wyciągnęłam z torebki piórowek i pokazałam go panience.

A przecież wiedziałam, jaka będzie reakcja, wiedziałam, ale kolejny raz nie potrafiłam się powstrzymać.

– Czy wie pani, co to jest? – spytałam.

Dziewczyna zmarszczyła brwi. Prawie mi było jej żal w tej chwili, niemal wierzyłam, że jest taka jak ja.

– To chyba ten nowy model wiecznego pióra, prawda? Ale wygląda na zepsute, przykro mi, taka ładna rzecz. Pani będzie z książki zadowolona...

Od razu straciła zainteresowanie. To właśnie jest charakterystyczne - lekceważenie, szybka zmiana tematu. Jakby nie zobaczyła przed chwilą czegoś, co nie może istnieć.

Wracam do sanatorium. Po drodze wyrywam ze *100 lat...* jedną kartkę. Resztę wyrzucam na pobocze pomiędzy szare od kurzu, suche źdźbła trawy.

5. Piórówek i fotografia

teraz

Mój pokój, późne popołudnie. Przez otwarte okno wpadają podmuchy wiatru zbyt słabego, by dać wytchnienie od upału. Firanki falują leniwie; słońce zapala kałużę czerwonego blasku w bukowym stole. W tej świetlistej plamie piórówek i reprodukcja starej ziarnistej fotografii na stronie wydartej z książki. Oba przedmioty są błędem, szpecą zdrowe ciało świata, tak jak pryszcz szpeci dziewczęcą skórę. Jasny dowód, że jakiś gruczoł nie funkcjonuje całkowicie sprawnie, żywotne soki nie krążą w sposób doskonały. Jednocześnie nie ma to znaczenia, nie istnieje przecież organizm idealny, pryszcz w niczym nie przeszkadza zdrowemu człowiekowi.

Oczywiście piórówek jest znacznie bardziej obcy, nawet jego barwa raz i jaskrawą, nieistniejącą w naturze zielenią. Dotykam go delikatnie. Stalówka jest piękna, o precyzji jej wykonania można by napisać poemat, linie są łagodne jak krzywizna kobiecych bioder, metal chwyta promienie słońca. Lecz pióro nigdy nie będzie pisać - tam, gdzie powinien się znajdować zbiorniczek na atrament, jest tylko lakierowane drewno ołówka.

Piórówek.

Biorę go w rękę. Jest chłodny, mimo iż leżał na słońcu, i cięższy, niż można by się spodziewać. Czuję w dłoni gładki kształt niemożliwości, dobiegające zza okna głosy pensjonariuszy brzmią płasko, ściany pokoju zmieniają się w teatralną dekorację. Możliwy jest świat piórówka lub świat, w który chciałabym wierzyć, ale nigdy oba naraz. Im bardziej

czuję realność trzymanego w ręku przedmiotu, tym mocniej zacierają się kontury mojej rzeczywistości - myśl, że kiedyś towarzyszyłam spacerującym na zewnątrz ludziom, wydaje się odległa jak zamglone i niepewne wspomnienie z dzieciństwa. Doktor Krępiński, doktor Kemper, nawet moja Irenka - same imiona i nazwiska, puste w środku ciągi rozsypujących się liter. Szukam pociechy w znanych sprzętach: to łóżko, na którym sypiam, biurko, przy którym piszę, moja suknia przewieszona przez krzesło, buty wciąż ze śladami piasku - ale wszystko jest obce, tym bardziej obce, im bliższy staje się piórówek. Nieważne i nieprawdziwe, bo cały świat wypełnia on - mały gładki przedmiot spoczywający w mojej dłoni.

Pod wpływem impulsu podchodzę do okna i ciskam piórówkiem tak daleko, jak tylko zdołam; widzę go jeszcze przez chwilę, jak szybuje na tle ciemniejącego nieba, po czym spada w gąszcz akacji. I już. Po wszystkim. Oddycham z ulgą, rzeczywistość znów nabiera barw i głębi. Teraz dla odmiany wspomnienie sprzed kilku chwil blaknie, z każdą sekundą tracę wiarę, że trzymałam w ręku piórówek. Sama nazwa wydaje się śmieszna, może panienka w księgarni miała rację, może to było po prostu zepsute pióro? I oczywiście nie widziałam w S. Franciszka, jakże mogłabym go widzieć, skoro mój brat, wciąż w pełni sił, odwiedzi mnie niedługo. Za tydzień lub dwa, nie jestem pewna, liczenie czasu nigdy nie było moją mocną stroną.

Na stole reprodukcja fotografii - też błąd, ale zupełnie innego rodzaju, znacznie subtelniejszy, można godzinami patrzeć na nią i nie czuć najmniejszego dysonansu. Jadwigi Rathe nie powinno w książce być, oni bardzo rzadko pozwalają nam zaznaczyć swoją obecność w historii. Choć „pozwalają” nie jest dobrym słowem, nikt w tym przypadku nie podjął żadnej decyzji, twarz Jadwigi po prostu się prześliznęła, tak jak zarazek prześlizguje się w głąb ciała. Kolejna drobna niedoskonałość systemu. Jednak mimo iż fotografia jest błędem, jednocześnie znakomicie tu pasuje.

Biorę ją do ręki jak poprzednio piórówek. Na zdjęciu kobieta oparta o drzwi; w całej jej postawie wyczuwa się znużenie, a jednocześnie

ogromną żywotność. Taką chorobliwą energią promieniują czasem gruźlicy, lecz Jadwiga wygląda jak okaz zdrowia, ma wysoką, gibką sylwetkę, szerokie ramiona i krągłą twarz. Została stworzona do noszenia męskiego stroju, długie suknie pętają ją i czynią niezgrabną, splecione w koronę włosy przytłaczają - a jednak jest w niej przekorna lekkość, to motyl co prawda uwięziony, ale wciąż zdolny do lotu. Na dwie daty u dołu zdjęcia nie chcę patrzeć, bo wiem, że wtedy niemożliwość dopadnie mnie z nową siłą.

Jest pani za młoda, powiedziała obca kobieta na plaży.

Jadwiga na zdjęciu musi być mniej więcej w wieku, w jakim ja jestem teraz, w kącikach jej oczu pojawiły się pierwsze zmarszczki, skóra wokół ust utraciła jędrność. Chciałabym dotknąć tej twarzy; okazałyby się wtedy pod palcami sucha i szorstka jak papier, z powiekami delikatnymi niczym skrzydła ćmy. Wiem o tym, bo teraz jesteśmy identyczne, bliźniaczki, które dzieli czas. Gdy byłam dziewczyną ledwo wyrosłą z dzieciństwa, mówiono mi, że jestem bardzo do Jadwigi podobna, a ja uważałam te komplementy za miłe, lecz jednocześnie mocno abstrakcyjne - czternastolatce myśl, że kiedyś będzie wyglądać jak kobieta dwadzieścia lat starsza, ledwo mieści się w głowie.

Odłożyłam fotografię i sięgnęłam do szuflady po nożyczki. Jaka fryzurę nosiła Jadwiga, gdy ostatni raz ją widziałam? Włosy przycięte na pazia czy ciężkie sploty, jak na fotografii? Dziwne, pamiętałam Jadwigę taką i taką, jeden wizerunek nie wydaje się prawdziwszy od drugiego. Zresztą nieważne, wolę ją z krótką fryzurą, tak jej ładniej, a ze swoich włosów nie zaplotę warkocza.

Gdy puściłam w ruch nożyczki, pomyślałam jeszcze, że przy najbliższej okazji kupię w S. czarną farbę.

6.

Burza, Irenka, Inka, Irenka

teraz

W nocy zbudził mnie głuchy, jakby wyrwany z trzewi ziemi pomruk. Otworzyłam oczy. Firanka wydymała się w oknie jak żagiel, wyżej niebo pękało z odgłosem kruszonych kamieni. W zygzakowatej szczelinie błysnęło błękitne światło. Wiatr niósł ze sobą elektryczny chłód i zapowiedź deszczu. Czekałam, ale wciąż nie chciało lunąć, suche wyładowania rozjaśniały tylko noc, meble wynurzały się z mroku raz za razem w sinym blasku palonej magnezji. Nie zdziwiłam się, gdy skrzypnęły drzwi i ktoś wsunął się do mojej sypialni; szybkie, niepewne kroki, odgłos bosych stóp klaszczących o podłogę - i oto meble raz jeszcze wychynęły z ciemności, tym razem oblane ciepłym blaskiem świecy.

Irenka zawsze bała się burzy.

- Mogę spać z tobą? - pyta, stawiając lichtarz na stoliku. - Przyniosłam wino.

Bez słowa robię jej miejsce w łóżku. Przezorna dziewczyna wzięła nie tylko otwartą butelkę, ale także kubek. Pijemy, ciężka, lepka słodycz spływa do pustych żołądków, alkohol od razu uderza do głów. Wciąż nie pada. Wokół nas, wyraźnie słyszalny między pomrukami burzy, dom budzi się do życia. Trzeszczą podłogi, jęczą żalobnie przedmuchiwane wiatrem rury, kołyszą się na zawiasach niedomknięte okiennice. I w to wszystko wdziera się naraz głos inny, nieludzki, niezwierzęcy i niemechaniczny, obcy tak bardzo, że czuję, jak sztywnieją mi włosy na karku.

- Zrzucają skóry - mówi Irenka.

Chcę zapytać, co ma na myśli - a raczej, czy myśli to samo co ja - ale jest za późno, jej słowa zapadają w przedburzową ciemność. Tak jakby nigdy ich nie było; możliwe zresztą, że się pomyliłam i Irenka powiedziała coś zupełnie innego. To jest właśnie nasz problem - nie możemy ufać własnym zmysłom.

Wciąż nie pada.

Irenka rozpina koszulę nocną i naga siada na łóżku. Ma szczupłe, androgyniczne ciało dziecka albo anioła, sterczące łopatki wyglądają nawet jak zawiązki skrzydeł. W jej ruchach jest frywolna niewinność, kiedy zamiast kubka unosi do ust butelkę i pije. Ciemne oczy uśmiechają się w świetle błyskawic, czerwona strużka ścieka na drobne dziewczęce piersi. Słodycz winnych gron miesza się ze słonym smakiem potu, kiedy zlizuję wino z jej skóry. Irenka odchyła się do tyłu i pomrukuje cicho. Jestem prawie pewna, że wciąż się uśmiecha. Jej ręka w moich włosach głaszcze i naprowadza usta na najbardziej wrażliwe miejsca. Irenka, Inka, Irenka. Imię zapada w mrok tak jak wcześniej słowa. Nic, co wydarzy się podczas tych ciemnych godzin, nie będzie miało znaczenia, noc przedburzowa zniknie jak wszystkie noce poprzednie, najpierw chłodne i wiosenne, a później letnie, zdysane upałem. Rano usiądziemy przy tym samym stoliku, będziemy podawać sobie ciepłe jeszcze rogaliki i rozmawiać o pogodzie. To dobrze, że wreszcie przyszedł deszcz, prawda?, powiem, a może powie to ona.

Wciąż nie pada.

Przy pocałunku nasze zęby zderzają się lekko. Irenka cała smakuje słodczą winą, cała jest piękna, zwinna i gładka. Kiedy się odsuwa i niecierpliwymi ruchami próbuje poradzić sobie z moją koszulą nocną, jej skóra opalizuje w mroku delikatną mleczną poświatą. Pomagam jej. Ja nie jestem piękna, ale to także nie ma znaczenia. Ciemność zaciera granicę pomiędzy naszymi ciałami, błyskawice chwytają nas w światło na chwile zbyt krótkie i zbyt oszołomione, by zapamiętać coś więcej niż rozkwitające pod powiekami powidoki i smak rozkoszy w ustach. Irenka, Inka, Irenka.

Zbudziłam się, gdy wreszcie zaczęło padać. Mokra firanka łopotała w oknie, wiatr niósł drobne krople deszczu, które osiadały na twarzy jak rosa. Starłam je odruchowo i wyciągnęłam rękę, też odruchowo, wciąż w półśnie. Łóżko po stronie Irenki było zimne. Odwróciłam się; na nocnym stoliku płomyk pełgał w zalanym woskiem lichtarzu. Dziwne. Byłam pewna, że gdyby dziewczyna wróciła do siebie, wzięłaby świecę.

Pełna złych przeczucí odszukałam koszulę nocną, materiał przyłgnał do wilgotnych pleców. Drżałam z zimna, moje ciało ponownie wepchnięte w stare granice, znów byłam sobą. To, co za chwilę się wydarzy, będzie już miało znaczenie. Bałam się.

Dopiero teraz zauważyłam jasny pasek pod drzwiami łazienki. Wstałam w czerni deszczowej nocy, niezgrabna i pragnąca znów roztopić się w nierealności. Otworzyłam drzwi, za nimi było światło oraz Irenka, tak jak się spodziewałam naga, skulona na zimnej posadzce. Nie widziała mnie. Mogłabym odejść, udając, że jej nie znalazłam. Chciałam tego - jej nagość w jaskrawym blasku żarówki łamała prawa nocnej intymności.

- Irenka?

Powoli odwróciła głowę. Oczy miała zbyt ciemne, a twarz zbyt bladą. Już nie była zwinna, lecz wciąż piękna - i w niczym nie zmieniały tego blizny wokół nadgarstków, które w pełnym świetle widziałam tak wyraźnie. Wzrokiem poszukałam śladów krwi, na posadzce, na jej białej, anielskiej skórze. Nie znalazłam.

- Co tu robisz? Zmarzniesz przecież. Zawołać doktora Krępińskiego? Może położysz się do łóżka u siebie?

Przekazać ją w obce ręce, pozbyć się, wytłumaczyć jej nagość w mojej łazience. Irenka patrzyła na mnie bez słowa. Objęłam ją niezgrabnie, dziewczęce ciało spoczęło w moich ramionach zimne, gładkie i ciężkie.

- Boję się - powiedziała wreszcie.

- Czego?

- Nie wiem. Opowiesz mi o Czarnem?

- Powinnaś spać.

- Opowiesz?

– Tak, jeśli wrócisz do łóżka.

Leżymy, objęte w półmroku świtu. Deszcz łomocze o szyby, ciepły oddech Irenki muska szyję.

– Mój młodszy brat cofa czas – mówię – a starszy popycha go do przodu.

7.

Franciszek i Staś

wspomnienia

Mój młodszy brat cofa czas, a starszy popycha go do przodu.

Franciszek zawsze przypominał ojca. Chłopiec, który patrzył w przyszłość, a nie w przeszłość. Pociągało go wszystko, co nowe i lśniące: samochody i aparaty fotograficzne, telefon i elektryczność. Najstarszy z rodzeństwa, więc urodzony przywódca. Odważny, dumny i odpowiedzialny - a przynajmniej potrafiący sprawić takie wrażenie. Nie wiedziałam, czy rzeczywiście taki był, czy też rola ta została mu narzucona, przyjął ją, bo nie miał wyboru. Syn pierworodny, najważniejszy. My rozwijaliśmy się w cieniu, ja i Staś, który nigdy nie wyrósł na Stanisława. Dziecko powolne, lecz nie głupie. Gdy był mały, miał w sobie niedzicinną powagę i cierpliwość, a kiedy dorósł, pozostała w nim chłopięca niewinność - można było odnieść wrażenie, że nie zmieniał się wcale, rósł tylko i męźniał, ale w gruncie rzeczy pozostawał wciąż tym samym Stasiem, którego nazywaliśmy zdrobniałym imieniem, nawet gdy sypnął mu się wąs. Ciastka jedzone w jego towarzystwie miały smak tych z dzieciństwa, barwy stawały się intensywniejsze, matka przy nim młodziła i zapominała o troskach.

Franciszek należał do ojca, a Staś do matki. Ja pomiędzy nimi, dziecko średnie i niczyje. Tacy przyjeżdżaliśmy każdego lata do Czarnego, w czerwcu, gdy zakwitały lipy, by wyjechać stamtąd dopiero pod koniec sierpnia. Podróżowaliśmy pociągiem, samochodem, powozem. Lokomotywa, sapiąc, wypuszcza kłęby dymu, my stoimy na siedzeniach w przedziale i wysuwamy głowy przez okna przy wtórze trwożnych

okrzyków matki: przestańcie, bo was przewieje! Przed nami soczysta zieleń traw, szachownice pól w odcieniach brązu, złote łany dojrzewającej pszenicy. Wciągamy głęboko w płuca zapach lasów, wakacji i wolności. Pamiętam moich braci kłócących się o to, kto zasiądzie na kozle obok woźnicy i kto pojedzie z ojcem nowym dwuosobowym oplem. Wspomnienia nakładają się na siebie, jedziemy powozem i jedziemy samochodem, wszystko w jednym czasie. Nieważne. W Czarnem już na nas czekają, wszystko zostało przygotowane, pościel wywietrzona, kolacja na stole, w kominku płonie ogień, bo przecież wieczory bywają chłodne.

Czerwiec zmienia nas w gromadkę dzikusów. Z początku matka upiera się, że będzie z nami powtarzać lekcje, byśmy nie opuścili się w nauce przez te dwa ciepłe miesiące - ale nic z tego, zasypiamy nad podręcznikami albo uciekamy do lasu, nad rzekę i nikt nie ma sumienia nas za to karcić. Dostajemy więc dyspensę i odtąd możemy do woli włączyć się po okolicy, matka narzeka, że gdy wracamy, we włosach pełno mamy świerkowych igieł, że buty znów ubłocone, a ubrania rozdarte i poplamione jeżynowym sokiem - ale nie ma w tym prawdziwej złości, matki muszą mówić takie rzeczy, podobnie jak starsi synowie muszą być zuchwali, a młodsi rozpieszczani. Tylko dla mnie nie ma żadnej roli. Jestem dziewczynką, a więc ledwo zadatkem na pannę, istotą nieukształtowaną, której można pozwalać, by bawiła się z braćmi. To nie ma znaczenia, matka głęboko wierzy, że w swoim czasie bez trudu uczyni mnie tym, kim być powinnam.

Ojciec nie mieszka z nami przez cały czas. Pracuje w mieście, więc przyjeżdża tylko na soboty i niedziele. Czekamy na niego na zakręcie, za którym widać już dom - w miejscu, w którym później będę stała, przytrzymując dłonią kapelusz ozdobiony kokardą i kwiatami. Na razie jest jednak jeszcze wcześniej i wciąż jesteśmy dziećmi. To czas brodzenia po kolana w Czerniance, szerokiej, lecz płytkiej rzece o bystrym nurcie, który czasem okazuje się tak bardzo zdradliwy. Bose stopy z trudem utrzymują równowagę na śliskich, krągłych kamieniach i wystarczy chwila, by upaść w toń. Wtedy woda zimną strugą wlewa się za kołnierz,

zalewa uszy i oczy, śmiech rodzeństwa dobiega stłumiony z oddali i tak trudno jest wstać, kiedy nogi się rozjeżdżają, a nurt szarpie za kolana jak zły pies. Kochamy rzekę i walczymy z nią, budujemy tamy, które przetrwają do pierwszego deszczu, i tratwy, które utkną w chaszczach, przepłynąwszy ledwo kilka metrów. Leżymy na brzegu, mrużąc oczy, gdy słońce odbija się od wody, kładąc na Czerniance złote, rozedrgane plamy. Światło już nigdy później nie będzie tak jaskrawe, a my tacy szczęśliwi. Sięgamy pod gnijące korzenie w zimne, obce miejsca, gdzie rzeka jest naprawdę czarna, i wyciągamy z mulistego dna otoczaki - żyjące na nich ślepe, wijące się stworzenia wydają się nam zabawne i fascynujące jednocześnie. Wydeptujemy w lesie własne ścieżki i każdego roku zapuszczamy się coraz dalej.

Lato - czas wylegiwania się na kocu w ogrodzie, czas ogniskowych opowieści i ciepłych racuchów jedzonych na strychu, gdzie pachnie starym drewnem, a w dach bębni deszcz. Świece zabierane wieczorami do sypialni, pościel, którą trzeba rozgrzać własnym ciałem, i modlitwy przed snem, gdy cienie tańczą na ścianie, a pachnący lasem mrok połyka słowa. Byliśmy święci, choć każdego dnia popełnialiśmy dziesiątki drobnych grzechów.

Dorosłość wydawała mi się wówczas tak bardzo odległa. Kojarzyła się z ojcem, nigdy z matką, lecz właśnie z ojcem, gościem w naszym domu. Nie pasował do Czarnego. Wiejskie błoto na miejskich trzewikach, żdzbla traw na szytych wedle londyńskiej mody spodniach - wszystko to wywołuje grymas niesmaku na przystojnej męskiej twarzy. A przecież ojciec wcale nie staje się mniej elegancki. Oni już tacy są, w ich przypadku nawet blizny, brud, czy podarte ubrania wydają się malownicze i na swój sposób właściwe. Nasz gatunek nie ma takiego luksusu. My doskonali jesteśmy tylko w dzieciństwie, jak ja niegdyś i jak Irenka teraz.

Pamiętam dzień, gdy ojciec po raz pierwszy przyjechał do Czarnego samochodem. Czekaliśmy jak zawsze na zakręcie, w miejscu gdzie kiedyś stałam, przytrzymując dłonią kapelusz ozdobiony kokardą i kwiatami. Najpierw usłyszeliśmy płoszący ptaki warkot silnika, potem zza drzew

wyłoniła się czerwono-złota maska opła. Gdy ojciec zahamował, Franciszek podbiegł, by nabożnie dotknąć po kolei każdego z czterech wyłupiastych reflektorów. Staś trzymał się z tyłu, wyraźnie nieufny wobec tak oczywistego przejawu nowoczesności. Ja nie mogłam się zdecydować. Właśnie wtedy pomyślałam, że dorosłość taka właśnie musi być - zimna i gładka, pociągająca i przerażająca jednocześnie.

Niemal wszystko, co wydarzyło się w Czarnem, było fałszywe, a przecież wciąż nie potrafię myśleć o tamtych czasach bez tęsknoty w sercu.

8. Gwiazdy

teraz

Fascynują mnie rzędy książek w gabinecie Krępińskiego. Ciężkie woluminy w skórzanych okładkach, z tytułami wybitymi na grzbietach złotymi literami. *Über infantile Sexualtheorien, Psychologische Typologie, Allgemeine Gesichtspunkte zur Psychologie des Traumes* - wszystko tu brzmi teutońsko i groźnie. Krępiński studiował w Berlinie i niemieckim posługuje się równie sprawnie jak polskim. Książki pachną kurzem i starym, wilgotnym papierem, to woń zapomnianych bibliotek i tajemnic. Biorę je czasem do ręki i przeglądam, a Krępiński śmieje się zza biurka. Wie, że nie znam niemieckiego, moja duma znów została zraniona, więc czym prędzej odkładam trzymany w rękach tom i sięgam po atlas astronomiczny. To jedyna książka po polsku. Krępiński mruży oczy. Za połyskliwą zasłoną rozświetlonego słońcem kurzu brzydka twarz mężczyzny zyskuje niespodziewaną szlachetność i doktor wygląda teraz jak święty z bizantyjskich ikon.

– Interesujesz się astronomią? – pyta.

– Nieszczególnie – odpowiadam. – Pożyczyłam kiedyś od brata podobny atlas i próbowałam rozpoznać gwiazdy, ale nic się nie zgadzało. Niebo było całkiem obce.

– Jeśli chcesz, mogę ci pomóc.

Umówiliśmy się na godzinę po zachodzie słońca. To dobry czas: zmrok już zapadł, a jednocześnie najbardziej nawet plotkarskie języki nie mogłyby oskarżyć nas o nocną schadzkę. Krępińskiemu nie zależało, to ja nalegałam na taki wybór. Brzydki lekarz wyraźnie mnie wyróżnia i

pozostali pensjonariusze zdążyli to zauważyć.

Przysłałam punktualnie i usiadłam obok złożonego na noc parasola. Krzesło było zimne i znacznie mniej wygodne niż za dnia, przez cienki materiał sukni węzły wciskały się w skórę. Tak już jest z ogrodowymi meblami - po zmroku stają się nieprzyjemne, dzieci widzą w ich kształtach przyczajone w ciemności potwory, a dorośli, siadając na plecionej wiklinie, czują się nieswojo i dziwnie samotnie.

Wypaliłam papierosa bardziej po to, by opędzić się od komarów, niż dlatego, że miałam na niego ochotę.

Zza pleców dobiegał stłumiony gwar sanatorium, ale ja należałam do innego miejsca, otulona ciszą jak morską wodą, której szum mogłam usłyszeć, jeśli tylko dobrze wyętyłam słuch. Czekałam. Doktor Krępiński nie był pierwszym mężczyzną, który przyrzekł, że pokaże mi konstelacje, jednak jak dotąd żaden obietnicy nie dotrzymał. Nie zdziwiłam się więc, gdy mijały minuty, a brzydki lekarz wciąż nie nadchodził. Wreszcie wstałam, gasząc ostatniego papierosa, niepewna, czy jestem bardziej rozczarowana, czy może jednak zadowolona. Niebo nade mną jak sieć pełna gwiazd; wciąż obce i tak bardzo inne od tego, które widywałam w atlasach.

9. Lato Indian, sarna

wspomnienia

Jesteśmy dziećmi i wciąż trwa lato. Rzadko się zdarza, byśmy żyli w zgodzie, zazwyczaj toczyliśmy ze sobą wojnę, w której sojusze zmieniają się nieustannie. Chłopcy przeciwko dziewczynce, dwójka starszych przeciwko najmłodszemu czy wreszcie para młodszych przeciw synowi pierworodnemu. Nikt długo nie jest sam, ale też nikt nie ma pewności, że nazajutrz jego towarzysz nie okaże się zdrajcą. Tamto lato zaczyna się sojuszem chłopców przeciw dziewczynce, kiedy Franciszek i Staś dostają od ojca po książkę o Indianach. Ja zostałam pominięta, jestem dziewczynką, więc w prezencie otrzymuję lalkę - nie chcę jej, wołam książkę, a bracia proponują nawet, że pożyczą mi swoje egzemplarze: Franciszek robi to z łaskawą wyniosłością, Staś natomiast nieśmiało, ale tak czy inaczej efekt jest ten sam. Zacinam się w uporze, duma nie pozwala mi przyznać, że pożądam powieści o Indianach bardziej niż lalki z porcelanową twarzą i ruchomymi rękami. Tego lata jestem małą damą bardziej niż kiedykolwiek, udaję, że interesuje mnie wyszywanie poduszek, i piszczę, gdy bracia rzucają we mnie pecynami błota. Franciszek ma już prawie czternaście lat, jest barczysty i wzrostem dorównuje wielu dorosłym. Nie zdołałabym go pokonać, ale mogłabym przynajmniej z nim walczyć, jestem przecież wysoka i silna. Jednak wtedy, w dzieciństwie, siła społecznych nakazów nie pozwala mi nawet o takiej ewentualności pomyśleć.

Szarpałam się więc i krzyczałam, gdy bracia przywiązywali mnie do drzewa, szarpałam się, lecz niezbyt mocno, nie na tyle, by skrzywdzić

któregoś z chłopców czy potem zerwać krępujące mnie więzy. Dzieci wyczuwają instynktownie, że zabawa opiera się na pewnych regułach i okrucieństwo także ma w nich swoje miejsce.

Franciszek przyniósł łuk wycięty z cisowego drewna, z żyłką wędkarską w miejscu cięciwy. Dopiero teraz się zaniepokoiłam. Jednak łuk okazał się słaby, a może to mój brat nie potrafił się nim posługiwać, bo strzały spadały na trawę jak strącone w locie ptaki. Roześmiałam się, a po chwili wahania zawtórował mi Staś. Od tego czasu byliśmy sojusznikami, my, młodsi, którzy nie chcieli się już bawić w Indian. Jednak Franciszek był uparty. Z pomocą ojca zrobił lepszy łuk i ćwiczył strzelanie do celu, aż zyskał pewną rękę i oko. Obserwowaliśmy go najpierw z lekceważeniem, potem ze skrywanym podziwem i zazdrością. Wkrótce na powrót daliśmy się wciągnąć w zabawę w Indian, siła osobowości starszego brata była zbyt wielka, by jej się oprzeć. Franciszek zawsze dostawał to, czego chciał.

Chodziliśmy do lasu w trójkę, każde z własnym tukiem - nasze były ledwo kawałkami gałęzi związanymi sznurkiem, lecz ten Franciszka, z odpowiedniego drewna i wyprofilowany, okazał się zdumiewająco sprawnym narzędziem. Czasem strzelaliśmy do wiewiórek czy ptaków, ale nigdy nie udało nam się niczego upolować.

Aż do tamtego dnia.

Wybraliśmy się w górę strumienia, który wpadał do Czernianki niedaleko naszego domu, i wkrótce zaszliśmy dalej niż kiedykolwiek. Las był milczący i chłodny. Światło, przesiane przez odległe korony świerków, nabrało opalizującego zielonkawo koloru żuczyczych skrzydeł; drobinki próchna unosiły się w tym blasku jak maleńkie złote wróżki. Pnie drzew przypominały smukłe brązowe kolumny, obrosłe u podstawy ceniolubnymi paprociami. Warstwa opadłych igieł była tu tak gruba, że podłoże ugięło się pod ciężarem naszych ciał jak dywan, a suche gałązki pękały z cichym trzaskiem rozdeptywanych kości. Słyszeliśmy tylko szum wody i nic więcej, żadnych ptasich śpiewów czy szeleszczącej w krzewach zwierzyny. Pachniało cieniem i mokrymi kamieniami, ten kościelny zapach już na zawsze będzie mi się kojarzył z

czarniańskim lasem. Szliśmy korytem strumienia, mimo że od lodowatej wody drętwiały nam stopy, pełzając na kolanach, przekraczaliśmy zimne i śliskie pnie zwalonych drzew, które wilgoć pokryła zielonym kozuchem rzęsy. W miejscu, w którym paprocie cofały się, by dać dostęp do brzegu strumienia, zauważyliśmy odcisnięte głęboko w błocie ślady łap jakby wielkiego psa. Franciszek spojrzał na mnie porozumiewawczo, a jego usta uformowały słowo „wilki”. Skinęłam powoli głową, wskazując znacząco Stasia, który niczego nie zauważył.

Za następnym zakrętem zobaczyliśmy młodą sarnę. Stała w złocistozielonym snopie światła i patrzyła na nas krągłymi brązowymi oczami. Scena miała w sobie coś z nierealności książkowej ilustracji - i może właśnie dlatego zrobiliśmy to, co zrobiliśmy. A może nie.

Franciszek nieskończenie powolnym ruchem zdjął z ramienia łuk i naciągnął cięciwę. Sarna wciąż tkwiła w miejscu jak rudy posąg, lecz nawet Staś musiał wyczuwać, że jej spokój jest pozorny. Lada chwila mogła się poderwać do biegu i zniknąć nam z oczu. Ledwo odważyliśmy się oddychać.

Franciszek wypuścił strzałę, sarna skoczyła. Za późno, bo zaostrome drzewce już wbiło się w jej bok. Zwierzę wierzgnęło rozpaczliwie i znikło w krzakach. Spojrzeliśmy po sobie niepewnie, nagle zawstyżeni, świadomi spoconych twarzy i nerwowych oddechów. Gdy podniecenie opadło, naszymi ciałami wstrząsnął chłód, a las wydał się mroczniejszy niż wcześniej. Staś wyglądał, jakby się miał rozpłakać, Franciszek zacisnął usta i wojowniczo wysunął głowę. Dobrze znałam ten gest.

– Musimy ją odnaleźć – oświadczył tonem nie- znoszącym sprzeciwu.
– Wytropić po śladach krwi jak prawdziwi Indianie. Nie mogła uciec daleko.

Poszliśmy za nim, licząc, że śladów nie znajdziemy, że ciemny, gęsty las skryje naszą zbrodnię, a my będziemy mogli wrócić do domu i o niej zapomnieć. Jednak czerwona posoka była aż nadto widoczna nawet dla tak niedoświadczonych tropicieli jak my. Ubabrane nią gałęzie dzikich malin smagały nas po udach, gdy przedzieraliśmy się przez krzewy, kolce rozdzierały ubrania i kaleczyły twarze. Franciszek zyskał ciągnącą się

przez policzek krwawą pręgę, która nadała mu iście wojowniczy wygląd. W dłoni ścisnął nóż, подарowany mu przez ojca zeszłego lata.

Nie musieliśmy szukać długo. Sarna leżała kilkadziesiąt kroków od strumienia. Konała, jej pierś unosiła się w coraz płytszym oddechu. Zapach krwi mieszał się z wonią dzikiego zwierzęcia; ostry, ciepły smród, który mdlił i podniecał jednocześnie.

– Trzeba ją dobić – zdecydował Franciszek.

Staś odwrócił głowę. Ja nie, choć żołądek podchodził mi do gardła. Było mi gorąco, krwisto-zwierzęca woń otaczała nas jak para, osiadała na twarzach, kleiła się do ust. Mogłabym zlizać ją z powietrza i rozetrzeć na języku.

Franciszek pochylił się nad sarną. Sądziłam, że poderżnie jej gardło, ale on rozpruł brzuch, jednym gwałtownym ruchem, ze złością i z rozpaczą. Wnętrznosci wylały się na leśną ściółkę i - pamiętam to dobrze - w splotach sinych jelit ujrzałam dwa serca, wciąż jeszcze bijące.

10. Franciszek, Czarne

teraz

Franciszek zadzwonił, że przyjeżdża po południu. Włożyłam swoją najlepszą suknię, przebrałam się w codzienną, a później znów zmieniałam na wyjściową. Umalowałam się i starałam makijaż, który czynił mnie podobną do taniej prostytutki. Chciałam wyglądać dobrze i jednocześnie pragnęłam, aby nie było widać, jak wiele wysiłku w to włożyłam. Wyłamując palce, zastanawiałam się, czy sprawiam wrażenie szalonej, a jeśli tak, to w jaki sposób owo wrażenie zmienić - jednocześnie zaś moja дума podpowiadała, że niczego zmieniać nie powinnam, że próba udawania kogoś, kim nie jestem, będzie tylko kolejnym upokorzeniem na drodze mojego życia.

Rozmyślałam nad tym, czy Franciszek, jakiego ujrzę, będzie młody czy stary.

Był młody, taki, jakiego zapamiętałam z poprzedniej wizyty. Właśnie witał się w hallu z doktorem Krępińskim. Przystanąłam na schodach - jeszcze mnie nie zauważyli. Krępiński chwycił mojego brata za łokieć i z ożywieniem coś mu klarował. Nie słyszałam słów, lecz widziałam, że Franciszek nie jest zadowolony. Znałam go zbyt dobrze, by dać się zwieść wyrazowi twarzy, pod maską uprzejmości dostrzegałam zniecierpliwienie i niechęć. Franciszek godził się z czymś, co nie przypadło mu do gustu, i teraz, zaakceptowawszy nieuniknione, pragnął już tylko, aby brzydki lekarz puścić jego łokieć i przestał mówić. Wreszcie odsunął się stanowczym, lecz wciąż uprzejmym ruchem, uniósł głowę i na schodach ujrzał mnie.

Zeszłam, przywitać się z bratem.

– Coś ty zrobiła z włosami? – Były to pierwsze słowa, jakie od niego usłyszałam.

Usiedliśmy na zewnątrz i w ciepłe słońca piliśmy lemoniadę. W szklankach podzwaniały kostki lodu, mój brat jak zawsze był nieskazitelnie elegancki i wciąż bardzo przystojny, choć w jego włosach pojawiły się pierwsze siwe nitki. Miałam pewność, że wyglądałby tak samo doskonale, gdyby zjawił się tu w pożyczonej od ko- miniarczyka marynarce i spodniach ubabranych gnojem. Był taki jak ojciec, jak oni wszyscy.

– Doktor mówi, że czujesz się już znacznie lepiej.

Ach, więc o to chodziło. Krępiński musiał mu wytknąć, że już najwyższa pora, abym wróciła do domu. Jestem zdrowa, przynajmniej na tyle, na ile to możliwe. Zrobiono dla mnie wszystko i powinnam zwolnić miejsce dla innej kuracjuszki.

– Jeśli się pospieszymy, zdążymy na popołudniowy pociąg do Warszawy. – Szybki, nerwowy rzut oka na zegarek.

Zesztywniałam cała. Nie chciałam jego łaski; niecierpliwość Franciszka, jego ledwo skrywane roztargnienie obrażały mnie. Przyjechał tu w przekonaniu, że to tylko krótka wizyta, ale trudno, skoro trzeba, zabierze mnie do domu i przekaze pod opiekę poszarzałej, zmęczonej żonie, wciśnie jakoś ten siostrzany problem pomiędzy liczne interesy, których nawet nie próbowałam zrozumieć, a dwójkę rozwrzeszczanych dzieciaków. Powinnam tylko zachowywać się spokojnie, bo przecież Franciszek nie ma głowy do damskich fochów.

– Chętnie tu zostanę.

– Nie opowiadaj głupstw. Nie możesz tu zostać, skoro przestanę za twój pobyt płacić.

Brutalny argument zamknął mi usta. Kwadrans później siedziałam już w zamówionej dorożce, a posługacz znosił walizki. Franciszek nie zamierzał tracić cennych minut, czasu wystarczyło ledwo na to, by doktor Krępiński przekazał mi życzenia powodzenia i zapewnił, że jestem całkowicie zdrowa. Chciałam pożegnać się z Irenką, ale była

właśnie na zabiegu, zresztą i tak nie wiedziała bym, co powiedzieć. Milczałam przez całą drogę na stację i później, kiedy usiedliśmy w dworcowej kawiarence. Do przyjazdu pociągu zostało dziesięć minut.

– Zamówić ci coś? – Franciszek przeglądał menu.

– Zresztą chyba nie warto, w pociągu będziemy mogli lepiej zjeść...

Dlaczego nic nie mówisz? Gniewasz się?

Uparcie patrzyłam w okno, za którym przechadzały się baby w chustkach z koszami wypchanymi żywym ptactwem. Kilku bagażowych, wykorzystując czas przed przyjazdem następnego pociągu, grało w karty; za stolik służyła im odwrócona do góry dnem skrzynka po pomarańczach. Światło późnego popołudnia spowijało ich wszystkich w zawiesisty kolor lipowego miodu, powietrze było nieruchome i ciepłe. Wyglądali na szczęśliwych.

Franciszek wstał, obszedł stolik i ujął mnie za rękę.

– Biedactwo – powiedział. – Źle cię potraktowałem, prawda? Widzisz, taki już ze mnie brutal. Ale przecież nie miałem nic złego na myśli, chcę dla ciebie dobrze. Wybaczysz? Obiecuję, że się poprawię, no już, popatrz na mnie, nie warto się boryać z powodu takich głupstw.

Słowa wytaczają się z jego ust jak gładkie kamyczki - znam ten ton, tę odruchową, powierzchowną uprzejmość, którą Franciszek posługuje się tak łatwo. Mój brat potrafi być miły, gdy mu na czymś zależy, a teraz najwyraźniej uznał, że poproszenie o wybaczenie jest najprostszą metodą udobruchania krnąbrnej siostry. Słucham go, wciąż milcząca i wpatrzona w okno, ale nie mogę przecież tak siedzieć w nieskończoność, nawet mnie wydaje się to głupie. Nie wierzę Franciszkowi, oczywiście, że nie, jednak nie mam żadnych argumentów. Jak mogę mu powiedzieć, że doskonale wiem, iż każde jego słowo to fałsz, a on nawet nie jest moim bratem?

Ostatecznie więc wsiadamy do pociągu na pozór pogodzeni - ja co prawda odpowiadam półśłówkami, lecz Franciszkowi najwyraźniej to wystarcza.

W wagonie restauracyjnym jemy wczesną kolację, po czym wracamy do przedziału. Otwieram okno. Słońce maluje krwawo pola i wiejskie

drogi; czerwona tarcza już do połowy schowana za horyzontem, na jej tle odległe drzewa i chaty jak szkicowane węglem: czarne, maleńkie, z konturami obrysowanymi ogniem. Wieczór opada na świat w miękkich purpurowych cieniach. Wciąż jeszcze jest ciepło i tylko pęd chłodzi moją głowę, mkniemy przed siebie, nad nami smuga dymu, wszechogarniający żelazny stukot kół - pociąg dygocze, a my wraz z nim.

Franciszek coś mówi. Odwracam się.

- Zamknij okno, przewieje cię.

Jakbym słyszała matkę. Zasuвам szybę i siadam posłusznie. Świat za nią zastyga i szarzeje.

- Co u Stasia? - pytam.

- Zamieszkał w Czarnem. - Franciszek wzrusza ramionami. Przez jego twarz przemyka cień irytacji. - Sam, bez służącego.

Przez chwilę sądzę, że irytacja brata wiąże się z wyborem Stasia - Franciszkowi dobrowolne wygnanie musi się wydawać szaleństwem. Jednak to nie wszystko. Wyczuwam we Franciszku opór i niechęć. Jest coś, o czym nie ma ochoty mówić, a jednocześnie z jakiegoś powodu najwyraźniej sądzi, że powinien to zrobić.

Patrzę na niego, ale milczy.

Wstaję i znów otwieram okno, pęd powietrza rozwiewa mi włosy. Właśnie wtedy, gdy jestem odwrócona tyłem, gdy pociąg z łoskotem przelatuje przez żelazny most - wtedy Franciszek mówi jedno zdanie.

Zasuвам szybę.

- Mógłbyś powtórzyć?

- Słyszałaś.

- Proszę.

- To głupstwo, nie warto o tym mówić.

Zaciśnięte szczęki świadczą, że nic więcej z niego nie wyciągnę. Co powiedział? Wróciliśmy do Czarnego, czy oni wrócili do Czarnego?

Tak naprawdę to jedno i to samo.

11.

Staś, Czarne

teraz

Potrafię to sobie wyobrazić.

Staś-dziecko nigdy nie zaakceptował Stasia-dorosłego. Pamiętam, jak patrzył na swoje ręce - musiały mu się wydawać obce, gdy upuszczał szklankę albo niezgrabnie, z zakłopotaniem usiłował chwycić zabłąkanego motyla w dwa potężne palce. Żył na wpół zanurzony w przeszłości, która dla niego była bardziej realna niżli terażniejszość - na tę spoglądał z oszołomieniem jak na coś, co przydarzyło się przypadkiem, a czego nigdy nie pragnął. Dlatego wrócił do Czarnego, dlatego zamieszkał sam w opuszczonym domu. Mógłby wynająć kogoś do pomocy, lecz byliby to inni ludzie niż służący z czasów naszego dzieciństwa, a Staś nade wszystko unikał zmian. Na jego prośbę Franciszek zrezygnował z pomysłu podciągnięcia do Czarnego linii telefonicznej i założenia elektryczności, na jego prośbę nieodnawiany budynek niszczał, z każdą słotną jesienią i śnieżną zimą coraz bardziej chyląc się ku upadkowi.

Potrafię to sobie wyobrazić.

Każdego ranka Staś wstaje i naciąga koszulę na zeszywniałe, pokryte gęsią skórą ramiona. Przez brudną szybę wpada zmętniałe światło słońca, w powietrzu unosi się woń wilgoci. Staś schodzi na dół - o tej porze kuchnia jest jeszcze pogrążona we śnie, czas zastygł tu w zakurzonej ciszy, zegary milczą, pod sufitem pająki przędą sieci. Nawet resztki wczorajszej kolacji na stole sprawiają wrażenie poszarzałych, jakby zdążyły już wrosnąć w ten letargiczny krajobraz

Staś budzi kuchnię do życia - otwiera okno i rozpala ogień, pomieszczenie wypełnia zapach świeżo zaparzonej kawy. Mężczyzna zjada śniadanie, potem przyniesie wodę ze studni i narąbie drewna. Jeszcze trzeba okopać groszek i podeprzeć pędy, jeszcze przydałoby się załatać ciekący dach. Im bliżej południa, tym bardziej aktywność Stasia maleje, a jego działania stają się bardziej chaotyczne. Odkurza stół, ale resztę sprzętów już nie, naprawia starą zabawkę, choć obok są dziesiątki rzeczy bardziej domagających się jego uwagi. W ogrodzie wypielęgnowane grządki kontrastują ze zdziczałym gąszczem. Przeraża go ogrom czekającej nań pracy i jego własny brak doświadczenia - dotąd przecież nie zajmował się domem. Rozum podpowiada mu, że musi pracować, bo inaczej nigdy nie doprowadzi Czarnego do porządku, lecz instynkt mówi, że to niepotrzebne, że wystarczy pozwolić, by sprawy biegły swoim własnym torem, a wszystko będzie dobrze. W południe instynkt zwycięża i Staś spędza resztę dnia, włócząc się po domu i ogrodzie. Przysiada na okulawionych krzesłach, wywleka ze strychu pudła pełne starych lalek, czyta książki, poznaczone na marginesach tłustymi śladami dziecięcych palców. Od czasu do czasu pod dom podjeżdżają okoliczni chłopci. Przywożą mleko w bańkach, jajka i masło, świeżo upieczony chleb i pęta pachnącej jałowcem kiełbasy. Staś bez mrugnięcia okiem płaci cenę dwa, a czasem nawet trzy razy wyższą, niż zapłaciłby w sklepie. Pieniądze trzyma w kredensie, w puszcze po herbatnikach, zapas odziedziczonej po ojcu gotówki wciąż jest spory, choć ostatnio zaczyna topnieć. Za drzwiami stoi gotowa do użycia strzelba - Staś wie, że puszka byłaby łakomym kąskiem dla chłopów, a jego naiwność ma swoje granice.

Czasem Stasia odwiedza starszy brat. Franciszek przywozi z Warszawy kawę i cukier, francuskie koniaki i angielskie ciastka. Koniaki Staś znosi do piwnicy, gdzie dołączają do rzędów zakurzonych, oplecionych pajęczynami butelek i słoików, ciastka zjada, popijając mlekiem. Jak dawniej, jak w czasach dzieciństwa.

Franciszek nigdy nie chce zostać długo, a Staś nigdy nie stara się go zatrzymać. Sprawy muszą biec własnym torem.

Każdego ranka koszula wciągana na zziębnięte ciało wydaje się jakby nieco luźniejsza, a kuchnia, do której Staś schodzi, mniej senna. Pewnego dnia z chrobotem odzywa się wiszący nad stołem zegar. Staś nie pamięta, żeby go nakręcał, ale też nie zaprzęta tym sobie głowy. W zlewie zastaje dwie nieumyte filiżanki - a przecież wczoraj korzystał z jednej.

To pamięta, prawda?

Gdy wchodzi po schodach, ktoś znika w pokoju na piętrze. Cień na ścianie, szybkie, miękkie kroki - trwa to ledwo chwilę, dźwięk wynurza się z ciszy i ginie w niej, nim Staś zdąży zdać sobie sprawę, że był świadkiem czegoś niezwykłego.

Pokój na piętrze jest pusty, lecz drzwi kołyszają się lekko, poskrzypując.

Każdego ranka Staś z coraz większą niechęcią zabiera się do pracy i coraz więcej czasu spędza, po prostu siedząc na ganku i wpatrując się w ogród. Mimo to dom wcale nie wygląda źle. Wręcz przeciwnie, kurzu jest jakby mniej, znikła rysa przecinająca w pół szybę w kredensie, a krzesło, na którym strach było usiąść, wydaje się znacznie stabilniejsze.

Staś rozpała w piecu, rąbie drzewo, nosi wodę ze studni i gotuje proste, kawalerskie obiady. Papierosy, które nauczył się palić na studiach, smakują mu coraz mniej, w końcu więc wrzuca ostatnią paczkę do ognia nie czuje już potrzeby nikotyny. Ma za to ochotę na sok wiśniowy i przypomina sobie, że w piwnicy widział zapomnianą butelkę. Stoi na ostatniej półce, za wysoko, by Staś mógł dosięgnąć, ale zawsze przecież może wziąć krzesło.

Tego dnia Staś znów musi podwinąć rękawy koszuli. Spodnie wyrzuca, znacznie lepiej będzie się czuł w starych, które znalazł w szafie. Nocą budzi się z wrażeniem, że ktoś stoi obok łóżka. Jest ciemno, dom nie pachnie już starością i wilgocią, ale ostrym, żywicznym chłodem. Staś słyszy ciche posapywanie - zbyt nisko jak na dorosłego, ktokolwiek wszedł do pokoju, musi mieć wzrost dziecka. Mężczyzna, który tak naprawdę nie jest już mężczyzną, wyciąga rękę i jego palce ześlizgują się po miękkim policzku. Ciemność wybucha śmiechem i tupotem drobnych stóp. Staś nie próbuje ścigać nocnego intruza.

Rano na stole w kuchni zastaje dymiący kubek zbożowej kawy i kromkę z miodem. Chleb jest czerstwy, ale to nie ma znaczenia. Zjada śniadanie, patrząc na podnoszącą się znad ogrodu mgłę. Jaka jest pora roku? Wczesna jesień, późna wiosna czy może chłodne lato? Staś sięga po leżącą na stole gazetę, ale datę zasłania akurat plama dżemu truskawkowego, a artykuły są wyjątkowo niezrozumiałe. Ostatecznie więc zwija się w kłębek na fotelu i czyta ulubioną książkę o chłopcu, który płynął tratwą w dół Missisipi. Staś też chciałby tak popłynąć, ale Czernianka jest za płytka. O szyby bębni deszcz, chłopiec usypia. Budzi go zimno i głód. Ogień w piecu wygasł, a w spiżarni zostało tylko kilka zeschniętych ciastek. Zjada je, starannie zlizując z palców okruszki, i popija zimną wodą. Pamięta, że kiedyś przyjeżdżali tu ludzie z jedzeniem, ale od dawna już ich nie ma. Gdzie się podziali? Nic to, trzeba po prostu poczekać, Staś wie przecież, że prędzej czy później ktoś się zjawi. Tej nocy dygocze z zimna, a rankiem znajduje na nocnym stoliku zielone jabłko. Jest smaczne: soczyste i lekko kwaśne. Może w ogrodzie będzie takich więcej? Będzie. Staś obchodzi posiadłość, zbierając, co mu wpadnie w ręce - jabłka, śliwki oraz wyrosłe w trawie rydze. Zjada to wszystko, a potem wymiotuje. Boli go brzuch, czoło ma rozpalone. Ledwo starcza mu sił, by dowlec się do łóżka i owinąć kołdrą. Ktoś odwraca go łagodnie i wlewa w usta lekarstwo o cierpkim smaku. Potem gorący rosół, który uspokaja żołądek. Szepty i ciche, ostrożne kroki, jak zawsze w pokoju chorego dziecka. Budzi się i znów zasypia. Matka czyta mu książki, brat i siostra wpadają czasem, by przynieść znaleziony w rzece szczególnie interesujący kamień czy opowiedzieć o nowej przygodzie. Znikają później na długie godziny, ale chłopiec nie niepokoi się, choć pewnego popołudnia głód wygania go na dół, do kuchni, która jest teraz przyjazna i ciepła. W domu panuje cisza, a tym razem nie jest to bezruch opuszczenia, lecz wyczekiwania. Staś siedzi na stole wciąż w nocnej koszuli, choć niemal już zdrowy, i wyjada dżem malinowy prosto ze słoika. Przy jego łokciu dogasa fajka z wrzosowego drewna - stary Maciej będzie zły, nie lubi jej zostawiać - nad piecem wędzą się kiełbasy, deska do krojenia i wielki ostry nóż czekają, aż kucharka wróci i zacznie

przygotowywać obiad. Chłopiec wesoło macha nogami, dżem jest smaczny, przez okno wpadają promienie letniego słońca. Z ogrodu dobiega śpiew ptaków.

Staś czeka, aż jego rodzina wróci stamtąd, dokąd się wybrała. Ojciec pewnie przywiezie mu prezent, matka pogłaszczcze po głowie i przytuli, a brat i siostra zabiorą nad rzekę, gdzie będzie można się bawić do wieczora. Są przecież wakacje.

Potrafię to sobie wyobrazić.

12.

Wanda i fotografie, Rzym, Petra, Amsterdam

teraz

Wanda jest chuda, długoręka i lekko zgarbiona. Rozjaśnia włosy i nosi suknie w jaskrawych barwach, lecz cerę ma zmęczoną, a oczy przygaszone - to farbowany duch, który we własnym domu porusza się z nerwową niepewnością nowej pokojówki. Nie jest ładna, choć może kiedyś była, nie jest też nazbyt wykształcona czy błyskotliwa. Nie wiem, dlaczego Franciszek właśnie ją wybrał na żonę, nigdy nie ośmieliłam się zapytać. Mąż pragnie, by ubierała się elegancko i malowała twarz, więc spełnia jego życzenie, lecz wieczorem w bezkształtnym szarym szlafroku i przydeptanych pantoflach powraca do własnej nijakości - i w niej chyba czuje się najszczęśliwsza. Cichym, monotonnym głosem opowiada wtedy, jak bardzo jest zmęczona i jak trudno jest radzić sobie z dużym domem, wymagającym mężem i dwójką dorastających dzieci. Przytakuję, choć nigdy nie widziałam Wandy przy pracy, willą zajmuje się gosposia, a do cięższych prac przychodzi dwa razy w tygodniu służąca. Jednak zaprzeczanie byłoby dowodem złego wychowania i braku wdzięczności. Ostatecznie Franciszek i Wanda przyjęli mnie pod swój dach, nie żądając niczego w zamian. Łaska - słowo ma gorzki smak, jak lekarstwo. Staram się na coś przydać, ale nie ma ze mnie żadnego pożytku, postanawiam więc, że przynajmniej nie będę sprawiać kłopotów. Moje demonstracyjne usuwanie się w cień, moja grzeczność i milkliwość są pełne urazy, jakbym to ja została skrzywdzona. Daremnie czekam, aż ktoś to zauważy - ani mój brat, ani Wanda nie należą do

ludzi nadmiernie spostrzegawczych.

Teraz, latem, gdy dzieci spędzają wakacje u dziadków, popołudniami dom wydaje się nienaturalnie cichy. Samotność musi działać Wandzie na nerwy, bo instynktownie szuka mojego towarzystwa. Staram się być cierpliwa i już kilka razy zdarzyło się, że zostałam za to wynagrodzona.

Wanda wyjęła wówczas album ze starymi fotografiami. Ożywiła się i wyprostowała, a jej suche, kościste ręce manipulowały zdjęciami ze zřęcznością wróżki tasującej karty. Rozłożony na stole czarno-biały wzór wydawał się nieść ze sobą przesłanie, którego nie potrafiłam pojąć.

– Rzym – powiedziała Wanda, wskazując jedną z fotografii. – To my na tle fontanny di Trevi. Była wtedy wiosna, pamiętam, prawie wieczór. Pozowaliśmy z uśmiechami na twarzy, choć tak naprawdę trzęśliśmy się z zimna.

Na zdjęciu nie ma barw zachodzącego słońca, lecz doskonale potrafię sobie wyobrazić tamten moment. Oto starszy brzuchaty mężczyzna i jego córka, oboje sztywni i przejęci powagą chwili - przed wojną fotografowanie miało w sobie jeszcze coś z magii. Dziewczyna wydaje się bardzo młoda i bardzo niezgrabna, a jej kapelusz oraz suknia są zabawne i rozczulające zarazem.

– Rzym – powtórzyła Wanda, jakby przypominając sobie smak tego słowa.

Dla mnie Rzym to dźwięk monety ciśniętej na posadzkę, z gęstego, wieczornego słońca w chłodny cień za marmurową amforą.

Rzym.

Ojciec Wandy był malarzem, który w pogoni za umykającym natchnieniem przewlókł córkę przez całą Europę, kawałek Azji i sporą część Afryki. Pozostały po nim kiepskie obrazy, niezłe zdjęcia i sporo dobrych opowieści.

– To Petra. – Wanda ożywiła się jeszcze bardziej. – Sypialiśmy tam w namiotach, strasznie zresztą zapchlonych, a każdego ranka, jeszcze przed świtem, beduini przynosili nam gorącą, bardzo słodką i bardzo mocną herbatę. Piliśmy ją, grzejąc dłonie o kubki i patrząc, jak słońce wynurza się zza skał.

Taka właśnie jest Petra: szara i różowa, jak budzący się na pustyni dzień.

Amsterdam z kolei ma barwy granatu i bieli, to miasto bladych kwiatów i zimnej, ciemnej wody, jaka kryje się pod lodem.

Nie wierzę, by te wszystkie miejsca rzeczywiście istniały, lecz lubię, gdy Wanda o nich opowiada.

13.

Granica, ludzie śpiący na polu pod ziemią

wspomnienia

Gdy byłam dzieckiem, jeździliśmy na święta wielkanocne do rodziny ojca w okolice Krotoszyna. Krewni zaznaczyli się w mojej pamięci słabo: ciotka, która ukradkiem częstowała mnie czekoladkami z rumem, wąsaty i pulchny wujek, nadzwyczaj podobny do naszego nauczyciela muzyki, lecz zupełnie pozbawiony słuchu, kilkoro kuzynów, których twarze szybko zatarł czas. Nieważne. Dobrze zapamiętałam granicę. Nie fizyczną, rzecz jasna, lecz dla nas wyraźną jak rozcinająca ziemię przepaść. Choć Polska nie istniała na mapie, czuliśmy się Polakami, chodziliśmy do prywatnych szkół - mama nigdy nie pozwoliłaby nam uczęszczać do rządowych, gdzie językiem wykładowym był rosyjski - myśleliśmy i mówiliśmy po polsku. Dopóki mieszkaliśmy w Warszawie, świat wydawał nam się wypełniony podobnymi do nas Polakami. Lecz tam, po drugiej stronie niewidzialnej granicy mieszkali oni, ludzie z pruskim zmysłem porządku i manierami panów. A jeszcze dalej rozciągała się cała wielka Europa: swawolna Francja, słoneczna, egzotyczna Hiszpania i Grecja, gdzie nad jaskrawobłękitnym morzem wciąż jeszcze spacerują bogowie. W naszym dziecięcym pojęciu wszystko to było na wyciągnięcie ręki, wystarczyło jedynie przekroczyć magiczną linię.

Dlatego pewnego dnia ukradliśmy ciotce powóz.

Pomysłodawcą musiał być Franciszek, bo tylko on mógł się na to odważyć. Staś zabrał ze sobą ciastka - to z kolei pasowało do niego: pomyśleć o prowiancie, ale wybrać przy tym coś zupełnie

bezwartościowego.

Musieliśmy być wtedy bardzo mali, bo Franciszek ledwo radził sobie z dwoma zaprzęgowymi końmi, które to zwalniały, to znów przyspieszały ni stąd, ni zowąd. Zaczynałam wtedy piszczeć, bardziej dlatego, że tego się właśnie po mnie spodziewano, niż z powodu prawdziwego strachu. Powóz był ciężki, a konie zapasione; przy tempie, jakie rozwijaliśmy, w najgorszym razie groziło nam niespieszne zsuniecie się do przydrożnego rowu.

Nie pamiętam, jak długo jechaliśmy, mogło to być kilka godzin, a mogło być i pół - w dzieciństwie nawet krótkie wycieczki urastały do całodziennych wypraw. Pamiętam prostą drogę zwężającą się na horyzoncie w odległy punkt. Po obu stronach rosła pszenica, której barwa zdawała się zbyt żółta, by być prawdziwą. Nigdzie nie widziałam słońca, a niebo nad nami wisiało nisko: błękitne i ciężkie, z rozlanymi pasmami bladego złota jak żyłkowany marmur. Wyobrażałam sobie, że, gdybym stanęła na koźle i wyciągnęła rękę, poczułabym przesuwającą się pod palcami chłodną gładkość kamienia.

Siedzący z tyłu Staś zaczął płakać, Franciszek ściągnął więc lejce, by zatrzymać konie. Pamiętam ciszę, jaka zapadła, gdy umilkł stukot kopyt. Powietrze wokół było nieruchome i pozbawione życia, żaden ptak nie przeciął błękitno-złotego nieba, żaden owad nie wzbil się ponad żółte łany. Przydrożny kurz smakował nie gorącym lata, lecz pustką zapomnianego pokoju. Pamiętam, że patrzyłam na źdźbła pszenicy, każde smukłe i wysokie niczym powielony w milionach egzemplarzy ideał. Punkt, w którym na horyzoncie zbiegała się droga, wydawał się teraz bliższy, świat wokół skurczył się i zastygł w nierzeczywistym, płaskim upale, jak z obrazka w dziecięcej książce.

– Wracajmy – jęczał Staś. – Boli mnie brzuch.

– Nic dziwnego, skoro zjadłeś wszystkie ciastka – skarcił go Franciszek, ale minę miał też niewyraźną.

Dopiero teraz zauważyłam, że teren nie jest tu płaski, pszenica wyrastała z podłużnych kopczyków nie dłuższych niż groby, choć węższych. Rozmieszczone w równych odstępach, wyglądały na dzieło

ludzkich rąk, lecz nie miałam pojęcia, kto i po co usypał je na polu. Patrząc na nie, wyobraziłam sobie śpiących wewnątrz ludzi, z rękami złożonymi na piersiach i zamkniętymi oczami, które przykrywała ziemia. Oddychali tak lekko, że trzeba by się długo wsłuchiwać w ciała, aby zorientować się, że wciąż jeszcze żyją.

– Wracajmy – powiedziałam.

Gdy Franciszek, nie bez trudu, zawracał konie, ja wpatrywałam się w podłużne kopce. Pomyślałam wtedy, że być może to jest właśnie granica. Miejsce, gdzie można śnić na polu, bezpiecznie jak w kokonie. Wyobrażam sobie, że gdy śpiący się budzą, wypełzają spod ziemi, strzepując z walizek i podróżnych płaszczy pył, a potem wracają do domów, by opowiadać o miejscach w kolorze szarości i różu, a także o miastach, których nazwy brzmią jak dźwięk monety ciśniętej na posadzkę z gęstego, wieczornego słońca w chłodny cień za marmurową amforą.

14.

Zosia i ja

teraz

W połowie sierpnia do Warszawy wróciły dzieci Franciszka i Wandy. Piotrek prawie się nie zmienił, był tylko bardziej opalony, a na jego kolanach i łokciach czerwieniały skorupy na wpół już zdrapanych strupów. Zosia za to, którą pamiętałam jako marudne dziecko, wyrosła na pełną niezgrabnego wdzięku pannę. Widać jest już prawdziwą warszawianką, bo wieś wspomina źle - gdyby jej uwierzyć, można by przypuszczać, że z wakaq'i pamięta tylko komary, brudnych chłopów i smród gnoju.

Zosia najchętniej wyleguje się, rozciągnięta na kocu w ogrodzie. Czyta książkę albo po prostu drzemie, w szortach i krótkiej bluzeczce, z oczami osłoniętymi ciemnymi okularami, które upodabniają ją do gwiazdy filmowej. Lubię ją obserwować. Nogi ma długie i gładkie - gdy jestem wystarczająco blisko i patrzę pod światło, widzę krótkie, bardzo jasne i delikatne włoski, które w dotyku muszą przypominać meszek na skórcie brzaskwini. Tuż pod kolanem od tła barwy karmelu wyraźnie odcina się blada blizna w kształcie półksiężyca. Nigdy nie zapytałam, ale czasem się zastanawiam, co mogło pozostawić taki ślad. Kawalek szkła? Ostrze, które dawno temu wdarło się brutalnie w miękkie, dziecięce ciało?

Kiedy ja byłam w wieku Zosi, nie nosiłam szortów ani bluzeczek, tylko sukienki za kolana, grube pończochy i trzewiki, które trzeba było zapinać za pomocą haczyków. Gorset został mi oszczędzony, ojciec, gorący zwolennik nowoczesnej higieny, przekonał matkę, że szkodzi on rozwijającemu się kręgosłupowi, jednak buty były wystarczającym

narzędziem tortur. Nienawidziłam ich i kiedy tylko mogłam, biegałam boso po trawie. Matka zawsze mnie za to karciała, a ja zawsze obiecywałam, że więcej tego nie zrobię - i nigdy słowa nie dotrzymywałam. Tak dawno temu. Chciałabym znowu być młoda i niewinna, leżeć na kocu w ogrodzie i mieć poczucie, że wszystko jest jeszcze przede mną.

Tęsknię za dzieckiem, którym byłam. Dziewczynką o gładkiej skórze, nieświadomą tego, jak bardzo różni się od innych. Nocami, gdy nie mogę zasnąć, przywołuję zapamiętane z Czarnego obrazy. Zapach trawy w letnim słońcu, bzyczenie pszczół krążących nad kubkiem z sokiem malinowym. Było wtedy tak jasno i tak dobrze, a życie rozciągało się przede mną jak nieustające wakacje.

Dziewczynka w sukience za kolana i znienawidzonych bucikach stoi na skraju pola. Bracia nawołują, by się spieszyła, a ona odwraca się - tylko raz, tylko na chwilę, by spojrzeć na dom, który tak bardzo kocha. To chwila tuż przed zachodem słońca, gdy powietrze ma w sobie świetlistość młodego wina, z komina unosi się dym, a las pełen jest przyjaznych cieni.

Nie wiem, dlaczego ten właśnie moment zapamiętałam tak wyraźnie.

Moje wspomnienia ścierają się jak zbyt często przeglądane rysunki. Kolory blakną, wydarzenia gubią się w niepamięci. Tracę ją z każdym dniem. Dziewczynkę, która zdejmowała buty i biegła wraz z braćmi przez pole, by przy zakręcie czekać na ojca. Byłam nią kiedyś, ale teraz ona, choć tak bardzo kochana, jest obca i coraz bardziej odległa.

Jestem tam, w Czarnem. Zastanawiam się czasem, czy wciąż lubię biegać boso i czy matka pozwala mi teraz nosić krótką bluzeczkę i szorty.

15.

W Łazienkach, mężczyzna na ławce

teraz

Do Zosi przychodzą koleżanki - brzydkie i ładne, ale zawsze z manierami ładnych, wszystkie dobrze odżywione, jeszcze lepiej ubrane i wszystkie głupiutkie. Stłoczone na kocu chichoczą, zwierając się sobie z nastoletnich sekretów, a gdy pragną pójść na lody czy pojeździć na wrotkach, Wanda, która jest przeciwna temu, by młodziutkie dziewczęta włóczyły się same po mieście, każe mi iść z nimi.

Wlokę się więc w sierpniowe popołudnie za gromadką rozbawionych trzynastolatek. Nie mam odwagi ani do nich dołączyć, ani powiedzieć, by poszły swoją drogą, a sama zająć się własnymi sprawami. Udaję, że mnie nie ma, i jednocześnie pilnie je obserwuję - trochę ponieważ Wanda wieczorem będzie mnie wypytywać, a trochę dlatego, że fascynuje mnie ich energia.

W Łazienkach dziewczęta zakładają wrotki. Są w tym wieku, kiedy dziecko zmienia się w kobietę; mają jeszcze podrapane od włożenia na drzewa kolana i poobijane łokcie, a ich spódniczki rzadko są czyste dłużej niż godzinę. A przy tym potrafią z niewysłowionym, na wpół świadomym jeszcze czarem odrzucić włosy z czoła, spojrzeć zalotnie, wyduć usta w wyrazie pogardy.

Gdy siedzę na ławce, mam wrażenie, jakbym była niewidzialna, dziewczęta podają sobie ponad moją głowę ociekające rożki lodów i przerzucają się opiniami na temat najprzystojniejszych aktorów filmowych. Czuję zapach ich ciał, woń mydła, ziołowego szamponu i skradzionych matce perfum.

Nie istnieją dla nich.

Jednak to właśnie jedna z koleżanek Zosi zwróciła pewnego dnia uwagę na mężczyznę, który przyglądał mi się z sąsiedniej ławki.

– Niech pani spojrzy – powiedziała – ten pan obok cały czas na panią patrzy.

Zerknęłam dyskretnie, po trosze sądząc, że to dziecięcy żart. Ale chyba nie - mała nie dygotała od wstrzymywanego śmiechu, jak dzieci robiące dowcip dorosłym. Wręcz przeciwnie, była poważna i przejęta.

Mężczyzna na sąsiedniej ławce był jeszcze młody, choć już zaczynał łysieć. Około trzydziestki, oceniłam go, w okularach, i nerwowy, z zaafowanym wyrazem twarzy mola książkowego, który w bibliotece trafił na białego kruka.

Rozpoznaliśmy się tamtego popołudnia. Rozpoznaliśmy się z bezbłędną pewnością dawnych kochanków, z perfekcją matki odnajdującej zaginione dziecko. Bez jednego słowa, tylko wymieniając szybkie, speszzone spojrzenia. Mężczyzna, jak dowiedziałam się później, nazywał się Piotr Staszkiwicz i pracował w banku na posadzie kwalifikowanego urzędnika. Jednak nie miało to znaczenia - najważniejsze, że Staszkiwicz był dokładnie taki sam jak ja. Inny, obcy w tym świecie.

16. Sylwetka w ciemności

teraz

W nocy zbudził mnie szum ulewy.

Leżałam przez pewien czas z zamkniętymi oczami, kołysana monotonią tłukących o szybę kropel. Potem zmienił się rytm, silniejsze teraz poddmuchy rzucały na szkło kolejne fale deszczu. Framugi jęczały pod naporem mokrej, rozpluskanej i rozciurkanej ciemności, wiatr świszczwał w szczelinach. Bijące w okno strugi brzmiały, jakby ktoś ciskał garście żwiru, raz za razem, z regularnością uderzeń wielkiego, powolnego serca. Nie mogłam już zasnąć, wstałam więc i narzuciłam na ramiona chustę. W sypialni było chłodno - i w tym nagłym spadku temperatury czuło się już zapowiedź nadciągającej jesieni. Pomyślałam, że taką właśnie porą, pod koniec wakacji, przybyła do Czarnego Jadwiga Rathe, by nigdy stamtąd nie wyjechać.

Nie wiem, dlaczego akurat to przyszło mi do głowy.

Podeszłam do okna i osłaniając oczy dłonią, próbowałam wypatrzeć coś na zewnątrz. Wiatr miotał gałęziami rosnącego przy domu kasztanowca, dalej strugi deszczu rozmazywały światło ulicznej latarni w zamgloną i wilgotną plamę. Nic więcej. Mimo to tkwiłam przy oknie - może był to instynkt, a może po prostu niechęć, jaką odczuwałam na myśl o powrocie do łóżka i bezsennym przewracaniu się w pościeli aż do świtu.

Wtedy to zobaczyłam - kształt po drugiej stronie ulicy, tuż za granicą, do której sięgał blask latarni. Gdyby zbliżył się pół kroku, dostrzegłabym go od razu, a tak był tylko ciemniejszą plamą na tle

posrebrzonego deszczem mroku. Z początku nie miałam pewności, czy nie ulegam złudzeniu, im dłużej jednak patrzyłam w noc, tym mniej było we mnie wątpliwości. Przed naszym domem stał szczupły mężczyzna w przeciwdeszczowym płaszczu i kapeluszu nasuniętym głęboko na czoło. Powinnam się wystraszyć, może nawet zbudzić Franciszka i poprosić go, by wyszedł na zewnątrz przepędzić intruza. Domyśliłam się jednak, kto to, i nie czułam lęku - obecność mężczyzny wydała mi się nawet w pewien sposób uspokajająca.

Nie byłam już sama.

17.

Narodziny

wspomnienia

Gdy sięgam pamięcią do lat dziecińczych, najczęściej widzę Czarne i lato. Ale nie zawsze - moje pierwsze, najwcześniejsze wspomnienie przywołuje obraz willi na Saskiej Kępie, gdzie wówczas mieszkaliśmy. Jestem wtedy tak mała, że z trudnością schodzę z piętra na parter, chyboczę się na krótkich, dziecięcych nóżkach i, by nie upaść, muszę przytrzymywać się poręczy.

Pamiętam, że poręcz wydaje mi się bardzo wysoka, schody niezwykle strome, a dywan, którym je wyłożono, ma kolor jaskrawej czerwieni. W powietrzu unosi się zapach świeżo upieczonego ciasta, z głębi domu dobiega terkotliwy dźwięk telefonu - to wynalazek, który fascynuje mnie i Franciszka, a którego służący boją się, jakby był to wymysł diabła. Dziś nikt nie ma czasu odebrać. Dorośli z zaferowanymi minami od rana biegają tam i z powrotem, a cały dom spowija gęsta jak śmietana atmosfera tajemnicy. My, dzieci, zostaliśmy z niej wykluczeni, ale przecież widzimy porozumiewawcze spojrzenia posyłane nad naszymi głowami, słyszymy milknące szepty. Znajomy, bezpieczny dom nagle stał się obcy, czujemy się w nim jak intruzi, lekceważeni i z niecierpliwością przeganiani z kąta w kąt.

Dlatego właśnie opuszczam pokój, w którym kazano mi się bawić, i schodzę na dół w odruchu dziecięcego buntu, rozżalona i gotowa w każdej chwili wybuchnąć płaczem. Nie pamiętam, gdzie jest Franciszek, czy został posłusznie na górze, czy też może dorośli pozwolili mu dołączyć do swego grona.

Pamiętam przepełniające mnie poczucie obcości, która podstępnie wkradła się pod nasz dach.

Gdy jestem już na ostatnim stopniu, zjawia się niania i porywa mnie na ręce. Być może mówi coś więcej, ale ja potrafię przypomnieć sobie tylko jedno zdanie: „Chodź, zobaczysz swojego braciszka”, które wydaje mi się bez sensu, bo przecież widuję Franciszka codziennie.

Niania niesie mnie do sypialni rodziców - nam, dzieciom, wolno tu wchodzić tylko wtedy, gdy obiecamy, że będziemy bardzo grzeczni, pokój ma więc coś z atmosfery kościoła: jest przytłaczająco duży i zimny, niepokojący i fascynujący jednocześnie. W szerokim łóżu leży mama, blada i tak dziwnie odległa, że kiedy niania stawia mnie na podłodze, nie mam odwagi do niej podbiec. Na jej rękach popiskuje białe zawiniątko. Niania uchyla rąbek materiału z dziwną, porozumiewawczą miną, która mnie peszy, bo mam wrażenie, że dorośli czegoś ode mnie oczekują, a ja nie wiem, co to takiego. Znowu dławi mnie poczucie obcości, ta tajemnica, o której nie wolno głośno mówić i którą wszyscy prócz mnie znają - a wtedy z bieli wynurza się kłęb mroku, czarna, rozedrgana i niekształtna istota, jak cień pająka rzucony na ścianę.

Mama twierdziła, że wszystko to sobie wyobraziłam, bo gdy Staś przyszedł na świat, byłam za mała, by cokolwiek pamiętać. Czasem sama tak myślę. Moje wspomnienia są tak bardzo ulotne, im precyzyjniej usiłuję je opisać, tym bardziej mi umykają, słowa nie pasują, sens wycieka jak woda przez palce. Obcość, dławić, cień - to nie to, zupełnie nie to, choć może chodzi o wrażenie zbliżone, niezwiązane z żadnym z pięciu zmysłów, ale z czymś, czego w ludzkim języku wyrazić nie sposób. Może.

A czasem budzę się nad ranem i wspomnienie na kilka krótkich sekund staje się ostre, jakbym patrzyła na podświetlony słońcem witraż. Wtedy pojmuję wszystko - i sedno tamtej tajemnicy, i to, kim jestem. Potem zrozumienie odpływa, a ja zostaję w łóżku z głową ciężką od osadu, jaki pozostawiły uciekające sny, i ciałem lekkim, pustym niczym odrzucona wylinka.

18.

Piotr Staszkiwicz, śmierć Jadwigi Rathe

teraz

Rano przy talerzu znalazłam białą kopertę bez adresu. Sięgnęłam po nią i zaraz odłożyłam na widok miny naszej gospodyni, która krzątała się wokół, pobrzękując filiżankami. Przystojna czterdziestolatka o cygańskim typie urody wyglądała na wyraźnie rozbawioną. Zacisnęłam usta, czując, że płoną mi uszy. Doprawdy, dlaczego nie możemy, jak inni, zatrudnić bogobojnej staruszki, która patrzyłaby teraz na mnie potępiająco, zamiast rzucać spojrzenia pobłażliwe i porozumiewawcze zarazem? Byłam zła na nią, na siebie i na Wandę, bo to ona przyjęła do pracy kobietę, za którą mężczyźni wciąż oglądają się na ulicy.

Zjadłam mało, a gdy tylko znalazłam się na powrót w swoim pokoju, przeczytałam list. Tak jak się spodziewałam, był długi, pełen powtórzeń, przeprosin i zapewnień o niewinnych intencjach autora. Wreszcie Staszkiwicz przeszedł do rzeczy i zaproponował mi spotkanie. Wciąż byłam zła; myśl, że nasza gospodyni uważa tego łysiejącego, nerwowego mężczyznę za mojego sekretnego kochanka, napępiała mnie zażenowaniem.

Jednak na spotkanie poszłam.

Warszawa po deszczu pachniała świeżością i znów rozgrzało ją słońce, choć tym razem nie była to sierpniowa duchota, lecz łagodne, bursztynowo zaokrąglone ciepło schyłku lata, z wyraźnie już wyczuwalną nutą jesieni.

Staszkiwicz czekał w kawiarni na Marszałkowskiej. Na mój widok poderwał się, jeszcze brzydszy, niż gdy ostatnim razem go widziałam,

bardziej speszony i nerwowy. Omal nie przewrócił stolika, jego dłonie kreśliły w powietrzu chaotyczne wzory. Przepraszał, a im dłużej mówił, tym więcej osób zwracało na niego uwagę i tym bardziej on sam był zdenerwowany. Miałam ochotę odwrócić się i odejść, wreszcie jednak Staszkiwicz opadł na krzesło, a ja mogłam usiąść naprzeciw.

– Przepraszam – uznał za stosowne powiedzieć jeszcze raz. – Pani na pewno uważa mnie za impertynenta.

– Nie, nie uważam. – Mój głos brzmiał chłodniej, niż chciałam.

– To takie trudne – poskarżył się, ocierając czoło. Wyglądał na wyczerpanego, jakby nie spał od kilku dni. Ludzie przez chwilę zerkali w stronę naszego stolika, potem na szczęście wrócili do przyciszonych rozmów i skubania wytwornymi ruchami malutkich czekoladowych ciasteczek. Mimo to czułam, że od czasu do czasu jeszcze ktoś na nas patrzy, wzrok ciekawskich palił mnie w kark. Ja i Staszkiwicz niewątpliwie stanowiliśmy zwracającą uwagę parę.

Dziewczyna, u której złożyliśmy zamówienie, też wydawała się zaintrygowana.

Staszkiwicz bawił się szklanką lemoniady. Wzrok wbijał w obrus, jakby był uczniem, a ja nauczycielką, która za chwilę da mu burę. Uznałam, że skoro on nie potrafi, ja powinnam coś powiedzieć.

– Rozpoznał mnie pan bez trudu, prawda? Jakbyśmy należeli do odmiennego gatunku.

Od razu pożałowałam swoich słów. Takich rzeczy nie powinno się mówić; brzmią obco i rozrywają tkankę rzeczywistości, w którą wkrada się niemożliwość. Staszkiwicz musiał mieć podobne wrażenie, bo potrząsnął głową i bezradnie wzruszył ramionami.

– Nie, to zupełnie nie tak. Pani po prostu jest tak bardzo podobna do niej, do Jadwigi Rathe. Jest pani jej wnuczką?

– Nie. Z tego, co wiem, Jadwiga nie miała dzieci. Ale znałam ją.

Nie mówi tego, co wszyscy w tej chwili - że jestem na to za młoda. Zamiast tego chwyta szklankę i wypija lemoniadę niemal tak, jakby łykał truciznę, co nieoczekiwanie zaczyna mnie bawić. Staszkiwicz uśmiecha się przepraszająco. Dopiero teraz dostrzegam, że ma

przyjemne rysy twarzy, jest w nim coś miękkiego i dziecięcego, co we mnie budzi irytację, ale kobietom o bardziej opiekuńczych instynktach mogłoby się podobać. Staszkiwicz pod pewnymi względami przypomina mojego młodszego brata - to chłopiec, który się zestarzał, zamiast dorosnąć. Nie podoba mi się to porównanie, choć jednocześnie sprawia, że niechętnie, bo niechętnie, ale zaczynam odczuwać pewną sympatię do tego mężczyzny.

- Jadwiga Rathe była jedną z nas.

Określenie „jedna z nas” znów zderza ze sobą dwie rzeczywistości. Za plecami mam zwyczajne kawiarniane popołudnie, słysząc szmer rozmów, szelest przewracanych stron gazet i zgrzyt widelczyków drapiących o talerze. Pachnie kawą i ciastem, jakaś dziewczyna śmieje się i mówi: „skąd, w życiu, za kogo mnie masz?”. Jest trochę sennie, bo pora jeszcze wczesna, ale zwyczajnie i miło. Przed sobą natomiast mam niemożliwość, znów tkwię na granicy światów, zagubiona, żaden z nich nie wydaje mi się realny na tyle, by mu zaufać.

- Mamy jej list, pisze w nim, że wybiera się do miejscowości o takiej dziwnej nazwie, nie pamiętam dokładnie... Miała nadzieję dowiedzieć się tam czegoś ważnego, ale zginęła... Gdzie to było?

- W Czarnem - mówię.

Zbieg okoliczności jest tak osobliwy, że zastanawiam się, czy to nie żart, może całe moje życie jest żartem właśnie, inscenizacją, jak w teatrze, gdzie nic nie jest prawdziwe.

Staszkiwicz uśmiecha się rozpromieniony.

- Czarne, rzeczywiście. Pani zna tę miejscowość?

- Należy do mojej rodziny. Byłam tam, kiedy Jadwiga została zamordowana.

Nie dodaję, że widziałam się z nią także po jej śmierci. Realność rzeczywistości dość już dziś wycierpiała.

19.

Wspomnienia i dziecięce zabawy, powtarzalność fizjonomii

wspomnienia

Coraz częściej wracają do mnie wspomnienia. Nie przywołuję ich, zjawiają się same w najmniej spodziewanych momentach. Ostatnio gdy schyliłam się na ulicy, by zapiąć but, wiatr przyniósł z parku ziemisty i wilgotny zapach gnijących roślin. Woń uderzyła mnie w nozdrza, przywodząc na myśl czarniański las. Szłam brzegiem rzeki - z powodu, którego już nie pamiętam, byłam sama - i wypatrywałam w wodzie ładnych kamyków. Wtem na dnie coś błysnęło, jaskrawy błękit, jak strzępek nieba na wpół zagrzebany w mule. Sięgnęłam po niego i zgarnęłam razem z drobnym zwirem. Woda przeciekła mi przez palce, a gdy otworzyłam dłoń, lśnił na niej pośród rzecznej brudu kawałeczek szkła, wyszlifowany przez wodę tak, że przypominał klejnot.

Wtedy, na ulicy, wróciło do mnie wszystko. Ciepło słońca opierającego się o mój kark, gdy kuciałam z pochyloną głową, zapach lasu i rzeki, szorstki materiał sukienki, którą trzymałam zwiniętą między kolanami, by się nie zmoczyła, i gęsia skórka na zdrętwiałych od zimnej wody łydkach. Na chwilę krótką jak uderzenie serca znów byłam dzieckiem, jakby kapryśny czas z sobie tylko znanych powodów postanowił oddać mi tamtą chwilę z całą jej jaskrawością, po to tylko, by zaraz mi ją zabrać. Wspomnienie zbladło, nim zdążyłam je uchwycić, pamiętam teraz jego treść, ale nie istotę, nie ma już w nim słońca ani życia.

Pełna jestem takich właśnie wspomnień. Obciążona nimi, poruszam się ostrożnie, jakbym nosiła w sobie setki maleńkich szklanych kulek,

które uderzone wydają przeciągły, czysty dźwięk. Kawa pita do śniadania przywołuje z przeszłości kawę zbożową, jaką rano przygotowywała dla nas służąca. Franciszek i Staś popisywali się, jedząc gruby mleczny kożuch, ale ja zawsze prosiłam, żeby go zdjąć. Nasze kubki - Franciszka niebieski i wielki, mój z obrazkiem dziewczynki biegnącej po łące i Stasia, malowany w kolorowe pajacyki. Nie do pomyślenia było, byśmy się kiedykolwiek nimi zamienili, przynależność tych kubków była równie oczywista jak to, że należę do istot rodzaju żeńskiego, a moi bracia do męskiego. Wiele lat później, gdy podczas jednej z nielicznych wizyt w Czarnem Franciszek niedbałym gestem podał mi herbatę w swoim własnym kubku, miałam poczucie niemal świętokradztwa.

Czasem wracają do mnie całe sceny, a czasem tylko zapach ogórków w rozgrzanym wnętrzu cieplarni, smak pierwszych, wciąż jeszcze nieco kwaśnych malin i uczucie, jakiego doznałam, gdy po raz pierwszy wspierałam się na rosnącą w ogrodzie jabłoń i tkwiłam tam, z udami przytulonymi do szorstkiej kory, przerażona i zachwycona jednocześnie. A czasem jest to coś jeszcze mniej określonego, czego nie sposób powiązać z żadnym z pięciu zmysłów, wrażenie głębsze i bardziej pierwotne niż jakikolwiek obraz, dźwięk, smak czy zapach. To sięgające wprost do serca muśnięcie przeszłości, ledwo uchwytnie, a przecież realne, pozostawia bowiem wypaloną w duszy ranę.

Pamiętam spędzane w Czarnem wakacje i pierwszy dzień w szkole, rodzinne wyjazdy za miasto i wyprawy do parku z nianią. Sylwestra roku 1900 i ojca składającego matce życzenia „Szczęśliwego Nowego Wieku”, dźwięk zderzających się ze sobą kieliszków. Jakim cudem mogę to pamiętać, skoro ja, dziecko urodzone u progu nowego stulecia, miałam wówczas kilka miesięcy?

Nie ma w tych wspomnieniach żadnej ciągłości, widzę siebie, jakbym patrzyła na postać podświetlaną od czasu do czasu blaskiem latarki. To ja taka, to ja owaka. A pomiędzy ciemność wspomnienia rozsypują się w luźne fragmenty. Smakuję wraz z tamtą dziewczynką maliny i wchodzę na drzewo, ale jej nie rozumiem, istota dziecka, którym byłam, wymyka

mi się z każdym dniem coraz bardziej. I czasem myślę, że kiedy już przesypią się wszystkie kulki, nie zostanie nic - będę pamiętać własne dzieciństwo, tak jak pamięta się niezbyt ciekawą książkę, ale nie będę już niczego czuć.

Dlatego czasem desperacko pragnę przypomnieć sobie to czy tamto. Jak się nazywała gra, którą zabijaliśmy czas w pociągu, jadąc na wakacje? „Znajdź podobieństwo”, przypominam sobie po chwili z ulgą.

Zabawa polegała na wyznajdowaniu podobieństw pomiędzy pasażerami a ludźmi, których znaleźliśmy w Warszawie. Spocony mężczyzna w kamizelce, której guziki omal nie eksplodowały na wielkim brzuszysku, wyglądał wypisz, wymaluj jak sprzedawca ze sklepu kolonialnego, gdzie kupowaliśmy rachatlukum - brakowało mu jedynie wąsów i łysinę miał nieco większą. Innym razem kobieta, która na maleńkiej wiejskiej stacji wsiadła do pociągu z dwójką zapłakanych dzieci, w zdumiewającym stopniu przypominała naszą nauczycielkę angielskiego, była równie chuda i niska, z długim cienkim nosem, który ciął powietrze jak kil tnie wodę. Najpierw rozpoznawaliśmy jedynie konkretne typy ludzkie, lecz z czasem nauczyliśmy się także rozróżniać ich mieszanki: nos naszego warszawskiego sąsiada osadzony w twarzy szkolnego woźnego, oczy pewnej znanej aktorki zestawione z czołem kobiety, którą spotykaliśmy czasem, idąc z boną do parku.

Gra ta frapowała mnie jeszcze długo po tym, jak moi bracia o niej zapomnieli. Fascynujące wydawało mi się, jak mało w istocie jest na świecie poszczególnych typów fizjonomii, jak powtarzalne są pewne elementy. Gdybym umiała rysować, sporządziłabym katalog na wzór tego, w jakim naukowcy szkicowali rzadkie owady, lecz ponieważ natura poskąpiła mi zdolności artystycznych, zadowoliliam się kolekcjonowaniem twarzy w pamięci. Z czasem doszłam do takiej wprawy, że żadne oblicze nie potrafiło mnie już zaskoczyć swoją oryginalnością, rysy każdego człowieka umiałam przyporządkować innym. I czasem bawiłam się myślą, że być może zdołałabym odtworzyć tę pierwotną grupę osób, od której wszyscy pochodzimy, naszych praojców, Adamów i Ewy tego świata.

20.

Warszawskie Towarzystwo Spirytystyczne

teraz

Słońce zachodziło, gdy pchnęłam furtkę, by wejść w alejkę; świat szarzał i płowiał, w miarę jak zapadający zmrok wysysał barwy z rozłożystych koron kasztanów i różowego piaskowca willi, do której zmierzałam. Wciąż jednak było wystarczająco jasno, bym wyraźnie widziała przed sobą ścieżkę, w szarówce wczesnego wieczoru blask zapalanej nad gankiem latarni pogłębiał tylko cienie, a światło o rozmytych konturach przywodziło na myśl zalęknionego ducha, który pojawił się zbyt wcześnie.

Sięgnęłam do kieszeni po otrzymaną od Staszkiwicza wizytówkę.

Małgorzata Lenhort, jasnowidz, przeczytałam po raz kolejny. A niżej, małymi literkami: *Warszawskie Towarzystwo Spirytystyczne*.

Staszkiwicz mówił, że powinnam przyjść o dziewiątej. Czy teraz dochodziła dziewiąta? Nie miałam pewności, zapomniałam nakręcić zegarek, a moje poczucie czasu nigdy nie było najlepsze.

Wspięłam się po schodkach do drzwi i wduśiłam przycisk elektrycznego dzwonka. Staszkiwicz otworzył, nim jeszcze w głębi domu wybrzmiało przeciągłe buczenie, zupełnie jakby czekał na mnie w przedpokoju. Tutaj, na znanym najwidoczniej terenie, wydawał się mniej nerwowy, a bardziej... pasujący, choć nie wiedziałam, do kogo ani do czego miałby pasować.

– Proszę, śmiało, niech pani wejdzie. Wszyscy się już zebrali.

Korytarz zastawiony był dębowymi meblami, których ponura masywność bez trudu wygrywała z lekkością lilipucich serwet. Na szafce

lalka o porcelanowej twarzy i szeroko otwartych oczach skrywała pod obfitą spódnicą - jak się domyśliłam - aparat telefoniczny, obok stojąca na parasole stała waza w podejrzanie antycznym stylu. Nic niezwykłego, nic, czego nie widziałabym w dziesiątkach innych domów. Tylko zapach był inny, nie sposób z niczym pomylić tej charakterystycznej woni kopiących świec, kadzideł i ubrań, które zbyt długo wisząc w szafie, przesiąkły zapachem naftaliny.

Żałowałam, że tu przyszedłam. Przywoływanie duchów nie było mi obce, wcześniej dwukrotnie dałam się namówić na tę rozrywkę i za każdym razem bałam się, że zjawy zdradzą mi tajemnice, których nie chcę znać. A może jednocześnie pragnęłam je usłyszeć? Nie wiem, ale teraz przeważał strach i cofnęłam się odruchowo. Staszek chwycił mnie za łokieć i zaraz puścił. Znow wyglądał na zmieszanego.

- Proszę - wymruczał. - Niech nam pani zaufa.

Poprowadził mnie do owalnego salonu, gdzie wokół stolika siedziało kilka osób. Kobieta, którą Staszek przedstawił mi jako Małgorzatę Lenhort, była stara, znacznie starsza ode mnie, choć bardzo starała się wyglądać młodo. Brwi miała wyskubane w cienkie kreski, twarz pokrytą warstwą białego pudru, a na policzkach rumieńce tak różowe i idealnie okrągłe, że wyglądały jak makijaż klauna. Nosiła się zgodnie z modą sprzed wojny: na głowie zamotany fantazyjnie turban, długa suknia z materiału zdobionego odbijającymi światło dżetami, a na ramionach kilka szali i chust, które udrapowane artystycznie, odległe kojarzyły się z egzotycznym przepychem. Dłoń, którą mi podała, była mała, miękka i jednocześnie twarda od licznych pierścieni.

Pozostali stanowili znacznie mniej barwne, choć bardzo niedobre towarzystwo. Młoda dziewczyna - Agnieszka, powiedział Staszek, sugerując, że jej nazwisko nie ma znaczenia - wyglądała na służącą, i to taką, która dopiero niedawno przyjechała do miasta. Twarz miała opaloną, ręce szerokie i spracowane, a na brzeżku fotela siedziała wyraźnie speszona. Mężczyzna nazwany Adamem Czeczochem sprawił na mnie wrażenie ubogiego robotnika lub ewentualnie artysty - nosił bezkształtny sweter, zdecydowanie zbyt ciepły jak na tę porę roku, a

przykrótkie spodnie odsłaniały kostki bosych stóp tkwiących w starych, rozchodzonych butach. Wreszcie Stefan Walczyński, lekarz - lekarza poznam zawsze - cichy, z włosami przylizanymi brylantyną i gładko wygoloną ptasią twarzą.

Każda z tych osób w przedziwny sposób kogoś mi przypominała: Małgorzata - nielubianą w dzieciństwie ciocię, Agnieszka - służącą z Czarnego, Czeczoch - pewnego mężczyznę, który dawno temu w parku kusił mnie czekoladkami z miętowym nadzieniem, a Stefan Walczyński... ależ tak, przecież to wykapany pan Jędryka, nasz introwertyczny nauczyciel muzyki.

- Przynieś nam herbatę i ciasto - zakomenderowała Małgorzata Lenhort, zwracając się do Agnieszki. Dziewczyna powrót do swojej właściwej roli przyjęła z wyraźną ulgą.

Herbata jest zbyt mocna jak na mój gust, a ciasto wilgotne i lepkie od konfitur. Zegar powoli, z godnością wiekowego mechanizmu wybija dziewiątą. Wszyscy patrzą na mnie, a ja kulę się pod ich wygłodniałym, pełnym nadziei wzrokiem. Po co właściwie tu przyszedłam?

- Jest nas więcej - zapewnia Małgorzata, najwyraźniej źle rozumiejąc moją niepewność. - Osiem osób, pozostali nie mogli dziś do nas dołączyć. Spotykamy się co drugą sobotę, ona wtedy ma wychodne. - Kiwa głową w stronę Agnieszki, a nieszczęsna dziewczyna kurczy się i niemal chowa w fotelu.

- Witamy w Warszawskim Towarzystwie Spirytystycznym - dodaje Walczyński. Ma głęboki, nosowy głos, który nie pasuje do wiotkiej postury. - Cóż, nazwa równie dobra jak inne, prawda?

Czeczoch burczy pod nosem, że wręcz przeciwnie, nazwa jest idiotyczna, ale nikt nie zwraca na niego uwagi, widać wszyscy przywykli do takich uwag.

Czuję, jak znów opada na mnie zasłona nierealności. Myślę o wyświetlanych w kinach kronikach, gdzie zobaczyć można równie zróżnicowane towarzystwo. W jednym króciutkim odcinku występują obok siebie robotnicy w fabryce, chłopcy przy sianokosach i elegancka socjeta na wyścigach samochodowych. Potrząsam głową, ledwo

ośmielając się podnieść wzrok na moich współtowarzyszy. Małgorzata w roli medium trącającego na miłą fałszem, tępa Agnieszka, opanowany Walczyński i Czeczoch abnegat - wszyscy oni mają w sobie filmową gładkość, a ja znów jestem obca, bo nawet Staszkiwicz nie wydaje się już tym samym człowiekiem, którego poznałam w parku.

– Proszę się nie denerwować. – Małgorzata przechyliła się nad stolikiem i miękka poduszka jej dłoni spada na moją rękę. – No już, już. Zobacz pani, wszystko się ułoży. Na początku możemy się wydawać dziwni, ale ostatecznie wszyscy tutaj jesteśmy ludźmi, prawda?

Czeczoch śmieje się, aż niebezpiecznie podryguje oparta o kolano filizanka.

– Pokaż jej list Jadwigi – mówi Walczyński.

Małgorzata grzebie w obszytej sztucznymi perłami torebce, aż wreszcie znajduje kopertę i podaje mi ją z porozumiewawczą miną. Czuję się jak iluzjonista, który powinien wyciągnąć królika z kapelusza, a nie ma pojęcia, jak to się robi. Rozprostowuję pożółkły list - papier jest cienki i poprzecierany w miejscach, gdzie składano i rozkładano go wiele razy. Atrament przez lata wyblakł, daty ani nagłówka nie można już odczytać.

Przebiegam wzrokiem zwarte, eleganckie pismo - jest tu mowa o planowanym wyjeździe do Czarnego, a także o spotkaniu z kimś, kto być może zdoła odpowiedzieć na dręczące Jadwigę pytania.

„Kim jesteśmy? - pisze Jadwiga. - A przede wszystkim, kim są oni? Dlaczego świat nie funkcjonuje tak, jak powinien? Z pewnością zastanawiałeś się nad tym niejednym raz. Liczę, że w Czarnym znajdę odpowiedzi i kiedy tylko to się stanie, nie omieszkać natychmiast do Ciebie napisać. Proszę, nie miej do mnie żalu, że przyjąłem propozycję Tadeusza Reca. Wiem, że nie powinnam tego robić i że po powrocie wezmą mnie na języki, lecz to zbyt ważna sprawa, by się przejmować konwenansami.

Poza tym, cóż, jestem artystką, a nam wolno więcej niż przeciętnym ludziom, prawda?”.

Wspomnienie „propozycji Tadeusza Reca” budzi we mnie zażenowanie, wstyd, jakiego doznawałam w młodości, gdy z szeptanych,

szybko milknących rozmów dowiadywałam się o ojcu i jego licznych kochankach. Oddaję list Małgorzacie, która patrzy na mnie wyczekująco.

– Przykro mi – mówię. – Byłam tam wtedy, w Czar-
nem, razem z Jadwigą Rathe. Kiedy zginęła. Ale nie mam pojęcia, czego mogła się dowiedzieć i czy w ogóle dowiedziała się czegokolwiek... – urywam, Walczyński patrzy na mnie, marszcząc brwi. Czekałam na nieuniknione: „przecież jest pani zbyt młoda, by pamiętać Jadwigę”, ale mężczyzna milczy.

– Skąd mają państwo ten list? – pytam.

– Och, to naprawdę niesamowita historia. -- Małgorzata chowa kopertę do torebki, po czym częstuje mnie opowieścią o duchu Jadwigi, który pojawił się podczas seansu i kazał jej kupić w pobliskim antykwariacie dzieła zebrane Słowackiego. Tam właśnie, pomiędzy pozółkami ze starości stronicami *Beniowskiego*, tkwił list.

Czeczoch uśmiecha się drwiąco, pozostali wyglądają na obojętnych, a nawet lekko znudzonych - widać słyszeli już tę historię wielokrotnie.

– Myślę, że pojawienie się pani jest znakiem – mówi Małgorzata z namaszczeniem.

– Znakiem czego? – pytam głupio, a kobieta uśmiecha się.

– Że trzeba działać, oczywiście. Zresztą możemy zapytać samą Jadwigę.

– Wstaje i klaszcze jak nauczycielka zaganiająca dzieci do klasy. – Agnieszko, uprzątnij stół. Nie, nie wynoś tacy do kuchni, tylko postaw na etażerce, potem się nią zajmiesz. Stefanie, zgaś światło i zapal świece. A teraz chodźcie tu wszyscy i złapcie się za ręce.

Wszystko dzieje się tak szybko, że nawet nie mam szansy zaprotestować. Już stoję w kole, już Agnieszka z jednej, a Walczyński z drugiej strony chwytają moje dłonie. Na stoliku nie wiedzieć skąd znalazła się tablica *onija*, miękki blask świec zaciera różnice pomiędzy rysami zebranych. Są teraz zdumiewająco do siebie podobni, głębokie cienie pod oczami nadają ich twarzom wygląd teatralnych masek. Małgorzata przyzywa ducha, pozostali słuchają w milczeniu, z opuszczonymi powiekami.

Choć nie wszyscy. Walczyński przewierca mnie wzrokiem, natrętność spojrzenia nie pasuje do człowieka, który jeszcze chwilę wcześniej sprawiał wrażenie tak zdystansowanego.

– Czy jest wśród nas duch Jadwigi Rathe? – zapytała Małgorzata grobowym głosem, który w innej sytuacji zapewne byłby zabawny.

Poczułam, że Walczyński puszcza moją dłoń i chwyta za przegub, jego palce przesuwiają się coraz wyżej, badając skórę aż do łokcia. Spróbowałam się wyrwać - na próżno.

Tablica *ouija* drgnęła lekko, Walczyński pochylił się do mojego ucha.

– Nie wyczuwam blizn – wymruczał – ale przecież musi pani je mieć. Wszyscy przez to przechodzimy. Chociaż to nic nie daje, chyba że cięłaby pani naprawdę bardzo, bardzo głęboko. Ale wtedy nie przeżyłaby pani, tak cię można tylko martwe ciało. Chce pani wiedzieć, co widzę podczas sekcji?

– Proszę być cicho, przeszkadza pan – syknęłam, a Małgorzata spojrzała na nas potępiająco.

C.Z.A.R.N.E. napisał duch, wskazując litery na tablicy.

– Czy to znaczy, że – tu Małgorzata wymieniła moje imię – powinna pojechać do Czarnego?

Walczyński, nie zwracając uwagi ani na nią, ani na wirującą tablicę, wciąż szeptał mi do ucha:

– Nie mam wielu pacjentów, wie pani o tym, prawda? Oni kaleczą się tylko i wtedy trzeba opatrzyć rany, rzadko zdarza im się lekka niestrawność, gorączka, ból brzucha po zjedzeniu czegoś paskudnego. Nic więcej. Czasem przychodzą do mnie, skarżąc się na różne dolegliwości, a ja nie potrafię wykryć objawów żadnej choroby, według mnie są całkowicie zdrowi. Może to hipochondrycy, może naśladowanie ludzkiego cierpienia wydaje im się z takiego czy innego powodu konieczne. Nie wiem. W takich sytuacjach po prostu przepisuję leki, które nie zaszkodzą, i cieszę się, że mam z czego żyć.

C.Z.A.R.N.E. C.Z.A.R.N.E. C.Z.A.R.N.E.

Wreszcie zdołałam wyrwać dłoń, koło się rozsypało, a tablica znieruchomiła. Cofnęłam się, ktoś zapalił światło. Znów się we mnie

wpatrywali tym głodnym, pełnym nadziei wzrokiem. Wszyscy z wyjątkiem Walczyńskiego, on na powrót stał się cichy i obojętny, jakby nic się nie zdarzyło. Miałam nieodparte wrażenie, że właśnie byłam świadkiem farsy, Małgorzata przecież nie mogła być prawdziwym medium. Ktoś musiał popychać tablicę.

– Nie mogę pojechać do Czarnego – oznajmiłam. – Ja... nawet nie znam tam teraz nikogo. I nie chcę.

Ale przecież chciałam, prawda? Pragnęłam tego już wcześniej, zanim poznałam Staszkiwicza, nim Małgorzata wezwała rzeczywiste czy fałszywe duchy.

– Nie znasz, ale możesz poznać. – Małgorzata gładko przeszła na „ty”. Zacisnęłam usta, familiarność tej kobiety budziła we mnie sprzeciw.

– Widzisz – wtrącił Czeczoch, a ja wiedziałam już, że zostałam schwytana w pułapkę, mój los zaś przesądzony – my wiemy, kto jest teraz właścicielem Czarnego. Mieszka tu, w Warszawie, na Pradze. Piotr, który pracuje niedaleko, widuje go nawet od czasu do czasu.

W pierwszej chwili myślę, że on mówi o Stasiu, to Staś przecież, za zgodą Franciszka, odziedziczył Czarne. Szybko jednak uświadamiam sobie, że się mylę.

Adam Czeczoch ma na myśli mojego nieżyjącego ojca.

21.

Tadeusz i muzy, samotność

wspomnienia

Mój ojciec był cenionym specjalistą w dziedzinie okulistyki. Z dzieciństwa pamiętam otaczający go zapach karbolu, gdy wracał z pracy, i ciężkie, grube tomy atlasów medycznych, które z braku miejsca w bibliotece zalegały stosami na biurku. Gdy byłam mała, lubiłam po nie sięgać i przewracać kartki w poszukiwaniu kolorowych rycin. Mama próbowała mi książki zabrać, ojciec jednak mówił pobłaźliwie: „zostaw, przecież dziecko i tak nic z tego nie rozumie”. Z czasem zaczął mi tłumaczyć, co znajduje się na ilustracjach. Być może wtedy właśnie kochałam go najbardziej - gdy siedziałam bezpiecznie na jego kolanach i pozwalałam, by wodził moim szczupłym, dziecięcym paluszkami wzdłuż linii układu nerwowego czy sieci żył. Wiedziałam, co znajduje się pod ludzką skórą, jeszcze zanim nauczyłam się czytać, świat narządów wewnętrznych rozpościerał się przede mną niczym magiczny dywan, każda rycina prowadziła do następnej, jedna tajemnica do kolejnej. Prawda, że moje zainteresowanie medycyną nigdy nie przekroczyło etapu oglądania barwnych obrazków, lecz to wystarczyło, gdy wiele lat później wykorzystałam uzyskaną w dzieciństwie wiedzę, tnąc własne ciało.

Drugą pasją Tadeusza Recy było malowanie. Właśnie w takiej kolejności - najpierw okulistyka, potem sztuka. Rodzina znajdowała się na trzecim miejscu. Pamiętam, że ojciec wcześniej wychodził do pracy i późno z niej wracał, a w niedziele oraz święta zamykał się w pracowni.

Zaglądałiśmy tam czasem, pełni ciekawości. Jeszcze dziś, gdy zamykam oczy, widzę go stojącego przed sztalugami. Maluje krótkimi, szybkimi pociągnięciami pędzla, jak zawsze elegancki, z podwiniętymi rękawami, by nie ubrudzić koszuli farbą. W pachnącym terpentyną pomieszczeniu panuje idealny porządek. Jako dziewczynka uważam, że tacy są wszyscy malarze, dopiero później przyjdzie mi do głowy, że obrazom Tadeusza Reca brakuje pasji, rozmachu, a także oryginalności, on sam zaś jest tak odmienny od popularnego wizerunku artysty, jak tylko można być.

Ojciec najchętniej maluje młode i piękne kobiety. Jego portrety przypominają pozowane fotografie, ludzie na nich są sztywni i pozbawieni życia. Dwadzieścia lat później Franciszek, syn Tadeusza, spotka Wandę, córkę człowieka, który również z upodobaniem sięga po pędzel i farby. Może to właśnie ich połączyło - oboje byli dziećmi kiepskich artystów. Niemniej Tadeusz doskonale potrafi uchwycić podobieństwo i talent ten sprawia, że staje się popularny w pewnych kręgach. Poza tym jest przystojny i szarmancki, kobiety więc chętnie pozwalają się malować. Gdy przychodzą do naszego domu, mama ma pochmurną minę, a w kącikach jej ust rysują się postarzające ją zmarszczki.

Latem od czasu do czasu Tadeusz Rec przywozi swoje muzy do Czarnego. Przyjeżdżają pociągiem, by wysiąść na małej stacyjce, gdzie czeka już na nie powóz, lub podróżują z Warszawy samochodem, który budzi okrzyki zdumienia u mijanej po drodze wiejskiej dzieciarni. Muzy - tak właśnie je nazywa, śmiejąc się przy tym, jakby był to żart. Sądzę wtedy, że określenie „muza” oznacza portretowaną kobietę, choć Franciszek tłumaczy mi, że to kochanki ojca. Słowo „kochanka” jest jeszcze bardziej tajemnicze i niesie ze sobą nieokreśloną grozę; kojarzy mi się z zaczerwienionymi oczami matki i milczącymi, pełnymi napięcia podwieczorkami w ogrodowej altance. Franciszek muz nienawidzi i chętnie robi im paskudne kawały, chowa w ich łózkach złapane na łące żaby i wyspuje do herbaty środek na przeczyszczenie. Ja nie jestem pewna, czy je lubię, czy też nie, zresztą kobiety te niewiele mają z nami, dziećmi, do czynienia - zazwyczaj witają się tylko, tarmosząc włosy,

mówią coś w rodzaju: „o, jaki duży chłopiec” albo: „jaka ładna dziewczynka” i czasem dają cukierki, a potem nie zwracają już na nas uwagi. Dla mnie, nader często ubrudzonej i w cerowanych sukienkach, muzy są jak przybysze z innego świata, to wędrowni ptaki, które mieszkają z nami przez weekend, by zerwać się do lotu w niedzielne popołudnie. Pamiętam ciągnący się za nimi zapach kwiatowych wód toaletowych, ich egzotyczne stroje z aksamitu i adamaszku w stylu Paula Poireta, a także pierwsze krótkie fryzury - wtedy, tuż przed wybuchem wojny, kobiety ścinające włosy uważane były jeszcze za bardzo ekscentryczne. Jednak pamiętam także misternie ułożone długie loki, tiurniury i rękawy *n gigot* - kilka lat później znajdę przypadkiem wśród zalegających na strychu szpargałów poźółkłe i zakurzone żurnale sprzed lat i zobaczę, kiedy taki krój był modny - po czym natychmiast znów dopadnie mnie nierzeczywistość, a ja spróbuję o tym, co widziałam, zaraz zapomnieć.

Jadwiga Rathe była jedną z takich właśnie muz, choć jednocześnie od początku wiedziałam, że jest inna. A może nie, może dopowiedziałam to sobie później. Nie pamiętam już.

Gdy myślę o moim ojcu, widzę go, jak maluje „w plenerze”, co i tak nie ma najmniejszego znaczenia, bo na żadnym z obrazów Tadeusza Reca nie widać ani kawałka przyrody. „Plener” ma jedynie skusić muzę do przyjazdu na wieś, jest też tłumaczeniem dla matki, która od czasu do czasu cicho i bez większego przekonania protestuje przeciwko sprowadzeniu do Czarnego kolejnej kobiety.

Widzę go także w gabinecie w szpitalu, gdzie przyjmował pacjentów. Byłam tam tylko raz, nie pamiętam już po co ani z kim - prawdopodobnie z jedną z niań (czy może używaliśmy słowa „bona”? Nie pamiętam już) - których sporo przewinęło się przez nasze wczesne dzieciństwo. „Zachowujcie się grzecznie - powiedziała karcąco, gdy próbowaliśmy biegać po długim, wysoko sklepionym korytarzu. - Wasz ojciec i inni ludzie ciężko tu pracują”.

Jednak wokół nie było widać nikogo, kto pracowałby ciężko, ani też nikogo, kto by się lenił. Korytarz był pusty, echo naszych kroków

odbijało się głucho od murów jak w opuszczonym kościele. Pamiętam ściany pomalowane na przygnębiający zielonoszary kolor, a także wiszące na nich plakaty, mówiące o konieczności przestrzegania zasad higieny i reklamujące najnowsze leki. Podeszliśmy do drzwi, za którymi, jak wyjaśniła nam z namaszczeniem niania, znajdował się gabinet naszego ojca; kobieta uniosła dłoń, by dyskretnie zapukać. Lecz najpierw ja, kierowana dziecięcą ciekawością, zajrzałam przez dziurkę od klucza. Niania trzepnęła mnie lekko w głowę, musiałam się więc odsunąć. Jednak zobaczyłam to, co chciałam zobaczyć, widziałam ojca przy pracy, jeszcze zanim zdał sobie sprawę z tego, że ma gości.

Siedzi przy biurku z dłońmi ułożonymi starannie na blacie, jedna obok drugiej, jak pilny uczeń w szkole. Patrzy przed siebie, rysy ma puste. Nie ma w nim wyczekiwania, napięcia ani nawet zniecierpliwienia przedłużającą się beczynnością. Jest jednak coś, co pozostało w tym nieruchomym ciele i co zwraca moją uwagę - Tadeusz Rec, zanim zerwie się z krzesła, a jego twarz ożywi się na widok wchodzących do gabinetu dzieci, wydaje się najbardziej samotnym człowiekiem na świecie.

22.

Kawiarnia Muza w deszczu, rozmawiamy

teraz

Siedzę w kawiarni, do której - zgodnie ze słowami Staszewicza - od czasu do czasu w drodze z pracy zagląda mój ojciec. Piję kolejną kawę, palę kolejnego papierosa. Kelnerzy patrzą na mnie ze współczuciem, sądząc, że mężczyzna, z którym się umówiłam, nie przyszedł na spotkanie. Na zewnątrz wiatr i plucha, deszcz spływa po szybie, przez którą biegnie napis: „Muza”. Ostatni weekend sierpnia nadciąga wielkimi krokami, za tydzień skończą się wakacje, a ja wrócę do Warszawy wraz z rodzicami i braćmi. Czekam. Nie pozostaje mi nic innego.

Drzwi się otwierają, wpuszczając do środka wilgotny chłód i podmuchy wiatru. Mężczyzna wchodzi tuż za nimi, zdejmując kapelusz i strząsa krople deszczu. W pierwszej chwili sędzę, że mam przed sobą Franciszka, podobieństwo jest tak uderzające. Jednak to nie on, a Tadeusz Rec. Jest teraz w moim wieku - mam przed sobą przystojnego trzydziestokilkulatka z miękkim płowym wąsem i idealnie równym przedziałkiem rozdzielającym jasne włosy. Patrzę, jak oddaje płaszcz szatniarzowi, a potem idzie przez salę, rozdając uprzejme uśmiechy. Większość gości wydaje się go znać.

Wraz z nim do kawiarni wkracza to, co niemożliwe, patrzę i wiem, że to mój ojciec, a jednocześnie umysł broni się przed przyjęciem prostej prawdy. Tonę w nierealności, jak ryba uwięziona za szybą akwarium, rozmazują się kontury świata, a ja ledwo mogę oddychać. Moja blada twarz chyba zwraca uwagę siedzącej przy sąsiednim stoliku pary.

Skupiam się na tym, by oddychać równomiernie, wdech, wydech, chłód trzymanej w drżącej ręce filiżanki przywraca odrobinę poczucia rzeczywistości. Za wszelką cenę muszę się uspokoić.

Wyobrażam sobie Tadeusza tuż po narodzinach, gdy w Czarnem wynurza się z niebytu. Czy jest oszołomiony i zagubiony? Nie wiem i prawdopodobnie nigdy nie będę wiedzieć - oni pilnie strzegą swoich tajemnic.

Wyobrażam sobie, jak szuka pracy - jego metody są jak na dzisiejsze standardy nieco przestarzałe, ale to przecież nie ma znaczenia. Poza tym oni zawsze trzymają się razem, nawet jeśli robią to nieświadomie, nawet jeśli ta solidarność jest prostym odruchem gatunkowej współpracy. W Czarnem zdarzyło się coś, co nie powinno się wydarzyć, i teraz należy to ukryć, wygładzając rzeczywistość tak, by nie pozostał na niej ślad pęknięcia. A ponadto, myślę, zapalając kolejnego papierosa, Tadeusz Rec jest inteligentny i szybko się uczy, jeśli więc istotnie w jego medycznej wiedzy są luki, z pewnością szybko je uzupełni.

Ukryć, powtarzam; w tle szum rozmów, deszcz bębni o szybę. Znowu używam niewłaściwych słów. Nie sądzę, aby oni myśleli w ten sposób. Być może w ogóle ich sposób rozumowania jest dla nas nie do pojęcia.

W kawiarni ludzie poruszają się jak pływające w soku muchy. Pachnie ciastem i ubraniami, które schną w ciepłe rozgrzanego do czerwoności pieca. Deszcz zaskoczył przyzwyczajoną do letnich upałów Warszawę, mało kto pomyślał o płaszczu czy parasolu, wychodząc rano z domu, i teraz paruje cała ta wilgoć wniesiona na spodniach i sukniach; parują też filiżanki z kawą i gorącą czekoladą. Kołyszemy się, oblepieni lepką mgiełką, nie chce nam się rozmawiać. Nawet ja poddaję się temu nastrojowi, wciąż zanurzona w nierealności, świat wokół mnie wykoślawiony, przejęskrawiony i nieprawdziwy. Każdy oddech wymaga wysiłku, gdy wciągam w płuca zgęstniałe powietrze, serce bije tak mocno, że z trudem powstrzymuję się przed tym, by staroświeckim gestem przycisnąć dłonie do piersi niczym omdlewająca wiktoriańska dama. Przymykam oczy i zaraz je otwieram. Mam wrażenie, że wszyscy mnie obserwują - to lokal dla stałych bywalców, a ja jestem obca, poza

tym siedzę tu już wystarczająco długo, by kelnerzy zwrócili na mnie uwagę.

Mogłabym pójść do domu, do Franciszka oraz Wandy, i zapomnieć o Stowarzyszeniu, zapomnieć, że widziałam ojca. Nic by to jednak nie dało - próbowałabym żyć jak inni, nie myśleć o tym, że tak bardzo się od nich różnię, ale i tak bym myślała. Mimo to nie mam odwagi na nic poza ukradkowym, nerwowym zerkaniami na Tadeusza, który jako jedyny chyba gość Muzy nie wydaje się senny. Wręcz przeciwnie, choć nie robi nic szczególnego, w jego gestach, gdy podnosi do ust filiżankę i przewraca strony gazety, wyczuwa się tłumioną energię, która tylko czeka na uwolnienie.

Złapał moje spojrzenie i nim zdążyłam się odwrócić, posłał mi chłopięcy uśmiech. Złożył gazetę, odsunął filiżankę i wstał, a ja zamarłam jak schwytyany w sidła królik. Nie miałam dokąd uciec.

Ojciec podszedł do mojego stolika.

– Obserwuję panią już od jakiegoś czasu – powiedział. – Proszę mi wybaczyć, ale wygląda pani na kogoś, komu przydałaby się odrobina towarzystwa. Może przy- siądę się i wypijemy razem kawę?

– Czekam na znajomego. – Głos wydobywający się z mojego ściśniętego gardła zabrzmiał nienaturalnie, jakbym powiedziała niezręczne, żałosne kłamstwo.

– Cóż, jeśli znajomy się pojawi, natychmiast panią opuszczę. Po prostu pomyślałem sobie, że przyjemniej byłoby czekać z kimś, z kim można porozmawiać, a nie samemu. Nie uważa pani? – Uniósł otwarte dłonie w zabawny geście. – Nie mam złych zamiarów, proszę mi wierzyć. Jestem przyzwoitym człowiekiem, lekarzem.

Oczywiście, że miał złe zamiary. On o tym wiedział i ja wiedziałam, ale ponieważ był uprzejmy i na pozór przynajmniej doskonale niewinny, oskarżenie go sprawiłoby, że wyszłabym na histeryczkę, on zaś mógłby uznać się za ofiarę - kogoś, kto chciał tylko zaoferować samotnej kobiecie towarzystwo, a spotkał się z nieusprawiedliwioną agresją. Wpadłam w pułapkę gładkich słówek i nie potrafiłam się z niej wyplątać. Znam to uczucie bezsilnej złości, Franciszek mówi tak samo, z

nim też się godzę, unikając w ten sposób bardziej bolesnego ciosu dla mojej dumy.

Skinęłam głową.

Tadeusz Rec przyglądał mi się z zaciekawieniem. Zastanawiałam się, czy wspomni o tym, że bardzo przypominam jego córkę, ale zmarszczył tylko brwi i powiedział rzecz najbanalniejszą z możliwych:

– Mam wrażenie, że gdzieś się już spotkaliśmy. Pani twarz wydaje mi się znajoma. – Zaraz potem uśmiechnął się przepraszająco i dodał – wiem, jak to brzmi, ale proszę mi wierzyć, mówię prawdę.

Cóż, tym razem byłam skłonna przyznać mu rację.

– Ja pana nie znam – skłamałam.

Miałam przed sobą mojego ojca i jednocześnie zupełnie obcego człowieka: jego gesty, uwodzicielskie ciepło, z jakim spoglądał mi w oczy - wszystko to było tak bardzo odmienne od tego, co oglądałam na co dzień jako dziecko. Widziałam teraz drugą, skrywaną przed rodziną twarz Tadeusza i nie podobał mi się ten widok, a jednocześnie złość i pogarda, jakie odczuwałam, sprawiły, że nieoczekiwanie nabrałam odwagi.

– Nazywam się Jadwiga Rathe – przedstawiłam się pod wpływem impulsu.

Przyjął moje słowa bez zdziwienia, co oznaczało, że - tak jak sądziłam - nie interesował się historią teatru.

– Pani ma bardzo interesujący typ urody. – Spojrzał na mnie, zamyślony. – Klasyczny, jak z obrazów Modiglianiego. Może dlatego właśnie wydaje mi się pani znajoma. Maluję trochę dla rozrywki, to nic wielkiego, taki konik znudzonego doktora. – Ton sugerował, że tylko stara się być skromny, podczas gdy jego obrazy zasługują na lepszą ocenę.

Rozmawiamy. Miękką wilgoć powietrza otula nas jak koc, w tle stłumione bębnieniem deszczu szmery rozmów. Wielki samowar w kącie kawiarni syczy i parska, wypuszczając kłęby pary, od pieca bije obeszpośrednio ciepło, a ludzie za szybą to rozmazane pluchą kolorowe plamy. Tadeusz patrzy mi w oczy, wszystko w nim - i wyraz twarzy, i

gesty - mówi, że jest skoncentrowany tylko na mnie, nie liczy się nic poza słuchaniem moich słów. Wyobrażam sobie, że cieszę się intymnością tej chwili: jesteśmy niemal sami, prawie oddzieleni od świata, a przecież wystarczająco blisko innych ludzi, bym czuła się bezpieczna. Wyobrażam sobie, że schlebia mi zainteresowanie przystojnego mężczyzny i że już teraz znajduję się pod jego cierpliwie rozsnuwanym urokiem.

Rozmawiamy. Skupiam się, by unikać pułapek w postaci pytań o moją rodzinę i dzieciństwo, sporo za to mówię o ulubionych książkach i filmach, na tym terenie nic mi nie grozi, mój dorosły gust bowiem mocno różni się od upodobań z dzieciństwa. Nie jestem prawdziwą Jadwigą Rathe i nie potrafię grać, lecz w towarzystwie Tadeusza Reca to nie ma znaczenia - on widzi to, co spodziewa się zobaczyć.

Rozmawiamy, czas mija leniwie. Tadeusz jest coraz bardziej odprężony i pewny siebie - jeśli wcześniej miał wątpliwości, czy rzeczywiście czekam tu na kogoś, to teraz zyskał już pewność, że jestem sama.

W pewnym momencie zerka na zegarek, potem na mnie. Na jego twarzy pojawia się przeproszący uśmiech.

Milczę, czekając na propozycję następnego spotkania, a kiedy pada, rozstajemy się jak dobrzy znajomi. Wracam do domu i gdy wsiadam do tramwaju, znów jestem świadkiem cudu przez nikogo niezauważonego. Tym razem przyszłość ciągnie za sobą elegancka, młoda kobieta. Idzie chodnikiem ze swobodą ludzi przyzwyczajonych do tego, że inni ich podziwiają, ubrana w jasny płaszcz, w kapeluszu z woalką przesłaniającą twarz. Nim tramwaj ruszy, zobaczę jeszcze, jak zmieniają się fasady budynków i wystawy sklepów, a gazeta w ręku mężczyzny czekającego na przystanku znów krzyczy o bliskiej już inwazji nazistowskich Niemiec. Nazistowski - to słowo niewiele mi mówi, ale wiem, że niedługo będzie na ustach wszystkich.

23.

Od wtorku do czwartku, lalka

teraz

Widywałam się z Tadeuszem każdego popołudnia przez wszystkie dni dzielące nas od ostatniego weekendu sierpnia. Wtorek, środa, czwartek. Trzy doby nanizane jedna za drugą na nic czasu. Chodziliśmy na spacer do parku, siadywaliśmy pod parasolami w kawiarenkach tak maleńkich i rzadko odwiedzanych, że właściciele osobiście wybiegali nam na spotkanie i pospiesznie ścierali zakurzone stoliki. Gdy pytał o moją rodzinę czy dzieciństwo, zręcznie zmieniałam temat. A może i niezręcznie, może Tadeusza po prostu nie obchodziło, kim jestem ani skąd się wzięłam. Pogoda wciąż była letnia, choć nocami padało i za dnia warszawskie bruki parowały, a w kałużach odbijały się słoneczne refleksy. Tadeusz, wciąż nienagannie grzeczny, żadnym gestem ani słowem nie dał mi do zrozumienia, że chodzi mu o coś więcej niż miłe towarzystwo na dwie czy trzy popołudniowe godziny. Nierealność spowijała mnie jak ślubny welon, chodziłam w niej, jadłam lody i piłam kawę. Podawał mi w nierealności rękę, gdy przechodziłam po chybottliwym mostku w parku, a ja w nierealności odpowiadałam uśmiechem na jego bezpieczne, miłe komplementy. To jest mój ojciec, myślałam, ale słowa wydawały się puste, wydrążone z wszelkiego znaczenia. Nie zawsze, bo znałam go i nie znałam jednocześnie, czasem drobne jego gesty, uśmiech, zapach wody kolońskiej, przypadkowa uwaga sprawiały, że wracało do mnie dzieciństwo i znów byłam małą dziewczynką, a on tatą, na którego kolanach siadałam, by w atlasach medycznych oglądać kolorowe ryciny. Milkłam wtedy, walcząc z chęcią,

by rzucić się temu eleganckiemu mężczyźnie na szyję, rozpacz zaciskała się na gardle, bo przecież wiedziałam, że nie mogę tego zrobić. Tadeusz pytał wtedy, co się dzieje, a ja potrząsałam głową. W środę - a może to był już czwartek? - przeprosiłam go i wyszłam do kawiarnianej łazienki, gdzie rozplakałam się w samotności różowo- -białych kafelków. Potem umyłam twarz - oczy miałam zapuchnięte, źrenice wielkie jak ktoś, kto śni na jawie. Sądziłam wówczas, że gdy wyjdę z toalety, zastanę pusty stolik, a właściciel kawiarenki, którego zapytam o mojego towarzysza, powie ze zdumieniem: „przecież była pani sama”. Posunęłam się jeszcze dalej, wyobrażając sobie, że nie ma żadnego właściciela ani żadnej kawiarenki, że nie istnieje Warszawa ani dom Franciszka, w którym mieszkam - realny był tylko chłód lustra, o które opierałam czoło, i smród chemicznych środków czyszczących.

Tadeusz zapytał z troską, czy to przez niego płakałam, czy może zrobił coś, co sprawiło mi ból, a ja odparłam, że nie, to tylko przykre wspomnienie.

Wtedy zaproponował, że „na pocieszenie” namaluje mój portret. Tak to ujął - „na pocieszenie”, co z jakiegoś powodu wydało mi się zabawne. Pojechalśmy dorożką do jego domu. Był zupełnie inny, niż się spodziewałam, pusty i zimny, jakby nigdy nie mieszkała tu kobieta ani dzieci. Typowa willa kawalera. Tylko na stoliku w pracowni siedziała lalka z porcelanową twarzą i ruchomymi rękami.

Tadeusz źle odczytał wyraz mojej twarzy.

- To prezent - powiedział z zakłopotaniem. - Dla mojej córki. Ale ona chyba jest już za duża na takie zabawki. Dzieci dorastają tak szybko, prawda? Myślę, że jednak ją wyrzucę i kupię coś innego. - Podniósł nieszczęsną lalkę, zamierzając od razu spełnić groźbę.

- Niech zostanie - powstrzymałam go. - Przynajmniej na chwilę.

Lalka patrzy na mnie, gdy pozuję Tadeuszowi do jednego z tych nudnych, ulizanych portretów, które tak dobrze znam. W pracowni unosi się woń farby i terpentyny - oba zapachy też są doskonale znajome, podobnie jak oszczędne, eleganckie ruchy stojącego przy sztalugach Tadeusza. Słoneczne promienie wpadają przez okno i miękko

kładą się na moim odsłoniętym przedramieniu, w miejscu gdzie Walczyński niedawno szukał blizn. Odwracam oczy, ale nawet wtedy czuję na sobie wzrok lalki. Z jakiegoś powodu wiem, że wyglądam w tym momencie wyjątkowo ładnie i że z pewnością nie będzie tego widać na malowanym właśnie obrazie. Wiem też, że Tadeusz, gdy tylko skończy, spróbuje mnie objąć, a kiedy się cofnę, pospiesznie zamaskuje ten gest innym, udając, że wcale nie miał takiego zamiaru. Potem zaproponuje wyjazd na weekend. „Zapewniam, że pani portret w plenerze byłby znacznie lepszy”, powie, po czym da do zrozumienia, że na wsi nie muszę się obawiać jego romantycznych zakusów - wszak w Czarnem spędza wakacje jego żona z dziećmi. Ja oczywiście będę wiedziała, że to nie ma znaczenia, i on będzie to wiedział, ale się zgodzę.

Widzę to wszystko tak wyraźnie, jakby się już zdarzyło.

I chyba właśnie wtedy ostatecznie realność zamienia się miejscami z nierealnością, bo kiedy wracam do domu, Franciszek wydaje mi się równie nierzeczywisty, jak wcześniej Tadeusz.

24.

A co, jeśli wróci? Sny

teraz

Oznajmiłam bratu, że jadę na weekend do poznanej w sanatorium kobiety. Nie jestem pewna, czy mi uwierzył; wcześniej co prawda zdarzało się, że odwiedzałam koleżanki, zawsze jednak uprzedzałam go wcześniej. Nagłość mojego wyjazdu, wahanie, gdy podawałam nazwisko znajomej, i miejsce, w którym mieszka - wszystko to wzbudziło w moim bracie czujność. Sądzę, że, poinformowany już przez uczynną gospodynię, był przekonany, iż jadę się spotkać z kochankiem, ale - zgodnie z zasadą: czego nie mówimy na głos, tego nie ma - nie odważył się robić mi wyrzutów. Patrzył tylko z tłumioną złością, gdy pakowałam walizkę. Wanda stała obok, na jej twarzy malowały się niepokój i troska.

- Źle wyglądasz - powiedziała wreszcie. - Może powinnaś zostać w domu? Co, jeśli rozchorujesz się po drodze?

- Nic mi nie będzie. - Wzruszyłam ramionami.

Nigdy w życiu nie chorowałam, ominęły mnie nawet popularne dolegliwości wieku dziecięcego. Kiedy byłam małą, matka zartowała czasem, że zarazki boją się naszego ojca, ja natomiast, gdy podrosłam, doszłam do wniosku, że idealnie zdrowe ciało to być może pewnego rodzaju rekompensata za szwankujący umysł.

- Nie zrób nic niemądrego - napomniął mnie Franciszek, jakbym wciąż była niesfornym dzieckiem, tamtą małą dziewczynką, która zdejmowała buty i śmiało wchodziła w rwący nurt rzeki. - Nie chcę się za ciebie wstydzić.

Wanda pokiwała głową, dołączając w ten niemy sposób do prośby.

Wieczorem zadzwoniłam do Małgorzaty, jej głos w słuchawce kipiał radością, gdy wspomniałam o propozycji Tadeusza.

– Doskonale, moja droga. Doskonale. Oczywiście opowiesz nam potem wszystko.

– A co, jeśli prawdziwa Jadwiga wróci do Czarnego?

– Nonsens, kochanie, ludzie nie wyskakują z przeszłości jak pajacyki z pudełka.

W jej głosie brzmiała taka pewność, że nie śmiałam dyskutować, jednak wieczorem opadły mnie wątpliwości. Jakkolwiek nazwać to, co wydarzyło się w Czar- nem, zjawisko musiało objąć niewielki fragment okolicy. Ogród, może kawałek lasu i rzeki. Czy więcej? Jeśli sięgnęło do któregoś z sąsiednich domów, istotnie po przyjeździe mogłam spotkać kogoś, z kim dawno temu miała się widzieć Jadwiga Rathe. Jednak do najbliższej Jaśminówki z Czarnego był spory kęs drogi.

To bez sensu, pomyślałam.

Przez większość nocy przewracam się w pościeli, zawieszona pomiędzy jawą a snem. Dom ożywa w ciemności, słyszę jęk okiennic, na które napiera wiatr, skrzypienie podłogi i tupot bosych stóp, gdy któreś z dzieci idzie do łazienki. Szepty, jakby w głębokiej czerni rozmawiały ze sobą mury willi, i ciężki oddech, mój i nie-mój, tuż przy uchu. To oni, na w pół uśpiony rozum wie o tym doskonale, obcy dyskutują ponad moją głową o sprawach, których nigdy nie zdołam pojąć, w ludzkim języku brak słów na określenie tego, czego właśnie doświadczam. Rozmowa, dyskusja, to nie to, oczywiście nie to, ich prawdziwe życie jest tak bardzo odmienne od naszego, że mogę jedynie starać się schwytać jego ułamek, reszta mi umyka, resztę ledwo mogę przeczuwać w tej ulotnej chwili, gdy umysł już uwolnił się od uprzedzeń świadomości, a jeszcze nie zapadł w sen. Dźwięki-nie-dźwięki chwytają mnie w pułapkę, tkwię na granicy koszmaru, niezdolna ani zsunąć się weń, ani obudzić. W oddali przetacza się przez niebo pomruk nadciągającej burzy, ja zaś myślę...

... zrzucają skóry, myślę, a kiedy uda mi się wreszcie zasnąć, śnię o utracie. Szczegóły umkną, gdy się obudzę, w pamięci zostanie jedynie

trawa o barwie tak jaskrawej, jak bywa tylko w dzieciństwie, i ja, młoda, w letniej sukience, którą podwiewa wiatr. Zapamiętam też spowijające całą scenę bursztynowe światło, niepokojąco senne i melancholijne.

Budzę się niewypoczęta, w nocnej koszuli przesiąkniętej potem i z niesmakiem w ustach, jakbym się upiła wczorajszego wieczoru. Lustro w łazience ukazuje mi moją własną opuchniętą twarz. Ochlapuję ją wodą i rozczesuję włosy, na nic innego mnie nie stać. Bez makijażu i z zaczerwienionymi oczami z pewnością nie mam „interesującej urody”. Uśmiecham się do siebie nerwowym, wymuszonym uśmiechem. Wycofałabym się teraz najchętniej, gdyby nie myśl o Franciszku, który swoją ulgę z pewnością okraśi sporą dozą rozbawionego poczucia wyższości.

Drobne tchórzostwa potrafią czasem tak wiele zmienić.

25.

Czarne - powrót

teraz

Wyjechaliśmy po południu. Nie padało, choć powietrze było ciężkie od wilgoci, a zasnuwane chmurami niebo wisiało nad miastem jak fatum. Zapięłam żakiet. Tadeusz zapytał, czy zatrzymać się i postawić dach, ale pokręciłam głową - nie było aż tak zimno. Jechaliśmy, rozchlapując wodę z głębokich kałuż, ludzie na chodnikach odskakiwali i krzyczeli za nami. Warszawa pachniała deszczem, niedawnym i tym, który dopiero miał nadejść, parowały końskie boki, a kiedy zatrzymaliśmy się na skrzyżowaniu, uderzył we mnie smród rozmokłego nawozu.

Czekały nas cztery godziny jazdy, na miejscu będziemy pewnie o zachodzie słońca. Tak krótko, choć w dzieciństwie wyjazd do Czarnego zdawał się zajmować cały dzień.

Poza miastem było jeszcze chłodniej, jednak wciąż nie chciałam się zgodzić, by Tadeusz podniósł dach. Mijaliśmy chłopów pracujących na polach, wiejskie dzieci, nieprzyzwyczajone do widoku samochodu, biegły za nami i krzychały, a ich słowa porywał wiatr o zapachu jesieni. Wonie stojącej wody i zimnej gleby zdawały się pochodzić z przyszłości, lecz wokół nas wciąż było lato. Blask słońca przesiany przez liście drzew, niebo czyste, bez śladu chmur. Roztarłam zziębnięte ramiona. Tadeusz Rec niezobowiązującym, na pozór przypadkowym gestem położył rękę na moim kolanie i tam skoncentrowało się całe ciepło. Czułam, jak pulsuje, ale moje ciało nie należało już do mnie, ja byłam gdzie indziej, przemarznięta do szpiku kości, szczęśliwa i wolna, z zadartą głową i przymkniętymi oczami płynęłam na tle błękitnego nieba jak latawiec, w

rozbłyskach słońca, w letniej zieleni drzew.

Na moją prośbę Tadeusz Rec zahamował przed Czar-
nem, na zakręcie, gdzie w dzieciństwie wraz z braćmi czekałam na ojca. Cienie
zbierały się w bruzdach na polu, powietrze pachniało zgromadzonym
pod kamieniami mrokiem. Nie miałam na sobie długiej sukni ani
kapelusza, którego rondo ozdobiłyby kokarda oraz kwiaty. Poczułam
rozczarowanie, a potem z lasu wybiegły dzieci: dwóch chłopców i
dziewczynka w białej letniej sukience. Dziewczynka zatrzymała się, by
popatrzeć na samochód. Sądziłam, że będzie młodsza, ale ona wyrosła
już z dzieciństwa - z tej trójki dzieckiem był jeszcze tylko Staś.
Trzynaście albo czternaście lat, oceniłam, patrząc na dziewczynkę. Zbyt
duża na lalki, zbyt duża, by wraz z braćmi czekać na zakręcie.

II

1.

Sen nocy letniej, Jadwiga i marzenia

wspomnienia

Był czerwiec, koniec roku szkolnego. Dla mnie nie miało to wielkiego znaczenia, ja uczyłam się w domu, ale moi bracia od tygodnia mówili wyłącznie o zbliżających się wakacjach. Jeszcze tylko ostatni egzamin i już można wrzucić szkolne podręczniki na dno szafy, gdzie przez letnie miesiące porastać będą kurzem. Tyle rzeczy trzeba kupić bądź załatwić przed wyjazdem - ubrania dla chłopców, choć i tak spodnie przetrą się na kolanach, a marynarskie bluzy wrócą do Warszawy uwalane błotem i żywicą, ubrania dla mnie (matka narzeka, że tak szybko rosnę - mam czternaście lat, a już jestem od niej wyższa), buty do konnej jazdy i nowe rakietki tenisowe, bo w starych wypaczyło się drewno. A przede wszystkim trzeba wysłać do Czarnej służbę, by przygotowała dom na nasz przyjazd. Mama przez dwa dni sporządza listę rzeczy, które bezwzględnie należy zrobić, skreśla, mruczy pod nosem i dopisuje kolejne punkty. Zupełnie jakby służący sami nie potrafili wpaść na to, że wyciągnięte ze strychu meble ogrodowe należy wyczyścić, a płot po zimie wymaga naprawy. Każdego roku bawi mnie ta jej lista, bo wiem, że Maciej i tak do niej nie zajrzy - czyta tylko rubrykę sportową w „Kurierze Warszawskim” i czasem jakies szczególnie krwawe fragmenty

kroniki kryminalnej, a i wtedy z trudem sylabizuje słowa, wpatrując się w gazetę oczami krótkowidza.

Ogłuszone upałem muchy objijają się o szyby, przez okna wpada zapach kwitnących lip, który towarzyszy mi od najwcześniejszego dzieciństwa, bo nasza mokotowska willa, gdzie wszyscy troje przyszliśmy na świat, otoczona jest drzewami, jakbyśmy mieszkali w parku. W tym zapachu i letniej duchocie wpadamy na częściowo już spakowane kufry, potykamy się o leżące na środku sypialni kije do hokeja na trawie, starając się znaleźć w przedwakacyjnym bałaganie ulubione książki czy koniecznie potrzebne buty.

Właśnie w tych ostatnich dniach przed wyjazdem ojciec oznajmił, że jego znajoma, Jadwiga Rathe, będzie występować w *Śnie nocy letniej* i zaproponował, byśmy całą rodziną poszli ją obejrzeć.

Nie pamiętam tamtej chwili. Wtedy nie miało to znaczenia, nazwisko Jadwigi było tylko pustym słowem. Pamiętam jednak, że spodobała mi się sama perspektywa pójścia do teatru na prawdziwą, „dorosłą” sztukę, bo dotąd chodziłam tylko na stosowne dla dzieci popołudniówki. Nazwisko Szekspira miało swój urok, choć obaj moi bracia od komedii o miłości woleliby coś krwawszego, gdzie więcej się dzieje. „Powinniśmy pójść na *Makbeta*”, zawyrokował Franciszek, a Staś pytał z nadzieją, czy elfy będą się w tym lesie bić jak Indianie na amerykańskiej prerii. Mama nie była zadowolona - perspektywa wyprawienia nas wszystkich do teatru w całym tym rozgardiaszu musiała jej się wydawać ponad siły, ostatecznie jednak ojciec jak zawsze postawił na swoim.

Trzeba więc było dla odmiany zająć się „wyjściowymi” rzeczami, wyczyścić benzyną rękawiczki, wypastować buty, wyprasować koszule i spodnie. Tak bardzo chciałam, żeby wszystko było idealne. Czułam się odmieniona, gdy mama ścisnęła mnie znieawidzonym gorsetem, a potem pomagała założyć baskinkę i drapowaną dwuczęściową spódnicę. Inna, ładniejsza i zgrabniejsza. Niemal doskonała, jakbym z dnia na dzień zostawiła za sobą dzieciństwo i wkroczyła w dorosłość niczym w bajkę albo romans z gatunku tych zakazanych, które czasem czytywałam ukradkiem. Z perspektywy czasu widzę, jak kruche było to uczucie -

wystarczyłby jeden niemądry żart któregoś z braci, jedno niezadowolone spojrzenie ojca, bym znowu stała się niezgrabną, nieśmiałą czternastolatką. Jednak uroczysty nastrój tamtego dnia musiał się udzielić wszystkim, bo Franciszek i Staś byli wyjątkowo spokojni, a ojciec miał znakomity humor.

W teatrze ze ściśniętym żołądkiem czekałam na podniesienie kurtyny. Niewiele tego dnia udało mi się zjeść, ale nie byłam głodna. Podniecenie zaćmiewało mi wzrok, słów prologu słuchałam z tak desperacką uwagą, że traciłam ich sens. Magia teatru przeciekała przez palce, czułam ją, lecz nie potrafiłam uchwycić. Czasem prawie mi się udawało i wtedy zamiast papierowych dekoracji widziałam las, a uszminkowani aktorzy stawali się Pukiem, Lizandrem czy Demetriuszem. Trwało to krótko, zaraz potem znudzony Staś znów zaczynał się wiercić w fotelu, Franciszek rzucał głupi żart i czar pryskał. Okazałam się niegodna, mogłam zajrzeć do świata iluzji, lecz nie udało mi się do niego wejść. Nie cierpiałam jednak tak, jak mogłabym przypuszczać jeszcze kilka godzin wcześniej - byłam teraz częścią zachwyconej widowni, wzdychałam, kiedy inni wzdychali, i śmiałam się, kiedy inni wybuchali śmiechem. W tym wspólnie odprawianym misterium moja słabość stawała się nieważna - co z tego, że oszukiwałam, skoro nikt o tym nie wiedział?

Jadwiga w pierwszej chwili wcale mnie nie zachwycała. Grała Tytanię i kiedy pojawiła się na scenie, pomyślałam sobie, że jest zbyt postawna jak na tę rolę, mało elfia i zwiewna. Było w niej jednak coś ujmującego. Miała głęboki, ciepły głos, w którym pobrzmiwały nutki ironii, i uśmiech, który zdawał się bardziej przypadkowy niż celowy. Jadwiga uśmiechała się tak, jak niektóre kobiety się rozbierają, nie dla innych, ale dla siebie zrzucała powagę z roztargnieniem, ukazując na krótką chwilę intymność rozbawienia, by zaraz potem na powrót skryć się za maską.

W czasie antraktu ojciec zaproponował, że nam ją przedstawi - wyraźnie chciał się pochwalić znajomością z aktorką, może nie nazbyt popularną, ale wystarczająco znaną, by w warszawskim teatrze zagrać jedną z głównych ról. Nawet nie zauważył, że mamie ten pomysł wcale się nie spodobał - uznał, że skoro on jest entuzjastycznie nastawiony, to

wszyscy muszą tacy być.

Cóż, ja byłam. Za kulisami oszołomiło mnie bogactwo nowych wrażeń. Atmosfera nerwowego pośpiechu, posłańcy z kwiatami przeciskający się pomiędzy biegającymi tam i z powrotem charakteryzatorami i garderobianymi, woń wilgotnego drewna, w które przez lata wsiąkał zapach potu. A w garderobie Jadwigi porozrzucane barwne stroje, słoiczki z kosmetykami i unoszące się w powietrzu drobinki pudru. Pośrodku tego wszystkiego ona: szeroka ręka na moim policzku, oczy patrzące na mnie z góry - ja byłam wysoka, ale Jadwiga jeszcze wyższa. Muśnięcie długich ciemnych włosów, szelest sukni i jaśminowe perfumy. Minęło, zanim zdążyło się wydarzyć, wciąż czułam na skórze jej ciepło, kiedy szliśmy z powrotem do *foyer*.

- Idealna do roli królowej, prawda? - powiedział ojciec. - Cóż za postawa i jaka twarz!

Dopiero wtedy uznałam, że Jadwiga naprawdę jest piękna - jakbym potrzebowała ojca, by spojrzeć na nią z właściwej perspektywy, jakby jej uroda zaistniała dopiero w momencie, gdy została określona słowami.

Kiedy wracaliśmy, przeżyłam raz jeszcze coś podobnego - ojciec chwalił przedstawienie, a to, co mówił, nadawało konkretny kształt moim wspomnieniom. Tadeusz Rec rzeźbił przeszłość własnej córki z talentem większym niż kiedykolwiek wykazał przy sztalugach. „Znakomita scena, mówił - zwróciliście uwagę na rolę Spodka?”, a ja kiwałam głową, choć nie zwróciłam - wtedy nie czułam magii, ale teraz tak, i jej smak, zaprawiony goryczą utraty, był słodszy niż czekoladowe lody.

Nim dotarliśmy do domu, już zdążyłam się zakochać. Nie w Jadwidze ani w żadnym z młodych aktorów, lecz w całej historii, w Szekspirze, we wszystkich, którzy przyczynili się do wystawienia sztuki. Nawet portier z teatru błyszczałby w moich oczach odbitym blaskiem czarodziejskiej iluzji.

Jeszcze przed snem pożyczyłam od mamy dzieła zebrane Szekspira, a od kucharki plik gazet, gdzie pisano o popularnych postaciach z towarzystwa. Moi bracia dręczyli mnie, sądząc, że zakochałam się w przystojnym blondynie, który grał Demetriusza, ja zaś udawałam, że

gniewają mnie ich zarty, ale tak naprawdę tylko je podsycalam - dopóki Franciszek i Staś uważali, że odkryli mój sekret, prawdziwa tajemnica była bezpieczna.

W nocy wyobrażałam sobie, że błędzę zagubiona po lesie, że odnajdują mnie elfy, a ja odpoczywam w ich ramionach na łożu z kwiatów. Skonstruowałam cały łańcuch przyczyn, które doprowadziły mnie do tego momentu, stworzyłam opowieść od nowa, dodając do niej samą siebie. Rano jednak uderzył mnie fałsz tej historii - *Sen nocy letniej* beze mnie miał głębię i tajemnicę, której nie potrafiłam pojąć, *Sen nocy letniej* ze mną był tylko głupią bajką, którą opowiadała sobie przed snem czternastoletnia dziewczynka.

Ten dylemat dręczy mnie, gdy jedziemy do Czarnego - Franciszek i Staś rozbawieni, ja zanurzona w marzeniach, aż moja mama zaczyna się niepokoić i pyta, czy coś mi jest. Nie, odpowiadam, choć tak naprawdę jest mi wszystko. W tym czasie zwracam uwagę już przede wszystkim na Jadwigę; Jadwiga wyróżnia się spośród osób, które zagarnia moja nastoletnia miłość. Na początku jest to widziana na scenie Jadwiga-Tytania, ona ma w sobie tajemnicę jak prawdziwa opowieść i jednocześnie jest fałszywa niczym tworzone przeze mnie bajki. Kolejny dylemat, który sprawia mi ból i którego nie potrafię rozwikłać. Ostatecznie więc koncentruję się na znanej z gazet Jadwidze-aktorce. Wiem już, że ma młodszego brata, nigdy go co prawda nie widziałam, ale nie przeszkadza mi to wyobrażać sobie Karola Rathe jako przystojnego młodzieńca, który się we mnie zakochuje. Wyobrażam sobie nasz romans, a w tle zawsze jest Jadwiga ciesząca się naszym szczęściem, patrząca na nieśmiałe zaloty, obejmująca mnie i całująca z siostrzaną serdecznością.

To o nią tak naprawdę mi chodzi, nie o niego.

Patrząc z perspektywy czasu, myślę, że Jadwiga byłaby nielicho przerażona, gdyby dowiedziała się choć połowy tego, co roіło mi się w głowie. Osaczałam ją w marzeniach, zbliżając się pod niewinnymi pozorami jako ukochana brata, sierotka znaleziona na mrozie czy młoda aktorka mająca wystąpić po raz pierwszy na scenie. Tworzyłam kolejne

scenariusze, niszczyłam je i odbudowywałam. Wyobrażałam sobie, jak krok po kroku oddalają się od niej przyjaciółki i mężczyźni, o których czytywałam w gazetach, aż wreszcie zostają tylko ja.

Kim chciałam dla niej być? Miłość do mężczyzny jest prostsza, przynajmniej wiadomo, czego się od niego chce. Miłość do kobiety jest znacznie bardziej skomplikowana, bo czego ja właściwie chciałam od Jadwigi? Być jej najlepszą przyjaciółką, siostrą, przybraną córką? To i jeszcze więcej - słowo „kochanka” pojawia się na obrzeżach świadomości, odganiane niczym podchodzący pod osadę wilk, nie rozumiem w pełni jego znaczenia, a już napawa mnie grozą. Wyobrażam sobie, że Jadwiga ratuje mnie, tonącą w rzece, i zabiera do domu. Tam zdejmuje ze mnie przemoczone ubranie, wyciera i rozgrzewa. Jestem na wpół przytomna i w tej sennej nieświadomości nasz kontakt jest najzupełniej niewinny, jestem przecież słaba i bezwolna, nie mogę nic zrobić. Dopiero potem, gdy w świetle dnia patrzę trzeźwo na nocne marzenia, czuję dojmujący wstyd. Ale nawet gdyby tego wstydu nie było, nawet gdybym potrafiła wyobrazić sobie coś więcej niż leżenie w ramionach Jadwigi - nawet wtedy chciałabym więcej. Chcę Jadwigi całej, chcę zderzyć z niej skórę i wypełznąć do środka - chcę być nią, może o to właśnie chodzi.

2.

W Czarnem, lęk i nienawiść

teraz

Gdy podjechaliśmy pod dom i Tadeusz szarmanckim gestem otworzył drzwi, ogarnęła mnie panika. Nie chciałam, nie potrafiłam wysiąść. Tam, w jasno oświetlonym domu czekali moja matka, moi bracia, wreszcie ja sama - jak mogłam stawić im wszystkim czoła? Niemożliwość odebrała mi oddech, w lusterku moje własne bezkrwiste usta i pałające oczy, dłonie zaciśnięte na brzegu samochodowego fotela. Nie chcę, nie pójdę.

Tadeusz pochyła się nade mną - jego gesty wciąż pełne są odruchowej troski, ale przez twarz przemyka już grymas zniecierpliwienia. Chyba właśnie w tej chwili Tadeusz po raz pierwszy patrzy na mnie - nie na kobietę, którą chce widzieć, lecz na prawdziwą mnie, i uświadamia sobie, że być może więcej będzie ze mną kłopotów niż pożytku.

- Wsiądź, proszę - tłumaczy. - Jeśli naprawdę chcesz wracać do Warszawy, odwiozę cię na pociąg, ale nie teraz. Jutro rano. Dziś jest za późno.

Najwyraźniej przegapiłam moment, w którym zaczęliśmy mówić sobie po imieniu, ale to najmniejsze z moich zmartwień. Wiejskie powietrze jest ostre, tak jak zapamiętałam, pachnie lasem i chłodem niedalekiej rzeki. A za moimi plecami ciepłe światła domu, przez okna dobiegają strzępy rozmów i szczełk talerzy, zbliża się przecież pora kolacji.

Tadeusz pochyła się jeszcze niżej, jego ręka na moim karku, zniecierpliwienie przechodzi powoli w złość.

- Tato, czemu nie idziesz do domu? Wszyscy na ciebie czekamy.

Cienki, dziecięcy głosik należeć może tylko do Stasia. Mężczyzna się odwraca, ja nie. Nie potrafię. Jeszcze nie, wszystko we mnie zamarło w oczekiwaniu na chwilę spotkania z przeszłością.

– Już idziemy, synku. Ale najpierw podejdź tu i przywitaj się grzecznie z panią.

Tadeusz uważa najwyraźniej, że obecność dziecka powstrzyma mnie przed robieniem fochów. Ma rację, bo kiedy odważam się wreszcie spojrzeć, widzę przed sobą niewinnie zaciekawioną buzię i uśmiecham się z wysiłkiem.

– Jestem Staś – mówi chłopiec.

– Jadwiga Rathe – odpowiadam, niemożliwość puszcza wreszcie moje gardło i mogę swobodnie oddychać. Dlaczego nie?, myślę, czując, jak wzbiera we mnie śmiech. To przecież tylko sen.

Tylko sen, a jednak w czasie kolacji potrafię patrzeć na wszystkich z wyjątkiem mnie. Na moją matkę, młodszą niż ją zapamiętałam, choć i tak postarzałą. Mogłabym założyć się o każde pieniądze, że siedzące przy stole dzieci nie dostrzegają siwych nitki w jej włosach, zmarszczek wokół oczu i skrzywienia ust, które niezdarnie imituje uśmiech. Dla nich Janina Rec jest wciąż tą samą kobietą, która nosiła je na rękach, ale ja dostrzegam prawdę: Janina jest zmęczona, Janina rozpoczęła już marsz w stronę nieuchronnej śmierci - każdego roku będzie stawać się coraz bledsza i chudsza, aż wreszcie umrze pewnego ciepłego, jesiennego popołudnia tak samo cicho jak żyła i nikt, włącznie z naszym ojcem, nie będzie potrafił powiedzieć, co jej właściwie dolegało. Janina mnie nienawidzi i jednocześnie się boi, sądząc, że może to ja będę tą kobietą, która na dobre odbierze jej niewiernego męża. Żal wypełnia mnie jak ciepła woda; tak bardzo chciałabym teraz przechylić się przez stół i położyć rękę na suchej, kościstej dłoni mojej matki. Objąć ją i pozwolić się ukołysać w ramionach jak dawniej, jak wtedy, kiedy byłam dzieckiem. Wspomnienia wracają, gdy najmniej ich pragnę. Zręczne palce poprawiające moje niesforne włosy, wieczne narzekania, znowu wyrosłaś z sukienek, co ja mam z tobą zrobić, wyprostuj się, nie biegaj boso, tyle razy cię prosiłam.

Jej troska, jej zapobiegliwa, pełna nużących pouczeń miłość - wszystko to było oszustwem, a jednak teraz oddałabym wszystko, by dostać jeszcze jedną szansę i choć raz w życiu naprawdę matki posłuchać.

Nienawiść Janiny Rec wypala dziurę w moim sercu.

Kobieta taktownie odwraca wzrok, Tadeusz próbuje wytłumaczyć mnie zmęczeniem po podróży, dzieci gapią się ze zdumieniem. Moi jasnowłosi bracia: jeden starzeje się i młodnieje na przemian, drugi, młodsza kopia Franciszka, którego znam, przed kilkoma dniami nie istniał wcale. Bliscy, a jednocześnie tak bardzo obcy - ich wspomnienia, dziecięce figle, dom rodzinny, który przywołują w pamięci z rozczuleniem - czy cokolwiek z tego jest prawdziwe? Zamykam na moment oczy i widzę ich, gdy w pachnącej lasem ciemności zrzucają skóry, a potem pełzną ku sobie, by nieludzkimi głosami rozmawiać o rzeczach, których nie zrozumie żaden człowiek.

Kim oni tak naprawdę są?

Ostatecznie udaje mi się opanować, choć filiżanka z herbatą drży w mojej dłoni - widzę siebie odbitą w brązowym płynie jak na końcu długiego, ciemnego tunelu, zagubioną we śnie, z którego nie potrafię się obudzić.

Skupiam się na najprostszych rzeczach. Unieść do ust filiżankę, upić łyk, choć gardło wciąż ściśnięte, natarty czosnkiem ozór na zimno pokroić w małe kawałki, które być może zdołam przełknąć. Chłód porcelany i srebrnych sztućców jest liną ratunkową, którą przywiązałam się do realności. Twarze otaczających mnie osób rozplywają się w złotym blasku świec, dym o zapachu wosku głaszcze policzki. Dam radę, powtarzam, myśląc o swoim pobycie w Czarnem jak o nieprzyjemnym zabiegu, przez który należy przejść, by się oczyścić. Powoli, krok po kroku. Konwersacja przy stole jak zawsze jest banalna: jaka pogoda w Warszawie, czy przyjemną mieliście podróż, tak, u nas wciąż jest ciepło, choć wieczorami czuje się już nadciągającą jesień.

Dobrze wyszkolona przez matkę, mogę prowadzić taką rozmowę nawet przez sen. To nic trudnego, myślę. Dam radę - jak zakłęcie, które powtarzać muszę raz po raz, by w nie wierzyć.

Z drugiego końca stołu patrzę na mnie ja. Nie potrafię świadomie spojrzeć w tamtą stronę, a gdy się zdarza, że muszę odwrócić głowę i mój wzrok prześlizguje się po dziewczęcej postaci, umysł rejestruje tylko rozmazane szczegóły: burza płowych włosów, biel sukni i blada plama twarzy, pozbawionej rysów jak u ducha.

Ja.

Janina pyta, czy nie jestem przypadkiem zmęczona podróżą i czy nie chciałabym się położyć. Tak, rzeczywiście, potwierdzam skwapliwie, korzystając z okazji.

– Zaprowadzę panią – mówi, a ja odruchowo kieruję się w stronę schodów, bo przecież pokoje gościnne są na piętrze. Po chwili dopiero spostrzegam, jak bardzo się zdradziłam, i zawracam. Janina patrzy na mnie ze zdziwieniem, Franciszek czoło ma zmarszczone, a wzrok czujny. Pozostali chyba nie zwrócili uwagi, choć niczego nie mogę teraz być pewna.

3.

Nocne koszmary, o świcie do lasu

teraz

Leżę wpatrzona w ciemność, świeca przy moim łóżku dawno zgasła. Rozpoznaję znajome zapachy, dotyk świeżo wykrochmalonej pościeli, tykanie zegara na komodzie, ale sam dom jest mi wrogi. Intruz, szepczą ściany i chroboczące za nimi myszy.

Zamykam oczy, przywołując wspomnienie siedzącej przy stole rodziny. Obraz zatrzymany niczym filmowy kadr - ojciec przystojny i jak zawsze elegancki, matka mimo smutku w oczach i pierwszych zmarszczek idealna, jakby taka dokładnie miała być. Od dawna wiem, że po tym właśnie można ich rozpoznać - my wydajemy się w pewien sposób niedopasowani, zawsze bardziej niezgrabni, spoceni i niechlujni. Oni natomiast, obcy, niezależnie od tego, czy są starzy, czy młodzi, ładni czy brzydki, zawsze mają w sobie malowniczą doskonałość, jakby właśnie zeszedli z kinowego ekranu. Nawet żebracy, nawet pracujący w polu tępi chłopci. Nie wiem, czemu tak jest, ale czasem bardzo im zazdroszczę.

Tylko dzieci nigdy nie jestem pewna. Czy ich piękno wynika z obcości, czy może to przywilej bycia młodym? W przypadku dziewcząt chyba to drugie, myślę, wspominając moją Irenkę.

Za oknem zaczął padać deszcz, cichy szmer kołysał mnie do snu. Zeszłej nocy niewiele spałam i teraz mimo niepokoju zmęczenie brało górę.

Śniłam o ojcu, który czekał na zakręcie, oparty o maskę samochodu. Roześmiany, w letnim garniturze i kapeluszu panama. Biegłam do niego, wiatr podwiewał mi spódnicę, pęd powietrza pieścił łydki i uda.

Słońce zalewało całą scenę lipcowym światłem, było złociście, było jaskrawo i szczęśliwie - intensywność tak potężna, że za nią już tylko mrok. I mrok nadszedł, zatrzymałam się nagle, moje bosc stopy w trawie, ojciec wciąż przede mną, wciąż uśmiechnięty, z otwartymi ramionami gotowymi, by mnie chwycić. Nie zmieniło się nic, a jednocześnie zmieniło się wszystko. Jakby potężna dłoń sięgnęła do mojego wnętrza i wyszarpnęła serce. Wiedziałam, że ojciec czeka, by mnie skrzywdzić.

Usiadłam na łóżku, łapiąc powietrze gwałtownymi haustami, przepocona koszula kleiła się do pleców. Groza wciąż tu była, wyczuwałam ją za drzwiami. Niepewne poruszenia klamki, ciche skrobanie, jakby któraś z czarniańskich myszy usiłowała dostać się do środka. Poprzez barierę z solidnego drewna słyszę niespokojny oddech i zastanawiam się, czy Tadeusz ma, czy nie ma zapasowego klucza do pokoju gościnnego.

Najwyraźniej nie ma, bo po chwili daje za wygraną, jeszcze tylko dźwięk oddalających się kroków i cisza, cały dom śpi. Zwijam się pod kołdrą przekonana, że co jak co, ale ja zasnąć już nie zdołam.

Jednak zdołałam i tym razem nic mi się nie śniło.

Zbudziłam się w szarówce świtu wpełzającego do pokoju. Wstałam, do stojącej na toalecie miednicy nalałam wody z dzbana i ochlapałam policzki. Moja twarz w lustrze była jasną plamą, rozmytą i pozbawioną rysów jak u ducha. Przeczesałam dłońmi włosy. Wciskający się przez szpary w oknach ostry, mokry chłód sprawiał, że krew żwawiej krążyła w żyłach. Poczułam się młodsza, jakby nagle ubyło mi lat, dom już nie wydawał się tak bardzo wrogi.

Podeszłam do szyby, by zerknąć na zewnątrz. Deszcz przestał padać, teraz już tylko drzewa w ogrodzie strząsały na wietrze resztki nocnej wilgoci, a znad lasu unosiła się para. Zasnute chmurami niebo z trudem przepuszczało promienie słońca. Która mogła być godzina? Chyba późniejsza, niż sądziłam.

Spojrzałam na zegar, ale w półmroku nie widziałam wskazówek.

Gdzieś na dole rozległ się odgłos cichego stąpania, potem skrzypnęły

drzwi. Ktoś wyszedł do ogrodu. Z ciekawości przykleiłam czoło do szyby. Tadeusz? Sylwetka wydawała się znajoma, podobny wzrost, podobnie kanciaste barki. Jednak zmierzająca w stronę lasu postać była szczuplejsza, bardziej... młodzieńcza.

Franciszek, pomyślałam.

Co on robi, wymykając się o takiej porze? I czemu jest sam?

Przywykłam myśleć o nas, dzieciach, jako o wspólnocie, sprzeczącej się nader często, jednak połączonej więzami nie do zerwania. W moich wspomnieniach kłótnie nie miały znaczenia, nawet jeśli jedno z nas chwilowo gniewało się na dwoje pozostałych, i tak nie mieliśmy przed sobą tajemnic; nasze wyprawy, dziecięce psoty i przygody - we wszystkim braliśmy udział wspólnie. Moje wspomnienia z Czarnego zlewają się w jeden słoneczny bezczas, w którym bawimy się, pozbawieni wieku.

Ale przecież wiek ma znaczenie, prawda? Zawsze miał.

Uświadomiłam sobie, że istniał taki moment, gdy Franciszek uważał się już za prawie dorosłego, pewne wakacje, kiedy co prawda wciąż chodził z nami nad rzekę, pomagał budować tamy, a wieczorami opowiadał przy świetle świecy straszne historie, robił to jednak jakby z łaski, z poczuciem wyższości. Ja to zauważyłam, ale Staś nie, on zawsze, dopóki tylko mógł, ignorował zmiany.

Kiedy to było?

Lato, gdy skończyłam czternasty rok życia. Jak teraz.

Jeśli to prawda, myślę, to biedny Staś się pomylił, cofając czas. Chciał wrócić do dni, gdy wszyscy byliśmy dziećmi, a wrócił tam, gdzie dzieckiem jest jeszcze tylko on - bo przecież ja także dorosłam tamtego lata, gdzieś pomiędzy chowanymi pod poduszką zdjęciami Jadwigi Rathe a książkami, które z Warszawy przywoził mi ojciec.

Wspomnienie książek dezorientuje mnie. Pamiętam chwilę, gdy dostałam w prezencie *Magnata* Rodziewiczówny, pierwszy romans, który oficjalnie wolno mi było czytać, i pamiętam jednocześnie, że tą pierwszą „dorosłą” lekturą była któraś z sensacyjnych powieści Emile’a Gaboriau. Obrazy nakładają się na siebie, oba równie wyraziste i realne,

choć przecież tylko jeden z nich może być prawdziwy.

Tak to już jest ze wspomnieniami.

Całe Czarne jest nimi wypełnione. Znam tu każdy kąt, każdą rysę na szybie i każdą pajęczynę. Zamykam oczy i wciąż go widzę: niewielki piętrowy dworek z gankiem i dwiema kolumnkami, otoczony ogrodem, gdzie grządki, równe jak od linijki, sąsiadują z na wpół zdziczałymi klombami róż i kępami jaśminowca. Kilka jabłoni, grusza i biała altanka spowita gąszczem trującej glicynii. Nie ma tu ani jednego kamienia, z którym nie wiązałoby się takie czy inne wspomnienie. Drzewa, które zasadziliśmy jako dzieci - Stasia zmarniało, ale moje i Franciszka szybko nas przerosły - schody, na których potknęłam się i upadłam, zdzierając sobie skórę z obu kolan i niszcząc nowe pończochy, miejsce, gdzie niegdyś stała huśtawka, którą pewnej letniej nocy przewrócił wiatr. Przy furtce wykopaliśmy kiedyś dziurę, sądząc naiwnie, że dziecinnymi łopatkami przekopujemy się do Australii, na ścianie altanki wisiała tarcza, gdy ćwiczyliśmy strzelanie z łuku, na jabłoni próbowaliśmy zbudować domek, lecz zabrakło nam zapłału lub umiejętności - a może jednego i drugiego - i Maciej, zły jak osa, musiał potem wchodzić na drabinę, by odrywać deski przybite do konarów. Kałuża, w której znaleźliśmy utopionego kreta, i mrowisko, w które z ciekawości wrzuciliśmy baranią łopatkę, by po kilku dniach wyjąć ją czystą i białą jak kwiat jaśminu. Ciastka wynoszone do ogrodu w upalne dni i historie, jakie opowiadała nam kucharka, kiedy padał deszcz. Konfitury kradzione ze spiżarni i chowane pod łóżkiem papierosy. Dzień, gdy namówiliśmy Stasia, by rozebrał się do rosołu i biegł tak po ogrodzie, a ojciec, nie bacząc na wzajemne oskarżenia, złożył skórę najpierw jemu, potem zaś nam. Sierpniowe popołudnie, kiedy do Czarnego zawitała nowoczesność w postaci czerwono-żółtego opla. Nasze pierwsze radości i smutki. My. Wciąż tu jesteśmy, mali tak bardzo, że ledwo potrafimy chodzić, trochę starsi i wreszcie prawie całkiem już dorośli.

Tak wiele wspomnień. Przeszłość nigdy nie była równie bliska, mam ją tutaj, na wyciągnięcie ręki, trzeba jedynie chcieć. To jak zdejmowanie

księżycą z nieba - wystarczy na powrót stać się dzieckiem i uwierzyć, że to możliwe.

Nie wiem, jak długo tkwię przy oknie z czołem opartym o szybę. Patrzę, jak zasłona chmur pęka, wpuszczając do ogrodu strumienie słonecznego światła, wiatr cichnie, prostują się przygięte nocną ulewą kwiaty. Dom budzi się do życia, z kuchni dobiega szczęk wyciąganej z kredensu zastawy, pachnie świeżo zaparzoną kawą i gorącymi jeszcze bułeczkami z makiem.

Franciszek wraca tuż przed śniadaniem; przekrada się od furtki, pod oknami, aż do bocznego wejścia. Chyłkiem, jak prawdziwy Indianin. Otwieram okno i wychylam się, by lepiej go widzieć. Ręce ma puste.

Oddycham z ulgą.

Z jakiegoś powodu to właśnie wydaje mi się ważne - że Franciszek nie przyniósł niczego z lasu.

4.

Jadwiga i wiersze

wspomnienia

Tak to już jest ze wspomnieniami - są zamglone, niepełne, czasem ze sobą nawzajem sprzeczne.

Tamtego dnia zesłam do ogrodu przed śniadaniem. Była to chwila, gdy chłodny ranek przechodzi w ciepłe przedpołudnie, trawa jest jeszcze wilgotna od rosy, w cieniu i gdy wieje wiatr, wyczuwa się resztki nocnego zimna. Lecz mimo wczesnej pory słońce przypiekało mocno; gorąco na karku, jak dotyk szerokiej dłoni, i pokryte gęsią skórką ramiona. Roztarłam je i rozejrzałam się. Dopiero teraz zauważyłam kobietę odpoczywającą na leżaku pod gruszą. Jej twarz częściowo skrywał cień, kolana miała owinięte pledem, na nich książka niedbale odwrócona grzbietem do góry. Podeszłam bliżej, bo przyciągnęło mnie coś w jej na wpół sennej, na wpół świadomej postawie; dłoni kobiety zsunęła się z podłokietnika na pled, ukazując różowe wnętrza z liniami życia zaznaczonymi wyraźnie niczym blizny. Liście nad nią szeleściły jak przesypywane łuski grochu, policzki i czoło miała poznaczone ruchliwymi słonecznymi cętkami. Widziałam ją już poprzedniego dnia, ale dopiero teraz, sądząc, że kobieta śpi, mogłam się przyjrzeć uważnie.

Czarne włosy nosiła przycięte krótko jak Eve Lavalliére. Ta odważna chłopięca fryzura sprawiała, że jej twarz wydawała się bardziej bezbronna i jednocześnie młodszą mimo zmarszczek rysujących się w kącikach oczu. Widać było po niej przeżyte lata - pamiętam dobrze, że to właśnie mi się spodobało. Miałam wrażenie, że patrzę nie na nią, ale na jej życie, przepłakane noce, kochanków, którzy ją zawiedli, i puste,

zimne pokoje, jakie wynajmowała w pensjonatach o obco brzmiących nazwach. Myśląc o tym, sama w pewien sposób poczułam się starsza, bardziej doświadczona, jakbym tamtego ranka przeskoczyła kilka lat.

Kobieta otworzyła oczy i odwróciła się leniwie ruchem, który wyraźnie świadczył, iż od jakiegoś czasu zdaje sobie sprawę z mojej obecności.

– Witaj – odezwała się. – Wczoraj nie byłam zbyt ciekawym towarzystwem, co?

Nie wiedziałam, co powiedzieć, więc milczałam.

– Pamiętasz, jak się nazywam? – Wciąż na mnie patrzyła, ciemne oczy przeszywały na wylot.

– Jadwiga Rathe. – Przynajmniej na to pytanie znałam odpowiedź.

Kiwając głową, wydawała się smutna i rozbawiona jednocześnie, a ja nie potrafiłam zrozumieć dlaczego.

– Lubisz Włta Whitmana? – Wskazała książkę leżącą na kolanach.

– Tak. – Nie miałam pojęcia, kto to taki.

– To usiądź obok, poczytam ci. – Najwyraźniej uznała za oczywiste, że znam angielski.

Gdy rozstawiałam swój leżak, Jadwiga mi pomagała, jej ręce tuż przy moich, zapach perfum wtartych w rozgrzaną jeszcze po nocy skórę. Nie dotknęła mnie, choć byliśmy tak blisko. Ulotna chwila zostawiła we mnie uczucie zawodu, z którego wówczas na wpół tylko zdawałam sobie sprawę.

Aż do śniadania siedzieliśmy pod gruszą. Jadwiga czytała mi wiersze, ja słuchałam, treść ledwo do mnie docierała, ale nastrój spowijał nas jak rosnący szybko upał.

O living always, always dying!

O the burials of me past and present,

O me while I stride ahead, material, visible, imperious as ever;

O me, what I was for years, now dead, (I lament not, I am content;)

Teraz ja także byłam zarazem szczęśliwa i smutna. Czułam się tak, jakbym wyruszała z tą nieznaną kobietą w podróż. Oto stoję na

peronie z walizką w ręku, za mną to, co znam już i kocham, przede mną zimny, metalowy świat pociągów i pokoi w pensjonatach o obco brzmiących nazwach. Pożegnanie ma gorzko-słodki smak, teraz jestem nikim, ale taka się właśnie sobie podobam, w anonimowości początku, w pustocie istnienia poza życiem, wyjęta z dawnego, a niewłożona jeszcze w nowe. Jestem nikim, ale mogę być każdym, biała karta czekająca, aż ktoś zapełni ją kolorami.

Jadwiga miała piękny głos, chropawy, z nutą rozbawienia wyraźnie słyszalną nawet wtedy, gdy czytała najsmutniejsze strofy. Jakby się od nich dystansowała, melancholia przepływała obok, ale jej nie dotykała. Wydawała mi się doskonała za tą barierą zbudowaną ze słów, piękna i nieosiągalna.

*O to disengage myself from those corpses of me,
which I turn and look at where I cast them,
To pass on, (O living! always living!) and leave the corpses behind.*

Spodobała mi się twarz Jadwigi Rathe, gdy po raz pierwszy się jej przyjrzałam, tęskniłam za dotykiem tej kobiety, jeszcze zanim to sobie uświadomiłam. Ale to w jej głosie zakochałam się najpierw.

5. Człowiek w lesie, spotkanie nad rzeką - ja

teraz

Gdy Franciszek wrócił do domu, ja się wymknęłam. Wiedziałam, że jeśli nie zmieniły się zwyczaje panujące w Czarnem - a nic na to nie wskazywało - do śniadania mam jeszcze mniej więcej pół godziny.

Zamierzałam wykorzystać ten czas na krótką wycieczkę.

Poszłam w stronę, gdzie o świcie zniknął mój brat, do bocznej furtki. Widać było, że rzadko z niej korzystano, żelazna krata zdążyła obrosnąć pędami dzikiego wina, w miejscu kłódki wisiał pęk zardzewiałego drutu. Franciszek musiał przejść górą, ja mimo świeżego przypływu sił nie byłam chyba zdolna do takiego czynu, spróbowałam więc drut rozplątać. Szło mi opornie, zyskałam tyle, że ubrudziłam sobie dłonie i zламаłam paznokieć. Węzeł zasupłano tak ciasno, że potrzebowałabym chyba obcęgow, by sobie z nim poradzić.

Odsunęłam się, spocona i zła. Nie mogłam przecież przejść przez płot jak nastolatka.

A może jednak?

Przerzuciłam na drugą stronę torebkę, potem to samo zrobiłam z butami. Stopy wsunęłam w kratę furty i podciągnęłam się. Drut zadrapał mnie w łydkę, rozdzierając pończochę, spódnica pękła z trzaskiem.

Przeskoczyłam.

Dumna z siebie ruszyłam w głąb lasu. Dokąd mógł się wybierać Franciszek tak wczesną porą? Nad rzekę? Jako dzieci najczęściej tam

właśnie chodziliśmy i tędy również można było się dostać na brzeg, jednak drogą od strony głównej bramy szło się zdecydowanie krócej. Boczną furtą wychodziło się po prostu w las, a co mój brat miałby robić w lesie o świcie?

Wąska ścieżka chwilami całkiem ginęła w gąszczu i nie miałam już nawet pewności, czy Franciszek rzeczywiście szedł tędy przede mną, czy też podążam śladami leśnych zwierząt. Kolce dzikich malin smagały mnie po ramionach, obcasy pantofli utykały między korzeniami drzew. Nie miało to wiele sensu. Zatrzymałam się.

Las wokół jest cichy, słyszę tylko dźwięk kropel, które kapią ze świerkowych gałęzi. Oddycham tą ciszą, wciągam ją w płuca razem z zapachem ciężkiej od deszczu ziemi. Słoneczne światło ginie rozproszone w koronach drzew, a tam, gdzie stoję, panuje już półmrok. Mogłabym się wystraszyć, gdybym znalazła się w jakimkolwiek innym miejscu - ale nie tutaj, nie w Czarnem, gdzie znam każdy kamień.

Boję się dopiero wtedy, gdy wyczuwam, że jestem obserwowana. Nie widzę nikogo, lecz mam pewność - ktoś spogląda na mnie spomiędzy malinowych krzewów, uważny wzrok wwierca się w moje plecy. Odwracam się powoli. Nadal nic, las wciąż jest cichy, tylko krople deszczu szeleszczą w poszyciu.

Dopiero po chwili dostrzegam przytuloną do pnia drzewa sylwetkę. Ubrany na brązowo mężczyzna niemal zlewa się z tłem. Ma długie, skołtunione włosy i takąż brodę, a w ręku... w ręku trzyma strzelbę. Gdyby nie ona, pomyślałabym, że to złudzenie, dziad borowy, który z bajki zawędrował do mojego snu. Broń nadaje mu niepokojącej realności, ten człowiek wydaje się znacznie bardziej rzeczywisty niż las, sama blednę przy nim i rozpadam się jak zjawia zdmuchnięta pierwszymi promieniami świtu.

Spoglądamy na siebie w milczeniu. Teraz, gdy już go zauważyłam, znacznie łatwiej mi rejestrować kolejne szczegóły: widzę siwe pasma we włosach, dostrzegam, że brudne ubranie ma staroświecki krój. Na broni się nie znam, ale ciężka i nieporęczna strzelba także sprawia wrażenie wiekowej.

Kim on jest?

Oddycham płytko, niezdolna się poruszyć. Mężczyzna unosi strzelbę - przez krótką, straszną chwilę myślę, że chce mnie zabić, ale on tylko zarzuca broń na ramię, a potem nagłym ruchem odwraca się i przepada w lesie. Jakby nigdy go nie było.

Nie chcę wracać do domu tą samą ścieżką, bo musiałabym przejść obok miejsca, gdzie zniknął nieznajomy, idę więc naprzód. Przedzierając się przez las, okrążam dom łukiem, by dostać się nad rzekę. Z daleka czuję jej zapach i słyszę szum, zimna mgiełka osiada mi na rzęsach, jeszcze nim wyjdę spomiędzy drzew.

Obcasy zgrzytają o pierwsze kamienie wąskiej białej plaży. Czernianka po deszczu jest wzburzona bardziej niż zwykle - ma teraz kolor żółtawego błota i niesie ze sobą kawałki świerkowych gałęzi, nurt załamuje się na wystających spod wody głazach, pryskając wokół pianą, która lśni w promieniach słońca jak wyrzucane w powietrze złoto.

Kładę torebkę na kamieniach i kucam przy brzegu. Gdzieś tutaj, myślę, dawno temu umarła Jadwiga.

Nie pamiętam dokładnie, w którym miejscu, ale to nie ma znaczenia. Moje dzieciństwo i tak jest skażone, nad pierwszymi latami życia zawisł obraz wyciąganego z rzeki ciała. Pamiętam to, choć jednocześnie jestem pewna, że matka nigdy nie pozwoliłaby mi na coś takiego patrzeć.

Dorośle wspomnienia są jak wrzucony do rzeki rysunek, z którego woda powoli wypłukuje barwy. Sanatorium doktora Kempera i inne, podobne ośrodki - ile ich było? Ile razy Franciszek odprowadzał mnie na pociąg, przesadną uprzejmością gestów maskując narastającą irytację i zmęczenie, ile razy ja wysiadałam na zapyziałych stacyjkach, by wspiąć się na kozioł obok woźnicy, dla którego byłam tylko kolejną wariatką - cały mój majątek w jednej walizce, cała moja nadzieja, że tym razem być może naprawdę zostanę wyleczona.

Doktor Krępiński, Franciszek i Wanda, moja... nie pamiętam już jej imienia, ich twarze, gesty, słowa - wszystko rozplywa się w niespokojnych wodach Czernianki. Próbuję sobie przypomnieć pokój, w którym mieszkałam u brata, ale nie potrafię. Wiem, że to złe,

powinnam przynajmniej się tym zmartwić, ale do tego też nie jestem zdolna.

Najważniejsze, że w miarę jak dorosłe wspomnienia blakną, te z dzieciństwa stają się coraz bardziej wyraziste.

Martwa Jadwiga wyglądała jak święta, jej pozbawiona krwi twarz na tle błękitnego nieba, czerni rozrzuconych włosów płynąca pośród bieli chmur. Nie mogłam jej takiej widzieć, oczywiście, że nie - ciało po prostu wyciągnięto z rzeki i położono na brzegu, a jednak to właśnie pamiętam, jakby Bóg uniośł Jadwigę tuż po śmierci i zabrał do siebie.

Tak wiele w życiu widziałam - pogrom warszawskich Żydów w dzień Bożego Narodzenia, nadejście nowego stulecia i pogrążoną w chaosie powojenną stolicę, w której brakowało niemal wszystkiego: jedzenia, lekarstw i mieszkań, a nawet butów, tylko entuzjazmu było pod dostatkiem; byłam też świadkiem przerażenia, gdy do miasta zbliżała się bolszewicka armia, i późniejszej radości, kiedy nad Wisłą nastąpił cud. Lecz tylko twarz martwej Jadwigi została wypalona pod moimi powiekami.

Odwrociłam się, słysząc odgłos lekkich kroków. Za mną stałam ja - dziewczynka w letniej sukience, z bosymi stopami ubrudzonymi błotem i leśnym igliwiem.

Wciąż kuciałam, na wysokości mojego wzroku znajdowały się więc jej nogi. Zadrapania i ślady po oparzeniach od pokrzyw tworzyły mapę, na której dwa sińce wielkości pięciozłotówek wyglądały jak ciemne jeziora w sieci splątanych dróg. Chciałabym wędrować tymi drogami, od łydek pokrytych puchem złotawych włosów, poprzez krągłe kolana aż po smukłe, czternastoletnie uda; wyżej, do miejsca, gdzie kończyła się spódniczka skrywająca blade pośladki spowite w dziewiczą biel majtek. Nie miałam jednak odwagi dotknąć tego promienistego dziecka, jeszcze nie teraz. Po chwili wahania, bo sporo mnie to kosztowało, uniosłam więc tylko głowę. Moja twarz wisiała nade mną jak słońce, nie widziałam nic poza pulsującą kulą żaru, blask zdzierał ze mnie skórę i spalał kości. Zamrugałam. Rzeczywistość wokół złożyła się i powstała na powrót niczym strzepnięty wachlarz - nareszcie mogłam spojrzeć w

swoje własne rysy.

– Dzień dobry – mówię.

Dwa proste słowa porządkują świat, w niezwyklej sytuacji nie ma innego wyjścia, jak tylko zachowywać się zwyczajnie, a wszystko staje się proste. Jestem kobietą, którą nastoletnia dziewczynka spotkała nad rzeką, kucam na brzegu z potarganymi włosami i w podartej spódnicy. Wyglądam niewątpliwie zabawnie, ale być może w oczach tego dziecka niepozabawiona jestem także pewnej dozy przekornego wdzięku. Wszystko, co stanie się później, zostało już określone przez ten pierwszy moment i pierwsze słowa, moje wesołe „dzień dobry”, tak nieadekwatne do sytuacji, nadaje koloryt całej scenie.

Uśmiecham się, bo nagła radość mnie rozpira i unosi, sama teraz mogłabym popłynąć na tle błękitnego nieba jak niegdyś Jadwiga.

– Dzień dobry. – Dziewczynka podchodzi bliżej. – Zgubiła się pani w lesie?

– Tak – kiwam głową, wdzięczna za wyjaśnienie, jakim cudem znalazłam się nad rzeką. – Chciałam przejść się przed śniadaniem, ale straciłam z oczu ścieżkę. Czarne jest tam? – Specjalnie macham ręką w złą stronę.

– Nie, tam. – Dziewczynka pokazuje właściwy kierunek. – Zaprowadzę panią.

– Znakomicie, ale za chwilę, dobrze? Tu jest bardzo ładnie.

W milczeniu obserwujemy spienioną rzekę. Przez ulotną chwilę rozważam, co znajduje się pod dziewczęcą skórą, której tak chętnie bym dotknęła. Dwa serca jak u zabitej w lesie sarny? Kłęb splątanych wnętrzości, nie- przypominający w niczym tego, co widywałam w anatomicznych atlasach ojca? Ona jest obca, myślę, ale nie chcę o tym pamiętać. Pragnę jedynie cieszyć się bliskością tego jasnowłosego dziecka. Nie chcę nawet spoglądać na nie zbyt często, jakby dziewczynka siedząca obok mnie na kamieniach była skarbem, który można roztrwonić od samego patrzenia. Jej uroda wciąż mnie onieśmiela - długie nogi, gładka, opalona skóra, na nosie trzy kropki uroczych piegów. Jak mogłam zapomnieć, że kiedyś byłam tak piękna?

Dziewczynka nosi białą popelinową sukienkę. Widzę, jak wstaje rano i tę sukienkę zakłada, w półmroku świtu, w pokoju, gdzie chłód ma zapach drewna. Dotyk sztywnego materiału na zziębniętej skórze, na wpół uświadomione zadowolenie, gdy sukienka opada, dopasowując się do bioder, śliskość guzików pod palcami. Jestem nią w tej chwili, czuję wszystko, co czuła ona - to wrażenie intymne i erotyczne zarazem. Przeszłość zagarnia teraźniejszość, a ja nie wiem nawet, czy sprawia mi to przyjemność, czy może ból.

- Pani jest z Warszawy? - pyta nieśmiało dziewczynka.

Dla niej - bo przecież znam samą siebie - takie siedzenie w milczeniu wydaje się niezręczne.

- Z Warszawy, owszem.

- A była pani kiedyś za granicą?

Nie byłam, nie ma zresztą żadnego „za granicą”, ale przecież nie mogę tego powiedzieć. Poza tym potrzebuję czegoś, żeby ją tutaj zatrzymać.

- W Rzymie - odpowiadam, przypominając sobie zdjęcia, które pokazywała mi Wanda. - Dawno temu.

- Jaki on jest?

- Piękny - mówię. - Wieczne słońce ma tam barwę różowych fresków z Akrotiri, a ruiny na Kapitolu bieleją jak kości. Można po nim spacerować godzinami i nigdy się nie zmęczyć.

Dziewczynka kiwa poważnie głową. Udało się, myślę z radością, znalazłam klucz do samej siebie.

Mijają kolejne minuty, podczas których opowiadam o nieistniejących miejscach. Paryż ma kolor gołębic skrzydeł, to biel i szarość muśnięta tęczą mydlanych baniek. Kobiety tam zawsze są eleganckie i kiedy tylko kończą się zimowe chłody, pierwsze zrzucają płaszcze, by włożyć pastelowe sukienki, lekkie jak sama stolica. Londyn z kolei ma ciężar kutego metalu i gęstość czerwonych cegieł. To miasto, gdzie niebo nie jest błękitne, lecz ciemnoniebieskie, przypomina odwrócone do góry nogami morze, które w każdej chwili może spaść na głowy przechodniów.

Pamiętam wszystkie te miejsca, jakbym naprawdę tam była.

Na śniadanie się spóźniamy, ale nie ma to znaczenia, tak jak nie ma znaczenia potępiające spojrzenie rzucone mi przez matkę ani pełne dezaprobaty zdumienie ojca. Spotkanie nad rzeką chroni mnie jak tarcza - ukryte za nią, tylko ja i ja jesteśmy realne, pozostali to ledwo aktorzy w teatrze cieni, którym śmiało mogę patrzeć w twarz.

Oczywiście pomiędzy smarowaniem chleba miodem a podawaniem matce dzbanuszka ze śmietanką zauważam, że Franciszek nienawidzi mnie równie mocno, jak nienawidził wszystkich muz.

6. Portret w plenerze

teraz

Po śniadaniu Tadeusz poprosił, żebym mu pozowała, a ja nie znalazłam wiarygodnego pretekstu, żeby odmówić. Wyniosłam więc do ogrodu leżak, on przyniósł paletę i sztalugi.

– Będziesz pięknie wyglądała na tle różanych krzewów – powiedział, na co uprzejmie skinęłam głową. Nie obchodziło mnie, jak będę wyglądała i na tle czego, zastanawiałam się teraz, gdzie jestem i co robię. Może nad rzeką razem z braćmi, a może po prostu czytam w pokoju książkę. Ciekawe, czy czasem o sobie myślę?

Tadeusz malował i jednocześnie próbował bawić mnie rozmową. Odpowiadałam półsłówkami, konwersacja kulą, a w precyzyjne pociągnięcia pędzla wkradło się nerwowe napięcie. Cóż, Tadeusz miał pecha: nie byłabym nim zainteresowana, nawet gdyby nie był moim ojcem. Nigdy nie przepadałam za mężczyznami, nie pociąga mnie szorstka kanciastość ich ciał, a urok - jeśli w ogóle go mają - zawsze wydawał się zbyt oczywisty i bezpośredni, jak uderzenie pięścią w twarz. Kobiety są miękkie i pełne tajemnic, ich wdzięk skrywa się w drobnych niuansach zachowania, w uśmiechu, gestach, na które trzeba zwrócić uwagę, by je docenić. Kobięce twarze potrafią być zmienne jak wiosenna pogoda, w jednej chwili brzydkie, w następnej jaśniejące nieoczekiwanym pięknem.

Zatopiona we własnych myślach, zbyt późno orientuję się, że Tadeusz przygląda mi się z uwagą - i znów patrzy nie na swoje wyobrażenie, ale na mnie prawdziwą, a ja się boję tych chwil.

- Wiesz - mówi z namysłem - to dziwne, ale po raz pierwszy uświadomiłem sobie, że jesteś bardzo podobna do mojej córki. Gdyby tylko rozjaśnić ci włosy... To mnie zmyliło, przyznaję. - Śmieje się. - Ale oka prawdziwego artysty nie można oszukać tak łatwo.

Milczeniem pomijam fakt, że jak na artystę zorientował się zdumiewająco późno. Inna rzecz, że nie tylko kolor włosów miał prawo go zmylić, bo zmieniałam się przecież przez dwadzieścia lat.

Gdy Tadeusz skończył malować, pokazał mi gotowy portret. Nie spodziewałam się wiele, ale efekt mnie zaskoczył. Na płótnie wyglądałam jak żywa - Tadeusz z całą wściekłością niespełnionego pożądanego namalował jedyny dobry obraz w swoim życiu.

7.

Niedzielne wyprawy, wyobraźmy sobie...

wspomnienia

W Czamem co niedziela jeździliśmy do kościoła. Ten dzień od rana miał atmosferę święta - na śniadanie pasztet na zimno, szynka w cieście i gorące placuszki polane masłem, wszystko to jedzone w pośpiechu, bo Maciej już zaprzęga konie, Maciej wyprowadza samochód. Gorąca para z sykiem ulatuje spod żelazka, którym służąca prasuje ubrania, a poprzedniego wieczoru matka zagania nas do łazienki. Po tygodniu zabaw na dworze i byle jakiego wieczornego mycia brud wżarł się w skórę tak mocno, że teraz trzeba ją szorować piaskiem. Jesteśmy potem zaczerwienieni niczym wyparzone w korycie prosięta, zaczesane na mokro włosy opadają nam na oczy, sztywne koszule nocne nieprzyjemnie układają się na obolałych po piaskowym zabiegu ciałach. Jednak nic nie może zmącić naszej radości oczekiwania na niedzielny poranek.

Kościół w pobliskiej wsi jest nieduży i drewniany. Nad ołtarzem wyrzeźbiona przez miejscowego artystę figura ukrzyżowanego Chrystusa, w tle obraz przedstawiający walkę Jakuba z aniołem, który, gdy byłem mała, czasem śnił mi się w nocy. Podczas mszy panuje podniosła atmosfera, pospólstwo tłoczy się za naszymi plecami, baby w swoich najlepszych kieckach trzymają za ręce zasmarkane dzieci, chłopcy i tak pewnie myślą już tylko o tym, że po mszy pójdą się napić do karczmy. Biedniejsi buty wkładają dopiero w drzwiach kościoła. Czasem odwracam się i z ciekawością patrzę w tłum postaci tak różnych od

ludzi, których spotykam na co dzień, a wtedy mama rzuca mi karcące spojrzenie.

Pamiętam tamte dni, jakby to było wczoraj - Staś kłęczy rozmodlony, Franciszek się nudzi, choć nigdy nie przyzna tego głośno. Ja sama odczuwam nastrój tego miejsca, w niepamięć idzie niegrzeczne dziecko, które wspina się na drzewa i nie chce jeść szpinaku, a kiedy wraz ze wszystkimi śpiewam *Te Deum*, moja wypłukana z grzechu dusza ulatuje pod niebiosa, gotowa od razu zasiąść po prawicy Pana. Atmosfera kadzideł i łacińskich hymnów towarzyszy mi także potem, gdy idziemy na tradycyjny niedzielny spacer. Jestem wówczas nad podziw spokojna i miła - „prawdziwa mała dama”, jak mówi moja matka, co prawda bez szczególnego entuzjazmu, bo świadoma jest faktu, że poniedziałek z powrotem zmieni mnie w dzikusa.

I wszystko to było oszustwem - wiara moich rodziców w Boga, ich troska i miłość, nasze szczęście, gdy spacerowaliśmy po błękitnych od niezapominajek polach. Wszystko.

Nie pamiętam momentu, kiedy to odkryłam, prawda musiała docierać do mnie stopniowo, krok po kroku.

Zamykam oczy i przywołuję wspomnienia.

Im są dalsze, tym bardziej wyraziste; nie pamiętam już teraz, co robiłam przed tygodniem, ale doskonale potrafię przypomnieć sobie dzieciństwo. Jest jednak pewien wyjątek od tej reguły - to okres od czternastego do szesnastego roku życia. Od śmierci Jadwigi aż do chwili, gdy blada i wychudzona wróciłam do domu z mojego pierwszego sanatorium. Dwa najciemniejsze, najbardziej bolesne lata. Weszłam w nie jako radosne dziecko, a wyszłam jako niespokojna, zraniona kobieta, która wiedziała już, jak bardzo różni się od otaczających ją ludzi. I jak bardzo została oszukana.

Tego okresu nigdy nie pamiętałam dobrze. Jedyne, co mi pozostało, to strzępy wspomnień - igły wkłuwane w ciało, pełne powagi twarze lekarzy, troska matki i zawód w oczach ojca. I ciemność tak głęboka i cicha, jaka panować może na dnie oceanu. A kiedy wreszcie wynurzyłam się z niej i spojrzałam wstecz, nie poznałam samej siebie - dziewczynka,

która bawiła się w Czarnem, wspinała na drzewa i kochała rodziców, została za mną jak ktoś, kto stoi samotnie w porcie, podczas gdy odpływa ostatni statek.

Próbowałam żyć normalnie, choć przez cały czas wyczuwałam, że niemożliwość nie znikła, a tylko cofnęła się odrobinę. Bóg mi świadkiem, że przez lata próbowałam. Nie pamiętać, nie myśleć. Nie widzieć ani nie słyszeć niczego, co kłóciłoby się z obrazem świata, który znajdowałam w książkach. Czasem mi się udawało, czasem nie, a bywały i dni, które możliwość i niemożliwość równo dzieliły między sobą, każda tak samo realna.

Teraz pomyślałam, że skoro ta druga ostatecznie zwyciężyła, może pora stawić jej czoła.

W biurku znalazłam ryzę papieru listowego, pióro ze śladami zaschniętego atramentu i do połowy pełen kałamarz. Zamoczyłam stalówkę.

„Kim oni są?“, napisałam. Pierwszy krok zawsze jest najtrudniejszy, pierwsze litery na tle białej karty wydają się tak bardzo samotne. Jeszcze mogłam się cofnąć.

Pisałam dalej:

„Wyobraźmy sobie istoty, dla których wszystko to, co dla nas stanowi sedno życia, jest tylko prostą funkcją organizmu. Wyobraźmy sobie, że kochają i nienawidzą, tak jak my oddychamy, wierzą w Boga, jak my trawimy. Karcenie córki, która źle zachowuje się przy stole, jest dla nich tym samym, czym dla nas uderzenie serca pompującego krew w arterie. By żyć, muszą naśladować zachowanie innych istot - to dla nich konieczność, lecz jednocześnie domena nie umysłu, lecz ciała; co u nas związane jest z rozumem i duszą, u nich zachodzi całkowicie nieświadomie, na poziomie komórkowym. Ich duchowe, rozumne życie toczy się w fizycznych wymiarach całkowicie dla nas niedostępnych. To rodzi konflikty, bo ciało czasem sprzeciwia się rozumowi. My nie potrafimy sprawić, że nasze serca przestaną bić, a krew krążyć i tak samo oni nie potrafią się powstrzymać od robienia czy mówienia pewnych rzeczy, nawet jeśli szkodzi to całej wspólnoty. Dawno temu Franciszek i

Staś przyznali, stojąc nad ciałem martwej sarny, że widzą dwa serca. Nie należało tego robić, bo tym samym utwierdzili mnie w przekonaniu, że świat nie jest taki, jaki powinien być. A jednak nie mogli postąpić inaczej, konieczność zachowania się „jak ludzie” okazała się silniejsza niż rozsądek. Zaprzeczyli dopiero później i to także nie miało nic wspólnego ze świadomą decyzją - moi bracia po prostu zapomnieli, co widzieli w lesie, ich ciała muszą na bieżąco korygować niedoskonałości świata, jaki stworzyli na podobieństwo prawdziwej, ludzkiej rzeczywistości.

Bo ten świat nie jest doskonały, ale to nie ma znaczenia, tak jak nie ma znaczenia obecność w nim nielicznych ludzi. Jesteśmy małąkimi ziarenkami w maszynie, może nie do końca idealnej, ale wystarczająco sprawnej, by działać, a gdy piasek dostanie się pomiędzy koła zębate, mechanizm może trochę zgrzytać, lecz się nie zepsuje.

I co gorsza, my, ludzie, nigdy nie zdołamy się z nimi porozumieć. Jeśli próbujemy rozmawiać, trafiamy tylko na mur naturalnych odruchów organizmu, nie znamy ich języka; z równym powodzeniem żyjący w ciele zarzek mógłby próbować porozumieć się ze swoim nosicielem.

Potrzebowali nas, ludzi, razem z naszą kulturą, historią i psychiką. Potrzebowali formy, którą im daliśmy, a oni zbudowali na niej coś, czego nigdy nie zdołamy pojąć”.

Wyobrażam sobie, że tak to właśnie wygląda.

8.

Nadzieje i rozczarowania

wspomnienia

W połowie sierpnia ojciec powiedział nam, że na ostatni weekend przyjedzie do Czarnego Jadwiga Rathe. Czy istnieje pióro zdolne opisać radość dziecka, jakim wtedy byłam? Niecierpliwość, z jaką czekałam na ten dzień? Podzieliłam czas na maleńkie kawałeczki jak mięso na talerzu, zjadałam go kąsek po kąsku, godzina po godzinie niczym niesmaczny obiad, który trzeba w siebie wmu- sić, by dostać deser. W ten sposób dwa tygodnie mijały szybciej, choć jak dla mnie i tak o wiele za wolno. Żyłam wyłącznie myślami o Jadwidze, za dnia prowadziłam z nią wymaginowane rozmowy, w nocy wyobrażałam sobie, że leżę u jej boku. Świat fantazji był wówczas o wiele bardziej realny niż prawdziwy. Siadałam z rodziną przy stole i bawiłam się z braćmi, lecz jednocześnie istniałam obok tego wszystkiego, zanurzona w odmiennej rzeczywistości - bywały chwile, pamiętam to dobrze, gdy rozglądałam się wokół ze zdumieniem, bo sama sobie zdawałam się zjawą kroczącą pośród innych zjaw.

A przecież Jadwiga miała zobaczyć nie mnie-wy obrażoną, lecz prawdziwą i ja także oczekiwałam nie aktorki, jaką wyśniłam, lecz zwyczajnej kobiety.

Chwila konfrontacji zbliżała się nieuchronnie i na dzień przed przyjazdem Jadwigi wcale już nie chciałam, by czas przyspieszył, wręcz przeciwnie - pragnęłam, by zwolnił. Ostatniej nocy nie spałam w ogóle, leżałam tylko, wpatrując się płonącymi gorączką oczami w mrok. Nagle dopadł mnie paraliżujący wstyd, niedawne fantazje wydawały się

dziecinne, a co gorsza, wyobrażałam sobie, że Jadwiga, gdy tylko się spotkamy, bez trudu wyczyta z mojej twarzy wszystko, co roiło mi się w głowie. Lęk był tak silny, że w piątkowe popołudnie nie chciałam nawet wraz ze wszystkimi wyjechać powozem na stację - przekonał mnie dopiero grymas ojca zapowiadający nadciągającą awanturę.

Wysiadająca z pociągu Jadwiga rozczarowała mnie. Wyglądała na starszą, niż zapamiętałam, była też wyraźnie zmęczona po podróży i pozbawiona czaru, który ją otaczał na deskach teatru. Widzę ją, jak podąża peronem za bagażowym w fin de siecle'owej sukni, o której potem tak bardzo nie chcę pamiętać, spowita w pastelowe jedwabie, z parasolką w dłoni i talią ściśniętą ciasno gorsetem. Nosiła cały ten warszawski blichtr bez wdzięku, lecz z pogodą ducha, jak chrześcijanin, który pokornie przyjmuje włożony na jego barki krzyż. Spod kapelusza ozdobionego pawimi piórami wymykały się tu i ówdzie długie loki - widać kok upięty w stolicy nie wytrzymał trudów podróży; twarz miała bladą, o niezdrowym odcieniu.

Chyba już wtedy, mając czternaście lat, wiedziałam, że to, na co najbardziej czekamy, zazwyczaj okazuje się rozczarowaniem.

Jadwiga podeszła do mnie i ujęła pod brodę gestem, który wydał mi się nazbyt poufały.

- Wyrosłaś, od kiedy się ostatnim razem widziałyśmy - oznajmiła. Nie była ani pierwszą, ani ostatnią kobietą, która mi powiedziała coś podobnego, ale tylko jej uwierzyłam.

Gdy wracaliśmy do Czarnego, Jadwiga siedziała obok mnie. Pęd powietrza rozwiewał jej długie włosy, a ona śmiała się, przytrzymując kapelusz. Ożywiona, była znacznie ładniejsza niż wcześniej, a ja na powrót odnajdywałam wiarę w jej urok. Taką ją właśnie pamiętam: zachłystującą się chłodnym już, bo przedwieczornym powietrzem i wołającą do Macieja, by zwolnił, bo przecież wszystkich nas na tych wertepach pozabija. Taką chcę ją pamiętać.

Gdybym miała jakikolwiek wybór, pragnęłabym wrócić właśnie do tamtej chwili. Wrócić, nie wiedząc jednocześnie, że za czterdzieści osiem godzin Jadwiga będzie martwa, a ja rozpocznę zsuwanie się w głąb

długiego, ciemnego tunelu, z którego nigdy nie uda mi się wydostać.

To także jest jedna z cen, jakie płaci się za bycie dorosłym - nie da się wspominać dobrych chwil, nie pamiętając jednocześnie, co przyszło potem.

9.

Skarby na strychu, wspomnienia płatają figle

teraz

Gdy Tadeusz skończył malować portret, przeprosiłam go pod pretekstem, że chcę poczytać w pokoju. W rzeczywistości jednak nie wróciłam do siebie, lecz poszłam wyżej, na strych, gdzie nasza rodzina od lat gromadziła niepotrzebne rzeczy. Bałam się, przekręcając gałkę, która pod dłonią była tak bardzo znajoma - gdyby teraz ktoś mnie zapytał, co robię, trudno byłoby znaleźć wyjaśnienie.

Na strychu uderzyła mnie duchota nagrzanego słońcem kurzu. Okien nigdy tu nie otwierano, sprzęty i podłogi służąca przecierała tylko raz w roku, i to dość pobieżnie. Gdy szłam, szarozłote drobinki unosiły się wokół mnie jak dusze martwych aniołów, wpadające przez brudne szyby światło było zmętniałe, w kolorze żywicy zastygłej na korze drzew.

Kucnęłam przy stojącej na środku skrzyni i ostrożnie uniosłam wieko - skrzypnęło, a ja zamarłam, bo zdawało mi się, że dźwięk ten usłyszeć musiał cały dom.

Wewnątrz leżą rzeczy, które pamiętam z dzieciństwa: porzucone zabawki, kalosze, z których wyrosliśmy, hamak, w którym pewnego lata zrobiła się dziura tak wielka, że nie dało jej się już załatać, przeciwdeszczowe pałatki i szczątki gumowej piłki. A może się mylę, może wcale nie są to nasze rzeczy - może każda rodzina ma w kufrze na strychu skarby niemal identyczne. Zresztą nie z ich powodu tu przyszłam. Kopię głębiej, aż wreszcie na samym dnie znajduję stertę gazet.

Ojciec przywoził świeżą prasę za każdym razem, gdy przyjeżdżał na weekend, i nikomu nie chciało się potem wozić jej z powrotem do Warszawy. Część zużywaliśmy na podpałkę, częścią wykładaliśmy szuflady, a reszta wędrowała na strych na wieczne wygnanie. „Może jeszcze się przydadzą”, mawiała moja matka, która miała - i prawdopodobnie wciąż ma - naturę chomika.

Leżące najniżej gazety są pożółkłe ze starości, papier kruszy się w dłoniach. Wyjmuję je ostrożnie i kładę na podłodze obok kufra. Przewracam kolejne strony - druk w wielu miejscach jest tak wyblakły, że nie można go odczytać, nieliczne ziarniste fotografie zdają się przedstawiać nie tyle żywych ludzi, ile rozmazane zjawy. Na palcach zostają szare smugi, kurz unosi się wokół i przez głowę przemyka mi myśl, że kiedy już stąd wyjdę, będę musiała się porządnie umyć i przebrać.

O śmierci Jadwigi Rathe i toczącym się później śledztwie napisano sporo, liczę więc, że choć jeden numer się zachował.

Mam rację.

„Kurier Warszawski” z września, cyfr oznaczających rok nie potrafię rozpoznać. Na trzeciej stronie przypomnienie najważniejszych faktów: Jadwiga Rathe była młodą i piękną aktorką, którą czekała wspaniała kariera (gazety zawsze miały skłonność do przesady). W ostatnią niedzielę sierpnia znaleziono ją w lesie nad rzeką Czernianką. Strzał w tył głowy, przykład „wyjątkowego okrucieństwa” - i zaraz potem uspokajające „nie cierpiała, nie wiedziała nawet, że umiera”, jakby to miało komukolwiek pomóc.

Jak mogłam zapomnieć, że Jadwiga zginęła od strzału w głowę?

Pod jej zdjęciem dwie daty - nie chcę na nie patrzeć, ale w końcu patrzę. Jadwiga Rathe: 1858-1893. W ustach czuję słony smak niemożliwości, kontury świata wokół mnie rozmywają się jak wtedy, gdy trzymałam w ręku pióro wek, jak wiele razy wcześniej. Czym prędzej więc przenoszę wzrok na fotografię, która równie dobrze może przedstawiać kobietę żywą, jak i martwą - nie widać na niej nic, poza czarnym tłem i bladą palną twarzą pozbawioną rysów. Czy Jadwiga po

takiej śmierci w ogóle miała jeszcze twarz? Nie znam się na ranach postrzałowych. W moich wspomnieniach jest nieskalana, jakby zasnęła, a nie została brutalnie zamordowana. Lecz ja nie ufam już własnej pamięci.

Nigdzie nie znaleziono broni, policja podejrzewa krążących po lesie kłusowników.

Mieliśmy wtedy jechać do kościoła, przypominam sobie. Ostatnia niedziela, ostatnia msza. Czekamy na spóźniającą się Jadwigę, ojciec w coraz szybszym rytmie uderza rękawiczką o udo - już jako maleńkie dzieci nauczyliśmy się rozpoznawać złość wzbierającą w nim pod maską spokoju. Matka stara się znaleźć wiarygodne wyjaśnienie: może straciła poczucie czasu, może zasnęła nad książką gdzieś w ogrodzie, lecz jej blada, ściągnięta brakiem snu twarz sprawia, że nikt w to nie wierzy, a w powietrzu tężeje niepokój. Pamiętam dziwne, zawstyżone jakby spojrzenie Franciszka, który garbi się w milczeniu, i nic nierozumiejące oczy Stasia. Pada pytanie, kto ostatni widział Jadwigę, jednak nikt nie potrafi odpowiedzieć. Ja widziałam, przez ostatnie dwa dni chodziłam za nią jak wierny pies, ale prędzej odgryzę sobie język, niż się do tego przyznam. Zresztą ja także nie wiem, gdzie jest Jadwiga.

Wreszcie ktoś (kto?) rzuca pomysł, że Jadwiga za- marudziła może nad rzeką. W Czarnem, gdzie brzeg jest miejscem dziecięcych zabaw i najczęstszym celem spacerów dorosłych, musieliśmy prędzej czy później na to wpaść.

Ile z tego zdarzyło się naprawdę, a ile tylko wyobraziłam sobie, uzupełniając wyblakłe po latach wspomnienia?

W następnej scenie, jaką potrafię przywołać z pamięci, stoję już nad Czernianką i patrzę, jak martwa Jadwiga unosi się na wodzie. Jest południe, dźwięk dzwonów wzywających na sumę niesie się daleko ponad lasem. O tej porze powinniśmy być w kościele. Wątpię niemal we wszystko, co przypominam sobie z tamtego dnia, ale tego jednego jestem pewna - Jadwiga była martwa przed dwunastą.

A jednocześnie pamiętam przecież, że widziałam się z nią jeszcze później. W tym przypadku czas również nie budzi wątpliwości. Z

Czarnego wyjeżdżaliśmy zawsze o tej samej porze: po podwieczorku, tak by zdążyć na dworzec przed piątą trzydzieści. Nawet gdy ojciec miał już samochód, były w nim tylko dwa miejsca, wracaliśmy więc wszyscy popołudniowym - i jedynym - pociągiem, a czerwono-żółtego opla odprowadzał do Warszawy Maciej. Kufry i walizy spakowane, na meblach zaciągnięte pokrowce. Dom wygląda, jakby szykował się do zimowego snu, jest teraz cichy i trochę jakby obcy, a my czujemy się w nim intruzami. Posiłek przed wyjazdem przypomina pospieszną stypę: gorąca herbata parzy w usta, matka niecierpliwym ruchem strzepuje z naszych ubrań okruchy ciasta i wyciera ubrudzone konfiturami dłonie. Pożegnanie lata. Nasi rodzice myślami już są w Warszawie, my zresztą też - ciężar ostatnich chwil przygniata nam serca, chcemy już być w pociągu, daleko od melancholii mijających wakacji, w miejscu, gdzie nic nie przypomina nam o tym, co właśnie tracimy.

Jadwiga nie jadła z nami - tego jestem pewna, bo kiedy skończyliśmy i służąca zabrała naczynia, matka ponagliła mnie, bym poszła po naszego gościa i przypomniała mu o godzinie odjazdu.

Znalazłam ją w ogrodowej altance, nogi miała owinięte pledem, na kolanach trzymała książkę - jak wtedy, gdy zobaczyłam ją po raz pierwszy. Prawie, bo z jakiegoś powodu wydawała mi się znacznie młodsza, niemal tak, jakbyśmy zamieniły się wiekiem, bo mnie z kolei dwa ostatnie dni ciążyły niczym dodatkowe lata. Usiadłam obok. Żadna z nas się nie odzywała. Jadwiga patrzyła na mnie z uśmiechem, którego nie potrafiłam odczytać.

Co powiedziałam tamtego popołudnia rodzinie? Że nasz gość zdecydował się iść pieszo, zamiast jechać powozem? Że już wcześniej ktoś z sąsiadów zabrał Jadwigę na dworzec? Droga przez las była daleka, piechotą - i to z walizką w ręku - musiałyby iść prawie godzinę, a bliskich sąsiadów nie mieliśmy, jednak ani ojciec, ani matka nie zakwestionowali moich słów, nie próbowali Jadwigi szukać, nie pytali o nic. Może dlatego, że mieli jej dość: sama przecież, choć zaślepiona miłością, wyczuwałam narastające wokół kobiety napięcie. A może z jakichś innych, tajonych przed dziećmi powodów. Nie wiem.

Gdy wsiadaliśmy do powozu, obejrzałam się, by raz jeszcze spojrzeć na altankę. Była pusta. Nie mogę tego wiedzieć, a jednak wiem z absolutną, całkowitą pewnością, która przeczy doświadczeniom całego mojego życia - kiedy wyjeżdżaliśmy z Czarnego, Jadwigi nigdzie nie było: ani w ogrodzie, ani w domu, w lesie czy nad rzeką. Tamtego popołudnia nasz gość rozpląnął się w późnolet- nim słońcu, jakby nigdy nie istniał.

10. Rozmowy przy stole, ponownie Walt Whitman

teraz

Obiad jemy w nastroju serdeczności tak fałszywej, że nikogo nie mogłaby zwieść - tylko Staś, nieświadom unoszącego się nad stołem napięcia, z niezmaconą pogodą ducha zajada pieczeń z chrzanem i śmietaną. Żałuję w tej chwili, że nie jestem prawdziwą Jadwigą Rathe. Ona miała urok, który pozwalał jej przekonać do siebie najbardziej niechętne osoby, z Franciszkiem grała w tenisa, a mojej matce opowiadała plotki ze stolicy i doradzała w sprawie doboru strojów. Ja tak nie potrafię - jedyne, na co mnie stać, to trzymanie się bezpiecznych, konwencjonalnych odpowiedzi. Tym razem dyskutujemy problem kobiecej emancypacji. Tadeusz gorąco ją popiera, Janina przytakuje, ale wyraźnie nie słucha - jest teraz gdzieś indziej, być może w lepszym miejscu, gdzieś nad rzeką, gdzie muzy kończą zabite strzałami w tył głowy.

Młodsza ja posyłam starszej porozumiewawcze spojrzenie ponad wazą z resztkami zupy. Oni tak zawsze, zdają się mówić oczy dziewczynki, proszę się nie przejmować.

Nie przejmuję się, staram się odpowiedzieć w ten sam sposób, ale mój uśmiech skierowany do córki Janina bierze za zachętę pod adresem męża i zaciska ponuro usta. Komedia omyłek zaczyna mnie bawić, jest we mnie tego popołudnia dziecięca lekkość, która pozwala po obiedzie śmiało spytać o pozwolenie zajrzenia do domowej biblioteki. Janina godzi się, na powrót uprzejma, jak przystało na prawdziwą panią domu,

Tadeusz upiera się, że pójdzie wraz ze mną i pomoże mi wybrać książkę. Nie mogę nic na to poradzić.

– Mamy sporo dobrych powieści – mówił z entuzjazmem, jakby naprawdę wierzył, że Balzac pomoże mu mnie zdobyć. – Woli pani lekki romans czy może coś poważniejszego?

– Nie przepadam za prozą, wolę poezję – odparłam zgodnie z prawdą.

– Wiersze również mamy... Zaraz, momencik. – Czarniańska biblioteka nie była wielka, ot, kilkanaście półek zapełnionych książkami przywożonymi na wakacje, które potem zapominaliśmy zabrać, jednak Tadeusz wyraźnie się przy nich gubił. Nic się nie zmieniło, pomyślałam, bo gdy ja byłam dzieckiem, ojciec także znacznie chętniej sięgał po gazetę niż po literaturę piękną.

Gdy podał mi tomik wierszy Walta Whitmana, nawet nie byłam zdziwiona. Jakbym tego właśnie oczekiwała, jakby wszystkie zdarzenia dzisiejszego dnia prowadziły mnie do tej chwili.

Przesunęłam opuszkami palców po znajomej płóciennej okładce i wytartych literach tytułu, gdzie pozostał słaby połysk złota. Książka w mojej dłoni wydawała się ciepła, niemal jakbym trzymała żywą istotę.

– Pana? – zapytałam, ciekawa, jaką Tadeusz znajdzie odpowiedź.

– Nie, ktoś ją tu chyba musiał zostawić. Może ją pani sobie wziąć, nie sądzę, żeby znalazł się właściciel.

Już się znalazł, pomyślałam, po czym umknęłam, zanim zdesperowany Tadeusz zaproponował wspólne czytanie wierszy.

Leżąc na kocu, otworzyłam książkę. Na pierwszej stronie widniał podpis: Jadwiga Rathe - drobne uczniowskie litery, tak różne od tych, które pamiętałam z pokazanego mi przez Małgorzatę listu. Gdy przekartkowałam tomik, spomiędzy stronic wypadł kawałek liliowego papieru. Tym samym uczniowskim pismem Jadwiga prosiła, by rodzina Reców nie czekała na nią, gdyż zamierza dotrzeć do Warszawy na własną rękę. Wpatrywałam się w liścik, który wydawał mi się znajomy. Widziałam go już wcześniej, może nawet sama napisałam? Bo przecież moje podobieństwo do Jadwigi nie kończyło się na rysach twarzy - pismo też miałyśmy identyczne.

11.

Spotkanie ze mną, Franciszek - ostrzeżenie

teraz

Czekałam na siebie ponad godzinę i zaczynałam już tracić nadzieję, kiedy wreszcie przyszłam. Nosiłam tę samą sukienkę co rano, w rękę trzymałam krem Ultrasol.

Dziewczynka rozłożyła koc obok mojego.

– Franciszek i Staś poszli nad rzekę, ale ja wolę się poopalać – wyjaśniła, po czym uśmiechnęła się przepraszająco. – Chyba wyrosłam z budowania tam.

– Chyba tak – potwierdziłam. Smukłe nogi tuż pod moim nosem wytrącały mnie z równowagi.

Zdjęła sukienkę, pod którą miała kostium kąpielowy. Jak na obecną modę był nieco staroświecki, ale dwadzieścia lat temu moja matka i tak nigdy nie pozwoliłaby mi czegoś podobnego włożyć.

– Nie ma pani nic przeciwko temu, że się tutaj położę, prawda?

Na chwilę krótką jak uderzenie ptasiego serca opanowała mnie pokusa, by dać jej do zrozumienia, że wolę zostać sama. Wtedy jeszcze mogłam się wycofać, być dla tej dziewczynki jedynie obcą kobietą z Warszawy, która na weekend przyjechała do Czarnego. Wyjechałabym nazajutrz i zostawiła ją w spokoju, a ona przeżyłaby swoje życie tak, jak powinna, szczęśliwa i nieświadoma. Może.

– Nie, nie mam – odpowiedziałam.

– Posmaruje mi pani plecy?

Przekręciła się na brzuch, wystawiając w moją stronę wzruszająco

szczupłe plecy ze sterczącymi łopatkami. To jest moje ciało, pomyślałam z czymś, co w innych okolicznościach - kościół, śpiewające chóry - można by uznać za religijne uniesienie.

Biorę na dłoń odrobinę kremu i zaczynam go wcierać. Ciepło rozgrzanej skóry wędruje wzdłuż mojego ramienia i dociera aż do serca. Nieskończona słodycz i gładkość, jakbym zanurzyła ręce w słoju z płynnym miodem. Pod palcami wyczuwam drobne kości, na karku zebrała się warstewka potu, którą pragnę zlizać. Nie robię tego, oczywiście, że nie. Mam wrażenie, że jeśli tylko na to pozwolę, rozpadnę się cała jak zestrzelony sierpniowym słońcem ptak, który wleciał zbyt wysoko, a potem spłynę w deszczu krwi i strzępach tkanki na leżącą przede mną dziewczynkę, by wnikać w jej młode ciało.

Na razie jednak tylko łyżę kapią na lśniące od kremu plecy. Płacę nad sobą i nad nią jednocześnie - tak naprawdę to już niemal jedno i to samo. Zostały nam dwadzieścia cztery godziny. Wciąż mogłabym oderwać dłonie od jej opalonej skóry i poklepać po wystających łopatkach tak, jak klepie się łubiane dziecko. Potem powiedziałabym coś niezobowiązującego, co na resztę weekendu określiłoby właściwie nasze stosunki: ja, dorosła kobieta, przygodny gość w domu i ona, młodociana córka moich gospodarzy. Mogłabym, jeśli jednak istniała chwila, w której potrafiłabym się wycofać, to dawno już minęła.

Dziewczynka odwraca się i siada.

- Płacze pani - mówi, marszcząc brwi. - Coś się stało?

- To tylko słońce - odpowiadam, co jej zupełnie nie przekonuje. Nic dziwnego, mnie też by nie przekonało. Z poważną miną wygląda na starszą - nie śmiałabym teraz użyć wobec niej określenia „dziecko”.

- Nie podoba się pani tutaj, wiem - mówi. - Nie jesteśmy zbyt miłą rodziną. Mój ojciec chce tylko... - urywa i wzrusza ramionami - sama pani wie, a mama udaje uprzejmą, ale najchętniej utopiłaby panią w łyżce wody. Ona nienawidzi wszystkich kobiet, które tato tu przywozi. - Potrząsa głową z wyrazem zniechęcenia tak dorosłym, że niemal chce mi się śmiać. Nie przypominam sobie, żebym w dzieciństwie była tak cyniczna - a może? Nie, chyba jednak nie. Czasy się zmieniają, myślę z

ukłuciem nagłego żalu.

– Ale nimi proszę się nie przejmować – ciągnie wciąż z miną rodzica zdradzającego tępowemu dziecku tajemnice życia. – Najgorszy jest Franciszek. Na niego musi Pani uważać.

– Żaby w pościeli? – pytam, wspominając wyczyny brata sprzed dwudziestu lat. – Środki przeczyszczające dosypane do herbaty?

Znów potrząsa głową, widać bezmiar mojej naiwności nie przestaje zadziwiać jej czternastoletniego umysłu.

– Coś gorszego – odpowiada, lecz ja nie zamierzam jej wierzyć.

12.

Jadwiga i Jadwiga, strzelba

wspomnienia

Zamykam oczy i przypominam sobie Jadwigę wracającą z kortu tenisowego. Rakiętę niesie na ramieniu, słomiany kapelusik zsunął się z długich, wysoko upiętych włosów i przekrzywiony dodaje kobiecie zawadiackiego wdzięku. Tiurniury właśnie wyszły z mody, więc jej sylwetka jest lekka, choć ściśnięty gorsetem, niewygodny strój „sportowy” i tak z dzisiejszego punktu widzenia sprawia wrażenie potwornie staroświeckiego. Tadeusz kroczy tuż obok - potrafię odczytać zachwyty z jego twarzy tak łatwo, jakbym czytała z książki, cały jest pod jej czarem, myśli tylko o niej. Nie pierwszy raz zdarza się mojemu ojcu takie zauroczenie, choć tym razem - być może - to coś głębszego, Jadwiga nie jest przecież pierwszą z brzegu sprowadzoną do Czarnego muza, lecz znaną aktorką. Moja matka także została podbita, podobnie jak Franciszek i Staś, wszyscy podążają za nią jak stado ogłupiałych owiec, wierni wielbicielę chłonący jej słowa. Tylko ja wlokę się na końcu krótkiego pochodu. Czuję się wykluczona, a właściwie wykluczyłam się na własne życzenie - choć Jadwiga od czasu do czasu z uśmiechem kiwa na mnie, bym podeszła bliżej, kręcąc głową. Chcę mieć ją dla siebie, a nie dzielić z innymi.

Jest w tym pewien paradoks - kiedy wszyscy uwielbiali Jadwigę, niemal gotowa byłam ją znienawidzić, a gdy otoczona była niechęcią, ja ją kochałam. Bo przecież równie dobrze pamiętam inną Jadwigę - tę pozbawioną aktorskiego wdzięku, która tamtego upalnego lata, gdy wszyscy wokół dyskutowali tylko o wydarzeniach w Sarajewie, próbowała sprowadzić rozmowę na inne tory. Pamiętam zaciśnięte usta

mojej matki, tłumioną złość ojca i pogardę w oczach Franciszka. Oczywiście polityka to tylko pretekst, każdy z nas nie lubi jej z innego powodu - każdy z wyjątkiem mnie, ja z zachwytem obserwuję, jak Jadwiga w ogrodzie zdejmuje wielki kapelusz, którego rondo ozdobiły fantazyjna kokarda i kwiaty, po czym palcami przeczesuje krótką czuprynę, jej osobliwe, swawolne zakłopotanie - jakby nawet teraz gotowa była wybuchnąć śmiechem, jakby sądziła, że cała ta nienawiść to tylko niewielki, przejściowy problem. Jakże bliska wtedy mi się wydawała, jak bardzo pragnęłam objąć ją i pocieszyć.

Co jeszcze pamiętam?

Marszcząc czoło, sięgam wstecz. Mam wrażenie, że umyka mi coś ważnego. Być może za bardzo skupiam się na Jadwidze, a przecież nie wszystkie moje młodzieńcze wspomnienia się z nią wiążą.

Było coś tamtego lata... jakieś na wpół uświadomione i zaraz zapomniane uczucie zagrożenia, przelotne zdumienie, że zwyczajność naszego życia została zburzona.

Wspomnienie wydaje się tak bliskie, a jednak się wyslizguje, jakbym próbowała utrzymać w mokrych dłoniach kostkę mydła. I gdy już niemal chcę się poddać, widzę całą scenę.

Wchodzę do pokoju chłopców, Franciszek odwraca się do mnie ze złością. To nic dziwnego, ostatnio stał się drażliwy na punkcie prywatności. Nie zamierzam się przejmować jego złym humorem, znacznie bardziej interesuje mnie przedmiot, który brat mój pospiesznie wsunął pod łóżko.

- Co to? - pytam.

- Nie twoja sprawa - warczy, ja usiłuję tam zajrzeć, jednak Franciszek wypycha mnie z pokoju.

Konar?, zastanawiam się, bo przelotnie ujrzany przedmiot skojarzył mi się z odartą z liści gałęzią, jakie czasem przynosiłiśmy z lasu. Sądzę jednak, że nawet wtedy się domyślałam, co to naprawdę jest. Domyślałam się, lecz teraz, bogatsza o doświadczenie wielu lat, mam prawie pewność.

Franciszek chował przede mną strzelbę.

13.

Ludzie, którzy manipulują czasem

teraz

W ogrodzie stos drewna przygotowany na wieczór, pod starannie porąbanymi młodymi świerkami leżą już nawet zwinięte w kulki gazety. Z ciekawości - wspominając niedawną wyprawę na strych - sięgam po jedną z nich. „Ilustrowany Kurier Codzienny” jest stary, sprzed kilku miesięcy, na pierwszej stronie druk i zdjęcia przesłania zaschnięta plama po kawie. Udaje mi się odczytać tylko nagłówek: „Marszałek Piłsudski spoczął na Wawelu”. Pamiętam, że czytałam ten numer w sanatorium doktora... jak on się nazywał?

Doktor Krępiński, nazwisko wypływa usłużnie z głębin pamięci. Był maj, nad morze nie dotarła jeszcze fala upałów. Siedziałam na wiklinowym krześle, ciesząc się ciepłem, piłam lemoniadę i leniwie przewracałam strony.

Wyobraziłam sobie wtedy, że trumna rzekomo zawierająca ciało tak naprawdę jest pusta. Nie wiem, skąd mi to przyszło do głowy, ale w tej samej chwili zyskałam pewność, że mam rację. Nigdy nie istniał Józef Piłsudski, tak jak nie istniała żadna inna ważna postać sceny politycznej. Nie ma wśród nas wybitnych naukowców ani artystów. Nie może być, nasz świat nie zmienia się bowiem dzięki ludziom. Do nas przyszłość przychodzi z zewnątrz.

Nie tylko Franciszek i Staś potrafią manipulować czasem, takich osób jest znacznie więcej. Sama przecież widziałam niejednokrotnie, jak zmieniają się ulice. Oczywiście ci, którzy przesuwają wskazówki zegarów

do przodu, muszą być w przewodzie, inaczej ciągle stalibyśmy w miejscu.

Zamykam oczy, zastanawiając się, skąd przychodzą te wszystkie zmiany. Skąd Franciszek, jadący bentleyem przez uliczki zapyziałego miasteczka S., wiedział, jakie nowe plakaty zawisnąć mają w gablotach kina? Jaki styl architektoniczny modny będzie w przyszłości?

Potrząsam głową. Z pewnością brat mój wprowadza zmiany nieświadomie. Nie jest twórcą, a jedynie... przekaźnikiem? Być może to właśnie jest odpowiednie słowo. Mieszkamy wszyscy w fałszywej Polsce, połączonej niewidzialną pępowiną z Polską prawdziwą; co wydarzyło się tam, musi się powtórzyć u nas. Nie wiem, jak długo będzie to trwać. Kiedyś, za kilka lat, a może już wkrótce, nagłówki krzyczeć będą o nadciągającej niemieckiej inwazji, w gazetach znajdą się wezwania do wspólnej budowy schronów i porady, jak zabezpieczyć okna, by szyby nie wypadały w czasie nalotów. W naszym święcie, rzecz jasna, nie istnieją ani Niemcy, ani Hitler, co jednak się z nami stanie, gdy obce wojska wkroczą do prawdziwej Polski?

Może po prostu znikniemy, myślę. Z końcem wakacji rozplśniemy się w sierpniowym słońcu, jak niegdyś Jadwiga. Jakby nigdy nas nie było.

14.

Deszcz i tęcza.

Kiedy stałam się doskonałą

teraz

Popołudniową herbatę piliśmy w ogrodzie przy stoliku ustawionym pod gołym niebem. Franciszek przyszedł spóźniony, igliwie osypywało mu się z włosów, buty miał ubłocone. Janina zmarszczyła brwi i odesłała go, by doprowadził się do porządku, a ja pochyliłam się konspiracyjnie do mojego ucha.

– Znowu chodził do lasu – powiedziałam.

Poczułam ukłucie niepokoju, filiżanki parowały, strudel z jabłkami nie smakował mi zupełnie. Miałam wrażenie, że wszyscy jesteśmy już zmęczeni: tym weekendem, latem, sobą nawzajem i udawaniem. Nawet Staś, którego zazwyczaj rozpierała energia, był marudny i bezustannie domagał się uwagi jak małe dziecko. Przewrócił w pewnym momencie swój kubek, na obrusie rosła plama, a ja zerwałam się gwałtownie, bo herbata zaczęła ściekać mi na kolana. Chłopiec zachichotał, Tadeusz otworzył usta, by go skarcić - i w tej chwili jak na zawołanie z błękitnego nieba lunął deszcz. Byliśmy tak zaskoczeni, że nie mieliśmy pojęcia, co robić: staliśmy bezradni, podczas gdy złoczone słońcem strugi przeinaczały nas na wylot. Wreszcie usłyszałam swój własny śmiech, jasny jak dźwięk kryształowych dzwonek. Dziewczynka odchyliła się do tyłu, pozwalając, by niespodziewana ulewa obmyła jej twarz. Janina pogoniła nas do domu, niezręczność Stasia została zapomniana. Biegliśmy z pochylonymi głowami, osłaniając i tak już mokre włosy dłońmi, o które uderzały ciężkie krople. W naszych głosach, gdy

krzyczeliśmy, wpadając na siebie nawzajem, brzmiała czysta, niczym niezmacona radość. W tamtej chwili wszyscy byliśmy dziećmi: Staś, ja ciągnąca samą siebie za rękę, Janina i nawet odmłodziły nagle Tadeusz.

Odwrociłam się - w ogrodzie miękło ciasto, z przepętnionych filiżanek i spodków wylewała się zabarwiona herbatą woda, ulewa siekła wiedeńską cukiernicę i bębniąc w srebrne łyżeczki, wybijała na stole debussy'owski rytm, a nad tym wszystkim, rozpięta w warkoczach deszczu, pyszniła się bogactwem siedmiu barw tęcza jak z bajki.

Wciąż mam ten obraz pod powiekami, gdy kilka minut później dziewczynka wsuwa się do mojej sypialni. Sukienkę już zmieniła na suchą, ale uda i ramiona jeszcze ma wilgotne. Włosy wyciera ręcznikiem.

- Mogę? - pyta.

Kiwam głową. Ulewa powoli słabnie, ale na zewnątrz robi się ciemno, jakby chmury dopiero teraz doganiały wodny żywioł. Nie zapalam światła. W półmroku dziecięca skóra wydaje się jaśniejsza, lśniąca niemal jak rozpalona woskowa świeca. Nie widzę już sińców ani zadrapań, tylko alabastrową gładkość. Stałam się doskonała, w tym pokoju, po deszczu, na jedną ulotną chwilę kończącego się dzieciństwa.

- Twój brat często chodzi do lasu? - pytam, wyjmując ze swoich rąk wilgotny ręcznik.

- Chyba tak. To ważne? - Dziewczynka siada na łóżku.

- Myślę, że ważne. Jeśli Franciszek przyniesie coś z lasu, powiesz mi o tym, dobrze?

- Co takiego miałyby przynieść?

- Na przykład strzelbę.

Nie pyta, po co jej bratu mogłaby być potrzebna strzelba, zamiast tego patrzy na mnie uważnie moimi oczami.

- Wieczorem, jeśli tylko nie będzie padać, rozpalimy ognisko. To nasza tradycja na koniec wakacji.

- Wiem. - Reflektuję się i dodaję - widziałam w ogrodzie przygotowane drewno.

- Przyjdzie pani?

– Postaram się. Muszę iść... w pewne miejsce, ale myślę, że wrócę przed zmrokiem.

Potrząsa głową: smutna dziewczynka, doskonała przez tak krótki czas.

– Nie chcę, żeby pani wyjechała.

Na to nie znałam odpowiedzi. Otuliłam jej ramiona własnym swetrem i położyłam dłoń na krągłym dziewczęcym kolanie. Tak jak się spodziewałam, skórę wciąż miała chłodną, ale wewnątrz wyczuwałam pulsujące ciepło.

– Będzie dobrze, zobaczysz – powiedziałam, z czułością dotykając gładkiego uda, a potem, zanim sytuacja całkiem wymknęłaby się spod kontroli, odsunęłam się i zapytałam:

– Czy mogłabyś znaleźć dla mnie latarkę?

15.

W głąb lasu, déjá vu

teraz

Las przesiąknięty był niedawnym deszczem, ciężkie od wilgoci gałęzie świerków zwisały nad moją głową, za kołnierz spłynęła zimna struga. Wzdrygnęłam się i założyłam kaptur obszernej peleryny, którą znalazłam wiszącą przy drzwiach wyjściowych. Należała prawdopodobnie do Macieja - tylko on w domu miał taką tuszę i wzrost. Żywiłam nadzieję, że nasz stary sługa do wieczora nie zauważy braku. Zamierzałam wrócić przed zachodem słońca - latarka co prawda obciążała mi kieszeń, lecz wzięłam ją jedynie na wszelki wypadek.

Do zmroku pozostały jakieś cztery godziny. Powinnam zdążyć, nawet biorąc pod uwagę poprawkę na błędzenie po lesie. Dokądkolwiek chodził Franciszek, nie mogło to być daleko, o świcie uwinął się przecież w góra godzinę.

Znalazłam miejsce, gdzie rankiem widziałam człowieka ze strzelbą. Prowadziła tu wąska ścieżka. Choć ścieżka to za dużo powiedziane - po prostu widać było, że ktoś tędy kilkakrotnie przechodził, łamiąc gałązki dzikich malin i deptając leśne runo. Podążałam jego tropem jak dawniej, jak w czasach, gdy bawiłam się z braćmi w Indian. Wracały wspomnienia, a ja, uskrzydłona nimi, szłam lekko, jakby ubyło mi dwadzieścia lat. Byłam kiedyś małą dzikuską, dzieckiem, które lepiej czuło się wśród drzew niż wśród ludzi, i nadal potrafię chodzić po lesie. Nie gubię się, nie przeszkadzają mi paprocie chłuszczące nagie łydki ani nie podskakuję, słysząc za plecami szelest w kępie łopianu. Tylko buty mogłabym mieć inne, bo eleganckie letnie pantofelki z pewnością nie

nadają się na rozmiękłą po deszczu, pełną wykrotów i wystających korzeni ziemię.

Otarłam pot z czoła i odrzuciłam kaptur - w obszernej pelerynie czułam się jak w cieplarni, szybki marsz rozgrzewał krew. Las szeptał do mnie dźwiękiem ciurkającej wody i szelestem liści, w oddali słyszałam szum rzeki. Trop, którym podążałam, niknął od czasu do czasu w gęstwinie, ale zawsze udawało mi się odnaleźć kolejny ślad. Połamane gałązki, rozdeptany grzyb, częściowo zatarty ślad męskiego buta, odcisnięty w błocie przy brzegu strumienia. Przeżyłam w pewnym momencie *deja vu* - kilkanaście godzin wcześniej również wędrowałam pomiędzy drzewami, szukając śladów, wtedy las też był mokry, a światło szare. Tyle że teraz zapuściłam się znacznie dalej niż przed śniadaniem. Spojrzałam w niebo wciąż zasnuwane chmurami. Miałam nadzieję, że dlatego jest tak ciemno. Która mogła być godzina?

Uświadomiłam sobie, że znów straciłam rachubę czasu. Nadal jednak nie martwiłam się, że zabłądzę. Znajomy szum rzeki za plecami i ciężar latarki w kieszeni dawały mi poczucie bezpieczeństwa.

Chodziło raczej o to, że miejsce, do którego zmierzałam, mogło znajdować się znacznie dalej niż w odległości pół godziny od domu. Być może, pomyślałam, Franciszek umówił się z tajemniczym człowiekiem blisko Czarnego, może wcale nie szedł do jego obozowiska - bo instynkt podpowiadał mi, że spotkany rano mężczyzna, brudny i w łachmanach, mieszka właśnie w lesie.

Rozważałam przez chwilę, po co Franciszek miałby się z nieznanym widywać. Możliwości nie było wiele: tamten mógł chcieć od panicza z bogatego domu jedzenia albo takich luksusów jak wódka czy papierosy, brat mój natomiast pożył... czego właściwie?

Strzelby, oczywiście, pomyślałam z przebłyskiem wisielczego humoru.

Usiadłam na pniu zwalonego drzewa, wyjęłam papierosnicę i zapaliłam. Problem drugi polegał na tym, że wcale nie miałam pewności, że podążam właściwym śladem - równie dobrze mogłam od dłuższego czasu tropić kogoś, kto wybrał się na grzyby albo na polowanie. Problem trzeci dotyczył natomiast tego, że nie miałam

pojęcia, co powiem tajemniczemu mężczyźnie, kiedy już go znajdę.

Rzucam papierosa na ziemię i rozdeptuję na wszelki wypadek, choć po deszczu nie ma szans, by drzewa zajęły się ogniem. Zrywa się wiatr - słyszę, jak przedziera się przez korony świerków, strącając resztki wilgoci, szelest kropli w poszyciu jak gwar skrzacich rozmów otaczający mnie na ulotną chwilę. Zamykam oczy, a kiedy je otwieram, nieznajomy stoi kilkanaście kroków ode mnie. Nie słyszałam, jak podchodził. Wygląda, jakby wychynał z któregoś z drzew niczym osobliwa, brudna i skołtuniona hamadriada. Jest odpychający, a jednocześnie na swój sposób malowniczy. Uśmiecham się niepewnie.

Patrzemy na siebie ponad morzem zielonych paproci niczym oceniający się przed bitwą przeciwnicy, a ja pojmuję, że niepotrzebnie się martwiłam. Nie ma znaczenia, jak zacznę rozmowę, bo mężczyzna wiedział, że przyjdę. Czekał na mnie.

16. Rondo, Jadwiga przed lustrem

wspomnienia

Pewne wydarzenia powtarzają się w moim życiu jak muzyczne rondo. Chwile, gdy stoję na dworcu z walizką w dłoni, wyjazdy do sanatoriów i powroty. Wakacje w Czarnem, a także - najwyraźniej - wycieczki do ociekającego deszczem lasu w poszukiwaniu tajemniczych, brudnych i obszarpanych mężczyzn. I Jadwiga.

Jadwiga oczywiście też.

Wtedy również padało, przypominam sobie.

Weszłam, gdy chesała się przed lustrem, wciąż w nocnej koszuli, choć niedzielne śniadanie czekało na stole.

Chciałam przeprosić i się wycofać, lecz ona skinęła na mnie.

– Pomożesz? – zapytała, wręczając mi szczotkę.

Podeszłam niepewnie. Pamiętam: zauroczyła mnie długość i ciężar jej ciemnych loków, które prześlizgiwały się pomiędzy moimi palcami jak chłodne, zwinne żmijki. Włosy Jadwigi miały barwę mahoni, który w słońcu połyskiwał złotawo, teraz jednak, w szary, dżdżysty poranek, wydawały się niemal pozbawione koloru. Mimo to uważałam, że jest piękna. Pachniała jaśminem, rozpięta haftka nocnej koszuli ukazywała skórę poznaczoną ciepłymi plamkami piegów. Piersi napinały cienki materiał, gdy Jadwiga odwracała się w moją stronę. Rysy wciąż miała obrzmiałe po nocy, policzek znaczyło wgniecenie od poduszki. Chwytałam czasem w lustrze jej uśmiech, senny i roztargniony, jak wtedy, gdy zobaczyłam ją po raz pierwszy na deskach sceny. Obnażała

się przede mną w takich chwilach bardziej, niż gdyby zdjęła ubranie. Jakbym na kilka ulotnych sekund mogła zajrzeć w jej wnętrze, jakby niedbale pozwalając, bym zobaczyła jej prawdziwą twarz.

Jadwiga przerywa ten intymny kontakt, wstając i wyjmując szczotkę z moich rąk.

– Teraz poszukajmy czegoś do ubrania. – Niespiesznie zaczyna przeglądać suknie, które w artystycznym nieładzie zwisają z krzeseł i przykrywają łóżko. Ja, wciąż jeszcze oszołomiona, gapię się na bogactwo koronek i organdyn, na te wszystkie strasowe i koralikowe hafty, na jedwabie w odcieniach bladych kwiatów i strusie pióra.

– Chciałabyś którąś przymierzyć? – pyta, widząc mój wzrok.

– Spóźnimy się na śniadanie – bąkam, jednak Jadwiga z uśmiechem kręci głową.

– Poczekają.

Pomaga mi rozpiąć pasek i zdjąć moją zwyczajną, luźną sukienkę. Zamykam oczy. Tak jest łatwiej. Dźwięk tłukącego o szyby deszczu otula nas jak aksamitny płaszcz, jesteśmy pod nim same, ukryte przed światem. Myśl, że na dole czekają rodzice, wydaje się bardzo odległa.

Jadwiga rozbiera mnie jak lalkę, dłonie ślizgają się po mojej skórze, pozostawiając za sobą płonący gorącym szlak. Jestem bezwolna, nic nie mogę poradzić na to, że stoję naga na środku sypialni, sztywna z zażenowania, z kurczowo zaciśniętymi powiekami. Tak bardzo pragnę zniknąć, roztopić się cała w jej silnych, ciepłych rękach.

– Może jednak otworzysz oczy? Jeśli tego nie zrobisz, nie będziesz widziała, jaką suknię ci wybiorę.

Potrząsam głową, a ona wybucha czystym, jasnym śmiechem.

– Straszne z ciebie dziecko – mówi.

Wciąż się śmieje, kiedy czułym, niemal żartobliwym gestem odgarnia mi włosy z twarzy i całuje w usta. W pierwszej chwili chcę odruchowo się odsunąć, lecz Jadwiga mnie przytrzymuje, kładąc ręce na moich biodrach. Wtedy się poddaję. Nie ma mnie tam, nie istnieję. Język Jadwigi wślizguje się pomiędzy moje wargi, dłonie głaszczą uda.

Nie pamiętam, co mnie ostrzegło. Może skrzypnięcie drzwi albo

powiew zimnego powietrza z korytarza. Tak czy inaczej otworzyłam oczy, by w lustrze ujrzeć zszokowaną twarz ojca.

Dziwne, ale w tym momencie moje wspomnienia się urywają. Nie pamiętam żadnej awantury, wyrzutów ani kary. Biedny Tadeusz, może to było po prostu zbyt wiele. Gdyby przyłapał mnie z mężczyzną, wiedziałby, co zrobić, lecz widok córki w objęciach kobiety nie mieścił mu się w głowie.

17.

Janina na schodach, palę swoje rzeczy

teraz

Wróciłam, gdy rozpalony przez dzieci ogień już dogasał. Żar pełgał w ciemności po szerniałych konarach, dym snuł się nisko nad uśpionym ogrodem. Domyśliłam się, że nie było to udane ognisko - wilgotne drewno nie chciało się palić, zbyt wiele złych emocji wisiało w powietrzu. Niemal mogłam je wszystkie poczuć; zapach gniewu i rozczarowania zmieszany z wonią wieczornej trawy i pieczonych w popiele maronów.

Wchodząc po schodach na piętro, minęłam Janinę. Jej twarz zawieszona w mroku, rysy nieruchome jak u kogoś, czyje emocje są zbyt silne, by mogły się uzewnętrznic. Zrozumiałam, że ona sądzi, iż wracam z nocnej schadzki z Tadeuszem, i zatrzymałam się nawet, by to wyjaśnić - choć nie wiem, czy istnieją słowa, które mogłyby ją przekonać. Jednak nim zdążyłam otworzyć usta, matka zbiegła na dół i zatrzasnęła drzwi swojej sypialni, a ja zostałam na półpiętrze z powidokiem jej wściekłości pod powiekami.

W pokoju wyjęłam z szafy rzeczy i spakowałam walizkę, która towarzyszyła mi w tylu podróżach. Dom wydawał się dziwnie cichy, choć przecież pora nie była aż tak późna, by wszyscy mieli już spać. Umilkły nawet myszy za ścianami, a ja czułam się samotna jak kapitan przemierzający nieznanne morze w kruchej łupince statku.

Z walizką w ręku wychodzę do ogrodu i kucam przy ognisku. Chwilę trwa, nim udaje mi się rozdmuchać żar. Dokładam gałęzi i ogrzewam

nad płomieniem dłonie. Wieczór jest chłodny, niemal już jesienny. Czuję za plecami obecność kamiennych murów, jakby dom był żywą istotą: ślepą i głuchą, lecz obdarzoną świadomością.

Palę wszystkie swoje rzeczy. Kryte pantofle, które zabrałam z myślą, że pogoda okaże się zbyt chłodna na lekkie pantofelki z plecionki, suknię, w której zamierzałam pójść do kościoła, i dobrany do niej kapelusz, wreszcie zapasową spódnicę, bluzkę, pończochy i bieliznę. Wrzucam w ogień wszystko prócz tego, co mam na sobie, i tomiku wierszy Walta Whitmana z liścikiem pomiędzy kartkami.

Walizka płonie jako ostatnia, a ja siedzę jeszcze przez jakiś czas przy ognisku, patrząc, jak płomień pożera skórzane wieko. Nie żałuję tego, co zrobiłam. Te rzeczy nie będą mi już potrzebne.

18. Zima 1863, kiedy las ożył

dawniej

Potrafię to sobie wyobrazić.

Najpierw widzą martwego konia i przewrócony wóz, potem zwłoki. I mężczyznę siedzącego na śniegu, opartego plecami o drzewo. W rękę wciąż ściska rewolwer. Jest bardzo młody - nie skończył chyba nawet dwudziestu lat - przytomny i przynajmniej na pierwszy rzut oka - zdrowy, ale wzrok ma dziwnie pusty. Nie odzywa się, gdy chłopci szarpiają go za ramię, wodzi tylko błękitnymi oczami od jednej brodatej twarzy do drugiej i powtarza stanowczo: „To nie Konstanty. Trzeba szukać Konstantego”. Mówi tak, gdy pytają go o imię, i później, kiedy Walek, jasnowłosy syn kowala, próbuje się dowiedzieć, co właściwie się stało.

Z przewróconego wozu wysypało się siano i ukryta pod nim broń: austriackie sztucery i skrzynki z amunicją. Chłopci zabierają je, a z zabitego zdzierają płaszcz i buty. Walek pochyla się nad martwym i spluwa - wygląda na to, że starszy mężczyzna zginął od rewolwerowej kuli, która trafiła go w sam środek twarzy, masakrując ją tak, że rysów nie da się już rozpoznać.

Nietrudno się domyślić, że błękitnooki chłopiec z jakiegoś powodu zastrzelił swojego towarzysza, a kiedy spłoszony koń przewrócił wóz i połamał sobie nogi, dobił ranne zwierzę. Potem usiadł na śniegu i tkwił tak najwyraźniej już od dłuższego czasu, bo jego ciało zdążyło się pokryć warstwą białego puchu.

Jest początek marca, a mróz wciąż trzyma mocno. Nawet w bogatszych

chałupach nie zostało wiele jedzenia i nikt nie potrzebuje dodatkowej gęby do miski kapusty z grochem czy żytnich klusek. Ale chłopiec wygląda młodo i bezbrinnie, a poza tym najwyraźniej nic poważnego mu nie dolega - można liczyć, że szybko dojdzie do siebie i ruszy w swoją stronę, w zamian za poratowanie zostawiając przywłaszczone już przez chłopów sztucery i dobre buty.

Chłopca bierze do chałupy Walek - nie tyle z chrześcijańskiej dobroci serca, ile licząc na to, że znajda odpowie wreszcie na parę pytań. Syn kowala zawsze był bardziej ciekawy świata niż inni i bystrzejszy, choć ludzie we wsi gadają, że ani z tej ciekawości, ani z bystrości nic mu nie przychodzi. Idzie mu na trzydziesty rok, a nadal nie kwapi się z ożenkiem - ojcu w kuźni co prawda pomaga, ale niechętnie i najbardziej lubi chodzić do lasu, gdzie czasem zastawia sidła, a czasem po prostu siedzi na zwałonych pniach i gapi się na drzewa, jakby było w nich coś niezwykle interesującego.

Żona kowala sarka, ale ostatecznie rozkłada w izbie siennik i karmi gościa kaszą ze skwarkami. Chłopiec zjada mało, cały czas powtarza swoje: „trzeba szukać Konstantego”, a potem brudzi spodnie. Następnego ranka budzi się rozpalony jak piec chlebowy. Oddycha z trudem, w płucach mu świszczy. Zmarnieje, myśli kobieta bez żalu. Pochowała trójkę dzieci i potrafi rozpoznać, kiedy ktoś nie ma sił, by stawić czoła nadchodzącej kostusze.

Umiera prawie tydzień. Czasem przysypia, wstrząsany dreszczami, czasem budzi się, żeby wypluć flegmę i krew, a potem dziecięcym głosem woła Konstantego. Walek czatuje na takie chwile. Próbuje wtedy zadawać swoje pytania, ale jedyną odpowiedzią jest pustka w błękitnych oczach i dziwne, nerwowe gesty, jakimi chory przesuwą ręką po pierzynie. Potrafi leżeć godzinami, wpatrzony w coś, czego nikt poza nim nie widzi, podczas gdy jego prawa dłoń maca wokół, szukając czegoś i szukając. Dają mu wtedy rozładowany rewolwer, co pomaga, choć na krótko - chłopiec wypuszcza broń, a ręka na nowo podejmuje bezowocny trud.

Żona kowala karmi chorego, już tylko gdy syn patrzy - kiedy Walka

nie ma, daje mu po prostu ciepłej wody, co najwyżej zagotowanej z odrobiną mąki. Szkoda marnować na niego jedzenie, zresztą chłopiec połyka z trudem i nader często pół miski polewki wycieka mu kącikiem ust. Chudnie, rysy mu się wyostają. Nie wygląda już młodo ani niewinnie. W sobotę kowal posyła na plebanię, bo widać, że koniec jest bliski.

Kiedy ksiądz wychodzi, Wałek wsuwa się do izby. Umierający o dziwo wygląda na przytomnego, choć twarz ma jak powleczoną woskiem z kościelnej świecy.

– Czemuś zabił kamrata? – pyta syn kowala.

Chłopiec mruga. Przez chwilę wydaje się, że znowu nic nie powie, ale w końcu zaczyna szeptać tak cicho, że Wałek musi się pochylić, prawie przykładając ucho do jego ust.

– To nie był Konstanty. W lesie mieszka diabeł. Przychodził w nocy pod nasze obozowisko, zabierał nam twarze. Zabiłem diabła.

Żyje jeszcze zaskakująco długo, bo kilkanaście godzin, ale nie odzyskuje już przytomności, a kiedy wreszcie kona i chłopci chowają go w bezimiennej mogile, złe jakby na stałe zamieszkało we wsi. Zaczyna się od Walka, który coraz częściej ucieka z ojcowskiej kuźni do lasu. Chodzi w miejsce, gdzie znaleźli błękitnookiego chłopca, a gdzie teraz zostały tylko szczątki wozu i gnijące truchło konia odartego ze skóry. Co tam Wałek robi, nikt nie wie, ale kiedy wraca, przynosi ze sobą dziwne opowieści.

– Las jest inny – upiera się, a kiedy pytają go, co właściwie ma na myśli, potrząsa bezradnie głową i mruczy coś o równych gałęziach czy przesadnie zielonych igłach, które pojawiają się znienacka i znikają, gdy tylko człowiek mrugnie albo odwróci wzrok. Z początku nikt nie bierze go poważnie, wkrótce jednak inni także zaczynają widywać w lesie drzewa, które sprawiają wrażenie... obcych. Chłopci wyczuwają ich odmienność, lecz nie znajdując słów, by ją opisać, wolą milczeć. To nie jest coś, o czym można by opowiadać przy tańcach, podczas babskiego skubania pierza czy siekania kapusty. We wsi jednak narasta niepokój. Z pozoru wygląda na to, że winna może być pogoda. Zazwyczaj o tej

porze czuje się już nadciągającą wiosną, ale nie tego roku. Łód na rzece wciąż nie puszcza, a nocą bierze taki mróz, że ślina zamarza, nim spadnie na ziemię. Nowy śnieg co prawda nie pada, ale starego nie ubywa; nie wieje wiatr, dni zdają się nie wydłużać. Jakby cała wieś zastygła w zimie, myśli ksiądz, który za każdym razem, gdy wychodzi przed plebanię, ma wrażenie, że patrzy nie na swojski krajobraz, lecz na ilustrację w książce. Żegna się wtedy nabożnie i poleca opiece Najświętszej Pani, w głębi duszy jednak wie, że to nic nie da. Cokolwiek zamieszkało w lesie, jest obce bardziej niż diabeł z rogami i kozłimi kopytkami, niż pogańskie rusalki czy skrzaty i niż czarni ludzie, o których ksiądz słyszał w seminarium.

Dni wstają szare jak w styczniu, mgła zasnuwa zimne i dziwnie odległe słońce. Nocą za to niebo jest bezchmurne i usiane gwiazdami, księżyc, nawet gdy zostaje go już tylko odrobinę, lśni blaskiem, jakiego najstarsi ludzie nie pamiętają, jaśnieją też zimno niezmierzone połacie gładkiego śniegu, jakby cała okolica przykryta została stalową pierzyną. Jest wtedy widno, tak że rysy idącego z naprzeciwka człowieka poznaje się z kilkudziesięciu kroków, ale mało kto wychodzi z chałupy. Nocą zatopiona w srebrze, nieruchoma wieś wygląda pięknie jak z bajki, a jednocześnie tak obco, że strach zaraz łapie za gardło, powietrze zdaje się gęste od księżycowej poświaty, psy kulą się na śniegu i skowyczą, jakby i je przygniatał niewidzialny ciężar z nieba. Chłopi stają się coraz bardziej markotni - kto jeszcze ma pieniądze, przepuszcza je w karczmie, upijając się w ponurym milczeniu, rzadkie śmiechy i jeszcze rzadsza muzyka skrzypek trącą fałszywą nutą, baby próbują zabijać czas tradycyjnymi opowieściami, ale nawet najmłodszym i najbardziej naiwnym bajedy o widmach czy upiorach wydają się nagle głupie i wcale niestraszne.

Wkrótce pęka tama milczenia, bo chłopci chodzący po gałęzie i torf na opał zaczynają widywać już nie tylko dziwne drzewa, ale i inne, znacznie osobliwsze rzeczy.

Szymon Kozłarz twierdzi, że widział kawałek obory sąsiada, odwrócony do góry nogami i jakimś cudem wyrastający z pnia sosny.

Jego córka, Józka, pewnego dnia przybiega do wsi z płaczem i

opowiada, że na drzewie tkwi wóz z koniem, zawieszony na wysokości dwóch dorosłych chłopów, że koń wygląda jak na pół wycięty z drewna, a na pół prawdziwy i kwiczy przeraźliwie. Lecz kiedy Szymon wraz z synami idą na wskazane miejsce, nic już tam nie ma.

Wątek przysięga, że spotkał w lesie ludzką postać, przezroczystą jak woda w rzece, która wyszła z pnia i przybrała jego twarz.

– Śmiała się – opowiada – ale oczy miała zimne, a potem krzywiła się jak do płaczu, a jeszcze potem jakby się gniewała. Nie mogłem przestać patrzeć, jakby mi nogi wrosły w ziemię.

Takich przypadków jest coraz więcej. Ksiądz zbiera je wszystkie, zapisuje nieskładne opowieści i przegląda wieczorami przy świetle kopczącej lampy naftowej.

– To nas naśladuje – mówi potem do gospodyni.

– Nas samych, nasze zwierzęta, cały nasz świat. Jest jak dziecko, które przymierza ubrania dorosłych, choć nie bardzo wie, co do czego służy. Na razie to naśladowanie wychodzi mu nieskładnie, ale ten diabelski pomiot uczy się i staje coraz bardziej pewny siebie. x

Stara kobieta mruczy tylko pod nosem, jak przez lata przywykła reagować na słowa księdza, których nawet już nie słucha.

Na prośbę mieszkańców kapłan idzie do lasu, by wygnać złe, choć nie ma dużej nadziei. Rzeczywiście, modlitwy nic nie dają. Nienazwana siła poczyna sobie coraz śmieiej, w lesie chłopci widują już nie tylko pojawiające się i znikające fragmenty chałup, ale i całe chałupy, a także budynki gospodarskie - czasem odwrócone, jakby połamane i niedokończone, ale coraz częściej dokładnie takie, jakie być powinny. Coraz częściej też spotykają sobowtóry swoje, sąsiadów albo jakies dziwne połączenia.

Magda Młynarzówna mówi, że po lesie chodzi żona sołtysa, która ma brodę jak proboszcz. Baby chichoczą, ale tak naprawdę żadnej nie jest do śmiechu.

Stary Jarzębiak nie może się otrząsnąć po tym, jak zobaczył śliczną główkę swojej najmłodszej wnuczki nasadzoną na byczy kark kowala. Płacze, gdy o tym opowiada, ręce mu się trzęsą, a oddech cuchnie

przetrawioną wódką i zgrozą.

Kilkoro najbiedniejszych ucieka tamtej wiosny ze wsi, ale bogatsi zacinają się w uporze i postanawiają zostać. Czuwają na zmianę nad snem swoich żon i dzieci, krążąc po obrzeżach wsi ze sztucercami w rękach, zawsze we dwóch albo i trzech, bo gdy tylko ktoś zostaje sam, zaraz opuszcza go odwaga.

Koniec nadchodzi w Niedzielę Palmową. Najpierw na rzece puszcza wreszcie lód i chłopi oddychają z ulgą - ale nocą mróz wraca, a światła tym razem nie ma. Na wieś spada noc ciemna jak wnętrze studni, płomyki świec kulą się pod naporem mroku, psy już nie skowyczą, tylko wyją, nie dając nikomu spać. Baby wyciągają więc dzieci z łóżek i siedzą przy mężach czekających na złe, które przyjdzie odebrać im dobytek i rodziny.

I tak, w ciemności wypełnionej ogłuszającym wyciem psów, ze sztucercami w rękach i dziećmi na kolanach, pewnej wiosennej nocy znikają wszyscy mieszkańcy wsi. Tak właśnie wyglądał początek.

Potrafię to sobie wyobrazić.

19.

Przy ognisku

teraz

Jest ich dwóch, obaj otuleni warstwami sztywnej od brudu odzieży, której części nie potrafię nawet nazwać: jakieś wystrzępione surduty, a do tego chłopskie koszule, przedziwna mieszanka mody wiejskiej i miejskiej sprzed dekad; obaj siwiejący i zarośnięci. Nie wiem, którego z nich widziałam dzisiejszego ranka i czy jest to ten sam, który przyprowadził mnie na polankę do ogniska.

Kucam przy płomieniach. Wilgotne gałęzie strzelają iskrami, niebo zaczyna ciemnieć. W szarówce wieczoru widzę kilka prymitywnych szałasów, a dalej niewyraźne zarysy mogił oznaczonych prostymi krzyżami z drewna.

– Zabrali pięćdziesiąt osób – mówi ten, który przedstawił się jako Adam. Od towarzysza odróżnia go wielka brudnobrązowa plama na koszuli. Krew? Nie chcę zgadywać, co to może być. – Mężczyzn, kobiety i dzieci z różnych stron, z miast i wsi. A potem wysączyli ich wspomnienia i zbudowali na ich podstawie fałszywą Polskę.

– Bzdura, na początku było nas więcej. – Marcin potrząsa z irytacją głową. – Setka, może nawet dwie. Większość ludzi wybrała życie pomiędzy tamtymi, ale część została w lesie. Mieszkali tu, ale z każdym rokiem było ich coraz mniej i mniej. Niektórzy odchodzili, inni umierali.

– Czy to znaczy, że ja najprawdopodobniej jestem dzieckiem kogoś, kto stąd odszedł? – To wydaje się logiczne. Od dawna przecież wiem, że nie mogę być córką Tadeusza i Janiny. Zastanawiam się, czy jestem w

jakiś sposób spokrewniona z Jadwigą. Tak duże podobieństwo nie może być przypadkiem.

Marcin wzrusza ramionami.

– Możliwe.

– Byli tacy, którzy odchodzili, ale byli też tacy, którzy przychodzili – wtrąca się Adam. – Dowiadywali się o nas w ten czy inny sposób i przybywali, żeby tutaj zamieszkać. Wiedzieli, że są inni.

– Jak ja.

– Jak pani. – Adam, nie wiedzieć czemu, śmieje się cicho.

– Co się z nami stanie?

– Ze mną i z Marcinem? Z panią?

– Z całym tym miejscem.

– Żyjemy wszyscy w fałszywej Polsce, połączonej niewidzialną pępowiną z Polską prawdziwą; co wydarzyło się tam, musi powtórzyć się u nas. To proste.

Milczymy, wpatrzeni w ogień. Miałam jeszcze tak wiele pytań, ale żadne z nich nie wydaje się już ważne. Bawię się przez chwilę pomysłem, że mogłabym tu zostać, wiem jednak, że z wielu powodów to niemożliwe. Tęskniłabym za sobą i jest za późno na takie decyzje - to przede wszystkim. Odwlekam moment powrotu do Czarnego. W zawieszeniu czasu tuż przed końcem jest tak spokojnie i cicho. Można siedzieć przy ogniu, ciesząc się ciepłem i żywiczną wonią świerków, nie myśleć, po prostu być.

Czuję się bardzo młodo, ale naprawdę jestem stara i za dużo wiem. Chciałabym zapomnieć, być znowu nieświadoma, bez pytań i bez odpowiedzi.

Noc spada na polanę w gęstniejącym z każdą minutą mroku, w chłodzie podeszczowej wilgoci, w szelestach i szmerach, które jeszcze przed chwilą zwyczajne, nabierają nagle niepokojącej tajemniczości. Milczymy. Wreszcie Marcin podnosi się ze stęknieniem. Widać, że porusza się z trudem, jego oddech jest krótki i rwany.

– Zaparzę ziół – mówi. – Przyda się pani coś ciepłego do picia.

Oddala się w stronę jednej z chat, nim zdąży zaprotestować.

Adam siada obok mnie. Czuję smród dawno niemytego ciała i tłustych włosów. Odsuwam się odruchowo, ale męczyzna chwyta moje ramię. Uśmiecha się, szczerząc resztki zębów.

– Zdradzę pani coś – mówi. – Ci, którzy do nas przychodzili, nie zawsze byli ludźmi. Czasem tylko im się wydawało, że są, a tak naprawdę byli jednymi z nich. – Wybucha gulgoczącym śmiechem. – Jeśli sięgnie się wystarczająco głęboko, nie może być mowy o pomyłce. Wie pani co? Myślę, że Marcin jest jednym z nich. Czekam, aż umrze, a wtedy go rozetnę, żeby się przekonać.

– Umrze? – pytam tępo.

– Umrze, umrze. – Kiwa energicznie głową. – Od wiosny słabuje i pewnie pójdzie do piachu, nim minie mu czterdziesty rok.

Czterdziesty rok? Dopiero teraz uświadamiam sobie, że obaj mężczyźni, mimo siwych nitki we włosach, nie są wcale starzy, to brud dodaje im lat. W rzeczywistości Marcin musi być rówieśnikiem mojego ojca, a Adam jest chyba nawet jeszcze młodszy.

– A Jadwiga Rathe? – pytam, by skierować rozmowę na inne tory. Nie chcę myśleć o rozcinanych ciałach. – Pamięta ją pan?

– Pamiętam, oczywiście, że pamiętam. Piękna kobieta, miastowa. Przyszła, żeby się dowiedzieć, jak to od początku wyglądało.

– Była jedną z nas, prawda?

Wzrusza ramionami.

– Kto to może wiedzieć? Marcin uważa, że tak, a ja, że nie.

– A inni? Bo przecież wtedy mieszkało tu więcej ludzi?

Przestaje się uśmiechać i przez chwilę widzę w jego oczach smutek.

– Nie, już wtedy byliśmy tylko we dwóch. Wszyscy inni umarli wcześniej.

Chcę zapytać o strzelbę, ale brakuje mi odwagi. Jakby broń nie istniała, dopóki nie będzie się o niej mówić.

Marcin wraca z niewielkim garnuszkiem, który zręcznie wiesza nad ogniem. Wstaję.

– Muszę już iść – tłumaczę niezręcznie. – Robi się coraz ciemniej. Naprawdę nie mogę zostać...

Nie protestują, jakby niczego innego się nie spodziewali.

Gdy odchodzę, dogania mnie Marcin.

– Odprowadzę panią kawałek – mówi, a kiedy tracimy z oczu polankę wraz z ogniskiem, chwyta mnie za ramię. – Zdradzę pani pewną tajemnicę. Nie wszyscy, którzy tu przychodzili, byli ludźmi. Czasem tylko tak im się wydawało. Myślę, że Adam jest jednym z nich. Jeśli pewnego dnia zginie podczas polowania...

– Wiem – kończę – rozetnie pan jego ciało, żeby się przekonać.

20.

Ludzie i nieludzie, ponownie strzelba

teraz

„Czy można nie być człowiekiem i nie zdawać sobie z tego sprawy?”.

Pióro zawisło nad kartką, kropla atramentu spadła na biel papieru.

„Myślę, że tak - napisałam. - Jak upośledzone ludzkie dziecko, odcięte od funkcji, jakimi są inteligencja czy wyższe uczucia, może, wychowane wśród psów, za psa się uważać, tak upośledzony, odcięty od rozumu swej rasy i wspólnej świadomości Obcy może sądzić, że jest człowiekiem”.

Złożyłam kartkę na pół, światło naftowej lampy rzucało niespokojne cienie na ściany gościnnego pokoju. Dom wciąż był cichy, choć z jakiegoś powodu miałam wrażenie, że to tylko pozór, że w rzeczywistości nikt tu nie śpi. Mieszkańcy Czarnego czuwali, wpatrzeni w mrok szeroko otwartymi oczami, niemal widziałam ich, jak oddychają, z ciężarem nocy na piersiach, czekając, aż stanie się to, co musi się stać.

Odetchnęłam głęboko, karcąc nazbyt żywą wyobraźnię. Kartka w mojej ręce... Co miałam z nią zrobić?

Wysłać, oczywiście, razem z pozostałymi. Do kogo? Była pewna kobieta, w Warszawie, ale nie pamiętałam już ani nazwiska, ani twarzy. Chwilę walczyłam z opornymi wspomnieniami. W stolicy wydarzyło się coś ważnego, a i ja byłam tam kimś innym. Potem przyjechałam do domu moich rodziców, by na powrót stać się dzieckiem i umrzeć tu w ostatni dzień wakacji.

Spojrzałam na kartkę, świadoma tego, że jeśli nadal będę pisać, dojdę być może do wniosków, do których wcale dochodzić nie chcę. Lepiej

nie wiedzieć, pomyślałam z przebłyskiem humoru. Jakby to miało cokolwiek zmienić.

Podarłam świeżo zapisaną stronę i wszystkie pozostałe, a strzępki wrzuciłam do kosza na papiery - tylko po to, by wyjąć je po namyśle. Trzeba to spalić, uznałam, ale nie chciało mi się ponownie wychodzić do ogrodu, zresztą ognisko całkiem już zgasło.

Zeszłam więc do kuchni, gdzie w piecu czerwieniały resztki żaru. Wepchnęłam skrawki papieru w przepastną czelusć, a potem patrzyłam, jak zajmują się ogniem i zwijają z gorąca. Spłonęły błyskawicznie, znacznie szybciej niż moje ubrania. Wyprostowałam się. Dom ożył, z ciemności dobiegały wyraźne odgłosy kłótni.

- To moje - mówi Franciszek zawziętym głosem. - Nie masz prawa mi tego zabrać!

- A ty nie masz prawa zwracać się w ten sposób do ojca! Co ci w ogóle przyszło do głowy, skąd masz to żelastwo?

- Znalazłem w lesie...

- Nie kłam! - Miękkie plaśnięcie, jakby ktoś rzucił na stół kawałek soczystego mięsa. Wzdrygnęłam się. Franciszek płakał, ale nie zamierzał się poddać.

- Nie masz prawa... - powtarzał.

- To nie zabawka, jesteś wystarczająco dorosły, żeby zdawać sobie z tego sprawę. Oddaj, schowam ją w bezpiecznym miejscu, a ty przemyśl swoje postępowanie i przyjdź jutro przeprosić. Dziś nie chcę już niczego słyszeć.

Trzasnęły drzwi, szybkie kroki zadudniły na schodach. Odczekałam jeszcze chwilę, potem ostrożnie wyjrzałam z kuchni. Dom znów wydawał się cichy, tylko z pokoju chłopców dobiegał pełen złości płacz. Usiłując stąpać jak myszka, wspinałam się do swojej sypialni.

Na półpiętrze znów spotkałam matkę. Absurdalne wrażenie - jakby stała tam zawsze, z nienawiścią na bladej, zawieszonej w ciemności twarzy. W pierwszej chwili chciałam się cofnąć, ale przecież nie miałoby to sensu, przemknęłam więc obok. Nie powiedziała ani słowa, lecz kiedy zamykałam drzwi, miałam wrażenie, że wciąż na mnie patrzy.

21. Ostatni dzień

teraz

Zdjęłam ubranie, powiesiłam je na krzesło i naga położyłam się na łóżku. Nie miałam już koszuli nocnej ani nawet szczotki, żeby rozczesać włosy. Nie przeszkadzało mi to. Noc przygarnęła mnie, jakbym zapadła się w miękkie kobiece ramiona. Zasnęłam od razu i bez żadnych snów spałam twardo aż do rana.

Otworzyłam oczy, gdy dom budził się do życia. Słyszałam szum wody w łazience i dziecięce głosy na korytarzu. Przez okna wlewało się słoneczne światło, dzień, jakby na przekór końcowi wakacji, zapowiadał się na wyjątkowo ciepły i pogodny.

Leżałam jeszcze chwilę, wyobrażając sobie samą siebie. Jestem tam, tuż za drzwiami. Wchodzę do łazienki i zdejmuję przez głowę ciężką płócienną koszulę nocną. Marzę o piżamie z drukowanego jedwabiu - widziałam taką we francuskim katalogu, ale wiem, że prędzej doczekam zamażpójścia, niż podobnego prezentu.

Wzdycham i patrzę na siebie krytycznie w lustrze. Oczy mam zapuchnięte od snu, włosy sterczą mi na wszystkie strony. Jestem zachwycająca, ale wcale tego nie dostrzegam - po prostu dobrze się czuję w swojej skórze, poznaczonej zadrapaniami, sińcami i ukąszeniami komarów jak literami tajemnego alfabetu, który tylko dłonie kochanki potrafiłyby odczytać. Opalenizna kontrastuje z białością miejsc, do których nie dotarło słońce, w świetle poranka cała jestem biała i bursztynowa, i krucha jak wypełnione blaskiem naczynie niesione w ostrożnej dłoni. Ja. Nie uważam się za piękność, ale czuję, że mogłabym

nią być, bo dorosłość wraz ze wszystkimi swoimi cudami czeka na mnie tuż za zakrętem życia. Jestem śpiącą królewną tuż przed pierwszym pocałunkiem, Kopciuszkim, który lada moment zostanie przemieniony w księżniczkę.

Towarzyszę sobie, gdy myję się pospiesznie, zimna woda spływa z twarzy na szyję i piersi, kamienna posadzka ziębi stopy - przestępuję z nogi na nogę, ramiona pokrywa gęsia skórka. Wilgotne włosy zaczesuję wysoko do góry, odsłaniając ciepłe, intymne miejsce na karku, gdzie w nocy zebrała się warstewka potu. Dotyk kretonowej sukienki na wychłodzonej skórze, żadnych jedwabi, żadnych koronek, tylko skromny kwiatowy rzucik. Materiał opada, dopasowując się do bioder. Jestem idealna, właśnie teraz, kiedy wcale nie zdaję sobie z tego sprawy, kiedy wciąż jeszcze na idealność czekam jak na coś, co musi mi się pewnego dnia przydarzyć.

Tak bardzo chciałabym być w tej chwili sobą, zapomnieć i po prostu żyć z dziecięcą ufnością i optymizmem. Chciałabym wejść do łazienki i wziąć samą siebie w ramiona, a potem wpełznąć pod tą gładką, białą i brązową skórę. Zrobiłabym to delikatnie, z czułością, tak iż nikt by się nie zorientował. Zamiast tego jednak wstaję i się ubieram - moja wczorajsza sukienka jest wygnieciona, ale nie mam niczego innego. Przemywam twarz w misce z wodą i przeczesuję włosy wilgotnymi palcami. Wyglądam jak dziecko odnalezione po nocy spędzonej w lesie i z jakiegoś powodu to porównanie mnie bawi.

Wychodzę. W kuchni biorę ze stołu kawałek chleba i proszę Macieja, aby poinformował państwo, że nie będzie mnie na śniadaniu. Stary sługa patrzy zdziwiony - moje swobodne zachowanie musi sprawiać wrażenie niegrzeczności, nauczony jest jednak, by nie zwracać gościom uwagi, a ja nie zamierzam z niczego się tłumaczyć.

Idę nad rzekę, gdzie siadam tuż przy brzegu. Nie jestem głodna, mimo to zjadam kawałek chleba. Potrzebuję zapasu sił, by czekać cierpliwie aż do południa.

Dzień wstaje wyjątkowo upalny jak na koniec wakacji. Już wkrótce zaczyna mi być nieznośnie gorąco, zdejmuję więc pończochy i rzucam je

w nurt Czernianki. Trudno, mogę umrzeć z gołymi nogami, dlaczego nie. Rozpinam dwa górne guziki sukni. Pijana słońcem, obserwuję białe postrzępione chmurki i myślę, że sama mogłabym do nich dołączyć. Lekka niczym zerwany ze sznura latawiec żeglowałabym po bezkresnym sierpniowym błękitcie, moja twarz na tle nieba jak twarz zabranej przez Boga świętej. Dlaczego nie?

Czekam. Ktokolwiek stanie za moimi plecami ze strzelbą, zamierzam przyjąć nieuniknione z pokorą, bez błagań i protestów.

Gdy zbliża się południe, słyszę ponad drzewami dźwięk dzwonów wzywających na sumę. Dwanaście uderzeń, po jednym na każde uderzenie mojego serca. Świat wokół zamiera. To już teraz, myślę, ostatnia szansa. Za plecami słyszę szelest i nagłe przerażenie skacze mi do gardła - odwracam się, lecz to tylko buszujący w zaroślach zając, który umyka na mój widok. Śmieję się, na poły z ulgą, na poły z rozczarowaniem.

Może się myliłam, może jednak Jadwiga nie zginęła przed dwunastą?

Czekam jeszcze jakiś czas, ale z każdą chwilą czuję się coraz bardziej głupio. Nie jestem już lekka ani pijana słońcem, jest mi zwyczajnie gorąco i dokucza pełen pęcherz, a poza tym robię się głodna. Wstaję więc - po długim siedzeniu nad rzeką mięśnie mam zeszywniałe, a tył sukni wilgotny od kamieni.

Zdążam w samą porę na obiad, który jemy w milczeniu. Janina nie próbuje już bawić mnie rozmową, jak przystało na dobrą panią domu, Tadeusz i Franciszek konsekwentnie moją obecność ignorują, a ja wyglądam na urażoną. Najwyraźniej uznali mnie za dziwaczkę tak wielką, że nie ma sensu zastanawiać się nad jej postępowaniem - trzeba po prostu przemęczyć się z tą cudaczną kobietą z Warszawy aż do wyjazdu, a potem jak najszybciej o niej zapomnieć.

Po obiedzie szukam samej siebie, ale nigdzie nie umiem się znaleźć, wracam więc do ogrodu. Do altanki, jakżeby inaczej. Jest za gorąco na pled, a mimo to okrywam nim nogi i siedzę tak, spływając potem, aż wreszcie duchota staje się nieznośna i odrzucam ciężki materiał. Czekam. Nie pozostało mi nic innego. Tomik wierszy Walta Whitmana

trzymam na kolanach, ale kiedy próbuję czytać, litery tańczą mi przed oczami, a słowa pozbawione są znaczenia.

O living always, always dying!

Zjawiam się tuż po podwieczorku, niechętna i po dorosłemu bardzo poważna.

- Musimy już jechać – mówię.
- Usiądź na chwilę przy mnie. Twój rodzice poczekają. Gniewasz się?
- Miała pani być wczoraj na ognisku.
- Mówiłam, że postaram się zdążyć, ale niczego nie obiecywałam – tłumaczę łagodnie. Siedząca obok mnie dziewczyna wzrusza ramionami.
- Teraz i tak już wszystko jedno.
- Nie, wcale nie – odpowiadam. Ujmuję ją pod brodę i odwracam jej twarz w swoją stronę. Próbuje walczyć, ale zmuszam ją, by na mnie spojrzała.
- Będziemy się widywać w Warszawie? – pyta z nagłą nadzieją.
- Tak – kłamię.

Jest taka miękka, kiedy ją całuję, cała zawstydzona i zdenerwowana. Daję jej szansę, żeby się cofnęła, ale z niej nie korzysta, choć nie robi też nic, żeby przysunąć się bliżej. Zamyka oczy.

- Straszne z ciebie dziecko – mówię przekornie, choć na dziecko wcale już nie wygląda.
- Nie chcę być dzieckiem – mruczy buntowniczo, co mnie bardzo bawi.

Rozpinam jej sukienkę i wsuwam dłoń pod materiał. Drobne sutki twardnieją pod moim dotykiem. Oddycha coraz szybciej, choć nadal nie otwiera oczu. Moje palce podążają wzdłuż opalonego uda, badając tereny naznaczone przez zadrapania, sińce i ugryzienia komarów; szlak dziecięcych wędrowek po drzewach i wypraw do lasu. Smakuje młodością, nadzieją i sierpniowym słońcem. Jakby lato nigdy nie miało się skończyć, jakbym nigdy nie miała dorosnąć. Jesteśmy teraz tak blisko, że nie ma już różnicy pomiędzy nią a mną, znika podział na

możliwość i niemożliwość. W gorącu ostatniego dnia wakacji, w krzyku kołujących na błękitnym niebie ptaków rozrywam jej skórę i wchodzę w nią, a kiedy ona ostrożnie wsuwa się w moją, nareszcie stajemy się jednym.

KONTRAPUNKTY

Kontrapunkty to polska proza wymykająca się ze schematów, uciekająca z szufladek. Łączy walory literackie z niekonwencjonalnymi fabułami. Kontrapunkty tworzą przestrzeń do mówienia o rzeczach ważnych, oczarowując czytelnika piękną frazą i niejednoznacznością interpretacji.

powergraph.pl

 selkar.pl

KSIĘGARNIA INTERNETOWA



najlepsze książki
w Internecie

<http://selkar.pl/>

KONTRAPUNKTY

Czarne to letnisko, gdzie spędza wakacje rodzina bohaterki książki. Opowieść, w którą wplatają się dramatyczne losy pięknej aktorki Jadwigi Rathe – muzy ojca narratorki, rozgrywa się w letnie miesiące lat: 1893, 1914 i 1935. Warszawskie kawiarnie, spotkania w Towarzystwie Spirytystycznym, leniwa atmosfera podwieczorków w starym dworku i budzący się erotyzm nastolatki tworzą niepowtarzalny klimat powieści.

Czytelnik powoli odkrywa, czym tak naprawdę są wspomnienia narratorki i jaką tajemnicę skrywa rok 1863, rok Powstania.



Anna Kańtoch – pisarka i publicystka, absolwentka orientalistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego, ze specjalnością arabistyka. Dotychczas opublikowała *Miasto w zieleni i błękitach* (2004), *13 Anioł* (2007) oraz *Przedsięwzięciami* t. 1 (2009). Wielokrotna laureatka Nagrody im. Janusza A. Zajdla. Mieszka i pracuje na Śląsku.

Patroni medialni:

Fantastyka

SILDIA.PL

Kawerna

Kańtoch

WR.PL

Fantasta

PROSTYMI

Wyłączny dystrybutor:



powergraph.pl